

**Agatha Christie**

Śmierć w chmurach

*Tłumaczyli* **Jan S. Zaus i Irena Ciechanowska–Sudymont**

Tytuł oryginału: *Death in the Clouds*

*Poświęcam Ormondowi Beadle*

*Pasażerowie*

Miejsce

Nr 2 Madame Giselle

Nr 4 James Ryder

Nr 5 *Monsieur* Armand Dupont

Nr 6 *Monsieur* Jean Dupont

Nr 8 Daniel Clancy

Nr 9 Herkules Poirot

Nr 10 Doktor Bryant

Nr 12 Norman Gale

Nr 13 Hrabina Horbury

Nr 16 Jane Grey

Nr 17 Venetia Kerr

# Rozdział pierwszy

## Z Paryża do Croydon

Wrześniowe słońce paliło lotnisko Le Bourget, kiedy pasażerowie przechodzili przez płytę i wspinali się do samolotu liniowego *Prometeusz*, który miał za kilka minut odlecieć do Croydon.

Jane Grey znajdowała się wśród ostatnich wsiadających pasażerów i zajęła miejsce numer 16. Niektórzy pasażerowie przeszli przez wewnętrzne drzwi, mijając niewielką kuchenko–spizarkę i dwie toalety, ulokowane w przedniej części kadłuba. Prawie wszyscy zajęli już swoje miejsca. Po drugiej stronie przejścia słychać było gwar rozmów — a wśród nich dominował piskliwy głos kobiety. Jane lekko skrzywiła usta. Dobrze знаła ten specyficzny typ głosu.

— Moja droga... to nadzwyczajne... nie mam pojęcia... Gdzie, gdzie, powiedziałaś? Juan les Pins? O, tak. Nie... Le Pinet... Tak, towarzystwo jak zwykle... Ależ naturalnie, usiądźmy razem. O, nie możemy? Kto?... Och, rzeczywiście...

A potem uprzejmy męski głos obcokrajowca:

— Z największą przyjemnością, *madame*.

Jane zerknęła kątem oka.

Mały starszy jegomość z dużymi czarnymi wąsami i z głową w kształcie jajka uprzejmie przesunął się wraz z bagażem z miejsca odpowiadającym miejscu Jane na drugą stronę przejścia.

Jane obróciła lekko głowę i zobaczyła dwie kobiety, których niespodziane spotkanie wywołało ten gest uprzejmości ze strony obcokrajowca. Wymienienie Le Pinet zwiększyło jej ciekawość, Jane też tam była.

Jedną z tych kobiet pamiętała bardzo dobrze, pamiętała, kiedy widziała ją po raz ostatni. Było to przy stole do bakarata. Tamta na zmianę zaciskała i rozwierała drobne dłonie, jej umalowana delikatna twarzączka laleczki z saskiej porcelany to czerwieniła się. to bladła. Przy niewielkim wysiłku, pomyślała Jane, mogłaby przypomnieć sobie jej nazwisko. Wymieniła je przyjaciółka Jane... powiedziała wtedy: „ona niby to jest arystokratką, ale nie taką prawdziwą, była tylko jakąś chórzystką czy coś w tym rodzaju”.

Pamiętała ton głębokiej pogardy w głosie Maisie, masażystki wykonującej masaż dla pań, na „zrzucenie wagi”. Sąsiadka tamtej, przemknęło przelotnie przez umysł Jane, to prawdziwa arystokratka. „koński typ ziemianki”. I natychmiast zapomniawszy o tych dwóch kobietach, zainteresowała się widokiem lotniska Le Bourget, który rozpościerał się za okienkiem. Dookoła stały różne samoloty. Był nawet, taki, który wyglądał jak wielka metalowa stonoga.

Jedyne miejsce, na które z upartą determinacją nie chciała patrzeć, znajdowało się tuż przed nią. Tam właśnie, w fotelu naprzeciwko, siedział młody człowiek.

Miał na sobie jasnoniebieski pulower. Jane zdecydowała się nie patrzeć powyżej tego pulovera. Gdyby spojrzała, mógłby to zauważyć, a tego zdecydowanie sobie nie życzyła.

Mechanicy krzyczeli coś po francusku... motor ryknął... przycichł... znów ryknął... Usunięto klocki spod kół... Samolot ruszył.

Jane wciągnęła powietrze. To był dopiero drugi lot w jej życiu. Jeszcze ciągle trzęsa się ze strachu. Cały czas wydawało jej się, że zaraz wpadną w ogrodzenie... Nic, jednak oderwali się od ziemi... wyżej... wyżej...

Zatoczyli krąg... i nagle Le Bourget znalazło się pod nimi.

Rozpoczął się południowy lot do Croydon. W samolocie znajdowało się dwudziestu jeden pasażerów — dziesięciu w przedniej części kadłuba, jedenastu w tylnej. Załogę stanowiło dwóch pilotów i dwóch stewardów. Hałas silników odpowiednio wyciszono, tak że nie było potrzeby zatykać uszu watą. Niemniej był na tyle głośny, że nie zachęcał do prowadzenia rozmów — sprzyjał natomiast rozmyślaniom.

Kiedy samolot huczał nad Francją w drodze nad kanał La Manche, pasażerowie z przodu przedziału snuli różne rozmyślenia.

Jane myślała: „Nie będę patrzyła na niego... Nic, nie będę... Najlepiej nie patrzeć na niego. Powyglądam sobie przez okno i trochę porozmyślam. Pomyślę o czymś konkretnym... to zawsze jest najlepszy sposób. Pozwoli mi się skupić. Zacznę od początku i wszystko przemyślę”.

Rezolutnie skierowała uwagę na to, co nazwała początkiem, na kupno losu na Irlandzką Loterię. Była to ekstrawagancja, ale ekstrawagancja niewątpliwie podniecająca.

Dużo śmiechu i docinków w zakładzie fryzjerskim, w którym Jane pracowała razem z pięcioma innymi dziewczynami.

— A co zrobisz, jak wygrasz, kochanie?

— Wiem, co zrobię.

Plany... plany... zamki na lodzie... różne głupstewka. No i nie wygrała — to znaczy nie wygrała głównej nagrody, ale wzbogaciła się o sto funtów. Sto funtów.

— Wydaj, kochanie, połowę, a połowę zatrzymaj na czarną godzinę. Nigdy nic nie wiadomo. — Na twoim miejscu kupiłabym sobie *futro*. Takie naprawdę tip—top.

— A co myślisz o jakiejś podróży?

Jane zawahała się słysząc słowo „podróż”, w końcu jednak pozostała wierna pierwszemu

pomysłowi. Tydzień w Le Pinet. Tyle klientek albo jechało do Le Pinet, albo wracało z Le Pinet. Jane. w czasie gdy jej zręczne palce układały fale, paplała zwykle banały... „Proszę pani. kiedy ostatnio robiła pani trwałą? Pani włosy, mają niezwykły kolor. Jakie cudowne mieliśmy lato, prawda?” i myślała sobie: „Dlaczego, u licha, nie mogę jechać do Le Pinet?” No i teraz miała szansę.

Stroje nie sprawiły jej wiele kłopotu. Jane, jak większość londyńskich dziewcząt pracujących w eleganckich miejscach, umiała uzyskać wspaniałe efekty śmiesznie niskim kosztem. Paznokcie, makijaż, włosy, wszystko to było bez zarzutu.

Jane pojechała do Le Pinet.

Czy to możliwe, żeby teraz w jej myślach te dziesięć dni w Le Pinet skurczyły się tylko do jednego wydarzenia?

Do wydarzenia przy stole ruletki. Jane wyznaczyła sobie niewielką sumę na cowieczorne przyjemności hazardu. Kwoty tej nie wolno jej było przekroczyć. Niezgodnie z zasadą, że początkujący zawsze wygrywają. Jane nie miała szczęścia. To był czwarty wieczór i ostatnia stawka tego wieczoru. Do tej chwili stawiała przezornie na kolor albo na jeden z tuzinów. Trochę wygrywała, ale więcej traciła. Teraz czekała trzymając żetony w ręce.

Na dwa numery nikt nie postawił, była to piątka i szóstka. Czy powinna postawić swoje ostatnie żetony na jeden z tych dwóch numerów? A jeśli tak, to na który? Na piątkę czy na szóstkę? Co jej podpowiadało pewno wyjdzie pięć. Kulka zawirowała. Jane wyciągnęła rękę. Sześć... postawiła na szóstkę.

W samą porę. Ona i gracz naprzeciwko niej postawili w tym samym momencie, ona na szóstkę, on na piątkę.

— *Rien ne va plus*\* — rzekł krupier.

Kulka stuknęła i wpadła w przegródkę.

— *Le numero cinq, rouge, impair, manque*\*.

Jane chciała krzyknąć ze złości. Krupier zebrał stawki i wypłacił. Mężczyzna z przeciwka zapytał:

— Nie bierze pani swojej wygranej?

— Mojej?

— Tak.

— Ależ ja postawiłam na szóstkę.

— Na pewno nie. To ja stawiałem na szóstkę, pani postawiła na piątkę.

Uśmiechnął się — to był bardzo interesujący uśmiech. Białe zęby na tle smagłej twarzy, niebieskie

oczy, bujne krótkie włosy.

Jane zabrała wygraną z niedowierzaniem. Czy to prawda? Czuła się lekko zmieszana. Może jednak postawiła na te piątkę? Spojrzała z powątpiewaniem na obcego, ale on uśmiechnął się do niej z sympatią.

— To prawda — rzekł. — Jeżeli zostawiłaby pani tu swoją wygraną, ktoś by ją zgarnął; ktoś, kto nie ma do niej prawa. To stary trik!

Następnie odszedł z przyjaznym skinieniem głowy. I to też było miłe z jego strony. Inaczej mogłaby podejrzewać, że pozwolił zabrać jego wygraną, aby w ten sposób spróbować się z nią zapoznać. Jednak to nie był tego rodzaju mężczyzna. On był naprawdę miły... A w tej chwili siedzi naprzeciwko niej.

I wszystko już minęło. Pieniądze wydane, ostatnie dwa dni, raczej rozczarowujące, w Paryżu, a teraz wraca do domu.

I co dalej?

„Przestań — powiedziała w myśli Jane. — Nie myśl o tym, co dalej. To tylko może cię zdenerwować”.

Dwie kobiety przestały rozmawiać.

Rzuciła okiem na drugą stronę przejścia. Laleczka z saskiej porcelany wykrzyknęła rozdrażniona i zaczęła oglądać złamany paznokciec. Zadzwoiła i, kiedy pojawił się steward w białym kitlu, powiedziała:

— Przyślij mi służącą. Jest w drugim przedziale.

— Tak, proszę pani.

Steward, bardzo usłużnie, szybko i zręcznie, zniknął. Pojawiła się ciemnowłosa młoda dziewczyna, Francuzka, ubrana na czarno. W ręku trzymała małą kasetkę. Lady Horbury odezwała się do niej po francusku:

— Madeleine, chcę mój neseser z czerwonego marokinu.

Służąca udała się wzdłuż przejścia do końca przedziału, gdzie znajdowały się ułożone w stos pledy i walizki. Dziewczyna wróciła z małym czerwonym podręcznym neseserem.

Cicely Horbury wzięła go i oddaliła służącą.

— W porządku, Madeleine. Zatrzymam go przy sobie. Dziewczyna znowu odeszła. Lady Horbury otworzyła neseser i z pięknie wyposażonego wnętrza wyjęła pilnik do paznokci. Potem z powagą długo przeglądała się w małym lusterku, dotykając tu i tam twarzy — trochę pudru, więcej kremu na wargę.

Jane wydeła pogardliwie usta, jej wzrok powędrował dalej.

Za dwoma kobietami siedział mały obcokrajowiec, który oddał swoje miejsce tej kobiecie w typie ziemianki. Bez potrzeby szelnie otulony szalem, wydawał się być pogrąony we śnie. Może poczuł przenikliwy wzrok Jane, bowiem otworzył oczy, spojrział na nią i znów je zamknął.

Obok niego siedział wysoki, siwy mężczyzna, z twarzą wyrażającą zdecydowanie. Pieszczotliwym mchem głaskał flet, leżący przed nim w otwartym futerale. „Zabawne. ale on nie wygląda na muzyka — bardziej na prawnika lub lekarza”.

Za nim siedziło dwóch Francuzów, jeden z brodą, drugi młodszy — może syn. Rozmawiali gestykulując z podnieceniem.

Po tej stronic, gdzie siedziła Jane, widok zasłaniał mężczyzna w niebieskim pulowerze, mężczyzna, na którego z jakiegoś absurdalnego powodu zdecydowała się nie patrzeć.

„To absurdalne czuć, że jestem taka... taka... taka podniecona. Zupełnie jakbym była siedemnastolatką” — obruszyła się na siebie Jane.

A siedzący naprzeciwko niej Norman Gale myślał:

„Ona jest ładna... naprawdę ładna... z pewnością pamięta mnie. Była taka rozczarowana, gdy zabierano jej stawkę. Warto było stracić te pieniądze, by zobaczyć jej radość z wygranej. Chyba dobrze mi to wyszło... Kiedy się śmieje, jest naprawdę bardzo atrakcyjna — ma zdrowe dżiąsła... zdrowe zęby... Do diabła, czuję się podniecony. Spokojnie, chłopcze...”

Do czekającego na zamówienie stewarda powiedział:

— Poproszę ozór na zimno.

Hrabina Horbury myślała:

„Mój Boże, co ja zrobię? To naprawdę piekielny bigos... piekielny bigos. Widzę tylko jedno wyjście. Gdybym tylko mogła zdobyć się na odwagę. Ale czy zdolna jestem to zrobić? Czy zdołam się jakoś z tego wygmatwać? Moje nerwy są w strzępach. To przez tę kokę. Po co ja w ogóle zaczynałam z koką? Moja twarz wygląda okropnie, po prostu okropnie. Jest tu ta złośliwa Venetia Kerr i przez to sytuacja staje się wprost nie do zniesienia. Ona zawsze patrzy na mnie tak, jakbym była śmieciem. Chciała Stefana mieć tylko dla siebie. No i nie dostała go! Ta jej końska gęba naprawdę działa mi na nerwy. Tak, ona zupełnie wygląda jak koń. Nie znoszę tych wiejskich typów. Mój Boże, co ja mam robić? Muszę podjąć decyzję. Ta wredna suka mówiła prawdę, że...”

Zaczęła szukać w neseserze papierośnicy, a potem wetknęła papierosa w długą cygarniczkę. Jej ręce lekko drżały.

Venetia Kerr myślała:

„Cholerna mała kokota. Niczym innym nie jest. Może ona »technicznie« jest cnotliwa, ale i tak jest

na wskroś dziwką. Biedny Stefan... gdyby tylko mógł się jej pozbyć...”

Odwróciła się i zaczęła szukać papierośnicy, Przyjęła ogień od Cicely Horbury.

— Przepraszam panie, ale tu nie wolno palić. Cicely Horbury rzuciła:

— Do diabła!

*Monsieur* Herkules Poirot myślał:

„Ta mała tam jest ładna. Ma stanowczy podbródek. Ale dlaczego tak się czymś martwi? Dlaczego z taką stanowczością nie chce patrzeć na tego przystojnego młodzieńca, który siedzi naprzeciwko niej? Jest bardzo świadoma jego obecności... I on jej”. Samolot opadł trochę niżej. „*Mon estomac*” — pomyślał Poirot i zdeterminowany zamknął oczy.

Obok niego doktor Bryant, pieszcząc swój flet nerwowymi rękami, myślał:

„Nie mogę się zdecydować. Po prostu nie mogę się zdecydować. To jest punkt zwrotny w mojej karierze...”

Nerwowym ruchem wyjął flet z futerału i zaczął go pieścić z miłością. Uśmiechając się lekko, podniósł flet do ust, a następnie go odłożył. Siedzący obok mały mężczyzna z wąsami spał głęboko. Był moment, gdy samolot zaczął trochę podskakiwać, i wtedy tamten wyraźnie zieleniał. Doktor Bryant był szczęśliwy, że on sam nie ma choroby morskiej ani lokomocyjnej...

*Monsieur* Dupont, ojciec, odwrócił się podekscytowany w fotelu i krzyknął do siedzącego obok niego *monsieur* Duponta, syna:

— Co do tego nie ma wątpliwości. Oni wszyscy się mylą — Niemcy, Amerykanie, Anglicy! Wszyscy źle datują prehistoryczną ceramikę. Weź na przykład to, co znaleziono w Samarze...

Jean Dupont, wysoki, jasnowłosey, z udaną opieszałością stwierdził:

— Należy wziąć pod uwagę dowody ze wszystkich źródeł. Na przykład z Tali Halaf i Sakje Geuze...

Dyskusja przedłużała się.

Armand Dupont otworzył z wysiłkiem dyplomatkę.

— A co powiesz na przykład na współczesne kurdyjskie fajki? Dekoracje na nich są prawie identyczne jak na ceramice z piątego tysiąclecia przed Chrystusem.

Elokwentny gest prawie zmiotł talerz, który steward próbował przed nim postawić.

Pan Clancy, pisarz powieści kryminalnych, wstał z fotela znajdującego się za Normanem Gale'em i poszedł do końca kabiny, wyjął z kieszeni płaszcz kontynentalny rozkład jazdy Bradshawa i wrócił,



aby rozpracować skomplikowane alibi, potrzebne do jego następnej książki.

Siedzący za nim pan Ryder myślał:

„Muszę zachować pogodę ducha, ale to nie będzie łatwe. Nie wiem, jak sobie poradzę ze zdobyciem następnych dywidend... Jeżeli pominiemy dywidendy, to wszystko się wyda... O, do diabła!”

Norman Gale wstał i poszedł do toalety. Po jego odejściu, Jane natychmiast wyjęła lusterko i przejrzała się w nim. Przypudrowała twarz i przeciągnęła szminką po wargach.

Steward postawił przed nią kawę.

Jane wyjrzała przez okienko. Poniżej widać było błyszczący niebieski kanał La Manche.

Osa zabrzęczała przy głowie Clancy'ego, kiedy dotarł do godziny 19.55 przy Tzaribrodzie. i bezwiednie machnął na nią ręką. Osa odleciała, aby zbadać filiżanki z kawą Dupontów.

Jean Dupont zręcznie ją uśmiercił.

W kabinie zapanował spokój. Rozmowy ucichły, ale myśli nadal płynęły swoją drogą.

Po prawej, przy końcu kabiny, na miejscu numer 2, głowa Madame Giselle kiwnęła się lekko do przodu. Można by pomyśleć, że zasnęła. Ale nie spała. Nie mogła ani mówić, ani myśleć.

Madame Giselle nie żyła...

# Rozdział drugi

## Odkrycie

Henry Mitchell, starszy z dwóch stewardów, przechodził szybko od stolika do stolika, kładąc na nich rachunki. Za pół godziny wylądują w Croydon. Zbierał banknoty i drobne monety i kłaniał się mówiąc: „Dziękuję, sir. Dziękuję pani”. Przy stoliku, gdzie siedziało dwóch Francuzów, musiał czekać chwilę, ponieważ zajęci byli dyskusją i gestykulacją. A poza tym od nich nie będzie dużego napiwku, pomyślał ponuro. Dwóch pasażerów spało — mały mężczyzna z wąsami i starsza kobieta na końcu przedziału. Ona dawała dobre napiwki — pamiętał ją z wielu przelotów nad kanałem La Manche. Wobec tego powstrzymał się od budzenia jej.

Mały mężczyzna z wąsami ocknął się. zapłacił za butelkę wody sodowej i cienki biszkopt, to znaczy za wszystko, co zamówił.

Mitchell zostawił pasażerkę w spokoju tak długo, jak to tylko było możliwe. Na pięć minut przed lądowaniem w Croydon stanął przy niej i pochylił się.

— *Pardon, madame*, pani rachunek.

Położył z szacunkiem rękę na jej ramieniu. Nie zbudziła się. Nacisnął silniej i delikatnie potrząsnął, ale jedynym rezultatem było niespodziane osunięcie się ciała w dół fotela. Mitchell pochylił się nad nią, a następnie wyprostował z pobladłą twarzą.

Drugi steward, Albert Davis, powiedział: — Ooo! To chyba niemożliwe!

— Mówię ci, że to prawda. Mitchell był blady i drżał.

— Jesteś pewien, Henry?

— Zupełnie pewien. W każdym razie... no, przypuszczam, że to może być atak.

— Za kilka minut wylądujemy.

— Jeżeli ona tylko źle się czuje...

Przez chwilę byli niezdecydowani, a potem ustalili plan działania. Mitchell wrócił do tylnej części samolotu. Przechodził od stolika do stolika, mruczając poufnie:

— Proszę mi wybaczyć, sir, czy pan przypadkiem nie jest lekarzem...?

Norman Gale powiedział:

— Ja jestem dentystą. Ale jeśli mogę w czymś pomóc...? — Uniósł się w fotelu.

— Ja jestem lekarzem — oświadczył doktor Bryant. — O co chodzi?

— Kobieta, tam, na końcu... nie podoba mi się jej wygląd.

Bryant wstał i poszedł za stewardem. Nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, podążył za nim również mały mężczyzna z wąsami.

Doktor Bryant pochylił się nad skurczoną figurą w fotelu numer 2. Była to starsza kobieta, ubrana na czarno.

Lekarz szybko ją zbadał.

— Nie żyje — powiedział.

— Myśli pan, że dostała... jakiegoś ataku? — spytał Mitchell.

— Nie mogę tego stwierdzić bez dokładnego zbadania. Kiedy widział ją pan po raz ostatni... to znaczy, po raz ostatni żywą?

Mitchell zastanowił się.

— Wydawało się, że jest zdrowa, kiedy przyniosłem jej kawę.

— Kiedy to było?

— No, przed trzema kwadransami... czy coś koło tego. A potem, gdy przyniosłem rachunek, myślałem, że śpi...

— Ona nie żyje już co najmniej pół godziny — rzekł Bryant.

Ich rozmowa zaczynała wzbudzać zainteresowanie. Głowy odwróciły się. Szyje wyciągnęły się nad słuchujące.

— Przypuszczam, że to chyba był jakiś atak? — zasugerował z nadzieją Mitchell. Upierał się przy teorii ataku.

Siostra jego żony też miewała takie ataki. Uważał, że tego rodzaju wypadki były normalne i zrozumiałe.

Doktor Bryant nie miał ochoty przesądzać sprawy. Potrząsnął tylko głową z wyrazem zdumienia.

Obok jego łokcia odezwał się owinięty szalem mężczyzna z wąsami.

— Jest jakiś ślad na jej szyi — powiedział. Mówił usprawiedliwiająco, jakby zwracał się do człowieka z większą wiedzą.

— Istotnie — przyznał doktor Bryant.

Głowa kobiety przechyliła się na bok. Na szyi widać było mały punkcik.

— *Pardon...* — dołączyli obaj Dupontowie. Od kilku minut przysłuchiwali się rozmowie. — Pan powiedział, że ta pani nie żyje i że na jej szyi jest ślad? — zapytał młodszy.

— Czy mogę coś zasugerować? Latała tu osa. Zabiłem ją.

— Pokazał martwego owada leżącego na spodku od filizanki.

— Może ta biedna kobieta zmarła od użądlenia osy? Słyszałem, że takie rzeczy się zdarzają.

— To możliwe — zgodził się Bryant. — Znam takie wypadki. Tak, to jest w pewnym sensie możliwe wyjaśnienie, szczególnie, jeśli miała słabe serce... — Czy powinienem coś zrobić, sir? — zapytał steward. — Za minutę wylądujemy w Croydon.

— Tak, tak — rzekł doktor Bryant, odsuwając się trochę. — Już nic się nie da zrobić. Ciało... hm... ciała nie wolno ruszać.

— Tak, sir, to dla mnie zupełnie zrozumiałe. Doktor Bryant szykował się już, aby powrócić na swój fotel. Spojrzał zaskoczony na małego opatulonego szalem obcokrajowca, który nadal tkwił przy ciele.

— Drogi panie — rzekł — najlepiej będzie, jeżeli wróci pan na miejsce. Zaraz będziemy w Croydon.

— To prawda, sir — dodał steward i podniósł głos. — Proszę wszystkich o zajęcie swoich miejsc.

— *Pardon* — rzekł mały mężczyzna. — Tu jest coś...

— Coś?

— *Mais oui*\*. Coś, co przeoczono.

Czubkiem spiczastego lakierka wskazał to, co zauważył. Steward i doktor Bryant podążyli wzrokiem za jego ruchem. Ujrzeli na podłodze coś żółtego i czarnego, coś co było na pół schowane za brzegiem czarnej spódnicy.

— Druga osa? — spytał zdumiony doktor. Herkules Poirot uklęknął. Wyjął z kieszeni małą pęsetkę. Wstał ze zdobyczą.

— Bardzo podobne do osy — powiedział — ale to nie jest osa!

Obracał tym przedmiotem na wszystkie strony, tak że doktor i steward mogli go dobrze obejrzeć. Przypominał długi dziwny kolec z odbarwioną końcówką, do którego przylepione były postrzępione

kawałki puszystego żółtego i czarnego jedwabiu.

— Boże miłosierny! Boże, miej litość! — Ten okrzyk dobiegł od strony małego pana Clancy’ego, który opuścił swój fotel i z desperacją próbował wyciągnąć szyję ponad ramię stewarda. — Niezwykła, naprawdę bardzo niezwykła, absolutnie najbardziej niezwykła rzecz, z jaką się w życiu zetknąłem. Na moją duszę, nigdy bym w to nie uwierzył.

— Czy mógłby pan jaśniej powiedzieć, o co panu chodzi? — zapytał steward. — Pan to rozpoznaje?

— Czy to rozpoznaję? Oczywiście, że rozpoznaję.

— Pan Clancy napszył się dumny i zadowolony. — Ten przedmiot, panowie, to kolec, jaki pewne plemiona wydmuchują z dmuchawki... hm... nie jestem teraz zupełnie pewien, czy te plemiona mieszkają w Ameryce Południowej czy też może są to mieszkańcy Borneo; jednak przekonany jestem, że to z pewnością jest strzałka, jaką wydmuchują z dmuchawki, i podejrzewam, że na jej ostrzu...

— To znana zatruta strzałka Indian południowoamerykańskich — dokończył Herkules Poirot. I dodał:

— *Mais enfin! Est-ce que c’est possible?\**

— Tak, to naprawdę zdumiewające — rzekł pan Clancy, ciągle jeszcze owładnięty pełnym zachwyty podnieceniem. — Wprost nieprawdopodobnie zdumiewające. Piszę powieści kryminalne, ale żeby spotkać się z tym w rzeczywistości...

Zabrakło mu słów.

Samolot powoli przechylił się na bok i pasażerowie, którzy stali, zaczęli się chwiać. Samolot krążąc lądował na lotnisku w Croydon.

# Rozdział trzeci

## Croydon

Steward i doktor przestali kontrolować sytuację. Ich miejsce zajął trochę absurdalnie wyglądający mały mężczyzna okutany szalem. Mówił autorytatywnym tonem, pewien, że będą go słuchali bez zastrzeżeń.

Szepnął coś do Mitchella, ten skinął głową i przepychając się między pasażerami stanął w drzwiach korytarza prowadzącego do przedniej części *Prometeusza*.

Teraz samolot toczył się już po ziemi. Kiedy wreszcie zatrzymał się, Mitchell oznajmił głośno:

— Panie i panowie, muszę prosić, aby pozostali państwo na swoich miejscach aż do czasu, gdy ktoś oficjalnie zajmie się tą sprawą. Mam nadzieję, że nie będą państwo długo zatrzymywani.

Większość pasażerów uznała konieczność zastosowania się do tego polecenia. Tylko jedna osoba ostro zaprotestowała.

— Nonsens — zawołała lady Horbury z gniewem. — Czy pan wie, kim ja jestem? Domagam się, żeby mi pozwolono natychmiast opuścić ten samolot.

— Bardzo mi przykro, proszę pani. Nie mogę zgodzić się na żaden wyjątek.

— Ale to absurd, zupełny absurd. — Cicely gniewnie tupiała. — Złożę zażalenie. To okropne tak nas zamykać razem z trupem.

— Doprawdy, moja droga — powiedziała Venetia Kerr spokojnym głosem — to jest kłopotliwe, ale mam wrażenie, że będziemy musieli się z tym pogodzić. — Usiadła i wyjęła papierośnicę. — Czy teraz mogę już zapalić? — zapytała stewarda.

Zmęczony Mitchell odparł:

— Nie sędzę, żeby teraz miało to jakieś znaczenie, proszę pani.

Obejrzał się przez ramię. Davis pozwolił wysiąść pasażerom z przedniej części samolotu przez drzwi awaryjne i poszedł po dalsze polecenia.

Czekanie nie trwało długo, ale podróżnym wydawało się, że minęło co najmniej pół godziny, zanim pojawiła się sztywna postać w cywilnym ubraniu w towarzystwie umundurowanego policjanta. Szybko przecięli płytę lotniska, wspięli się do samolotu i weszli przez drzwi, które Mitchell trzymał otwarte.

— No i co się tu właściwie dzieje? — spytał przybysz szorstkim, oficjalnym tonem.

Wysłuchał Mitchella, potem Bryanta i rzucił szybkie spojrzenie na skurczone ciało zmarłej.

Wydał polecenie policjantowi i zwrócił się do pasażerów:

— Czy mogą państwo udać się za mną?

Towarzyszył im przy wysiadaniu z samolotu i poprowadził przez płytę lotniska. Zamiast do sali odpraw celnych, zaprowadził ich do małego odosobnionego pokoju.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał państwa trzymać dłużej niż to konieczne.

— Panie inspektorze — rzekł James Ryder — ale ja mam bardzo ważną sprawę do załatwienia w Londynie.

— Przykro mi, sir.

— Jestem hrabiną Horbury. Uważam, że to absolutnie niewybaczalne, aby mnie w ten sposób tu zatrzymywać!

— Szczerze mi przykro, lady Horbury, ale, widzi pani, to bardzo poważna sprawa. Wygląda na morderstwo.

— Zatruta strzała południowoamerykańskich Indian — mruknął pan Clancy nieprzytomnie, z uśmiechem szczęścia na twarzy.

Inspektor spojrzał na niego podejrzliwie.

Archeolog powiedział coś z podnieceniem po francusku i inspektor odpowiedział mu wolno w tym samym języku.

— To wszystko jest doprawdy okropnie nudne — westchnęła Venetia Kerr — ale sądzę, że musi pan wypełnić swój obowiązek, inspektorze.

— Dziękuję, pani — odpowiedział na to inspektor z odcieniem pewnej wdzięczności i kontynuował: — Panie i panowie, proszę o pozostanie tutaj. Ja tymczasem chciałbym zamienić kilka słów z doktorem... hm... z doktorem...

— Nazywam się Bryant.

— Dziękuję. Proszę tedy, panie doktorze.

— Czy mogę asystować przy tej rozmowie? — odezwał się mały mężczyzna z wąsami.

Inspektor odwrócił się do niego z zamiarem dania ostrej odpowiedzi. Nagle wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił.

— Przepraszam, *monsieur* Poirot — powiedział.

— Jest pan tak owinięty szalem, że nie poznałem pana. Oczywiście, może pan z nami pójść.

Przytrzymał drzwi, przepuszczając Bryanta i Poirot, odprowadzanego podejrzliwymi spojrzeniami reszty towarzystwa.

— A dlaczego jemu wolno wyjść, podczas gdy my musimy tu zostać? — wykrzyknęła Cicely Horbury.

Venetia usiadła zrezygnowana na ławce.

— Ponieważ to jakiś francuski policjant — powiedziała — albo szpicel z urzędu celnego.

Zapaliła papierosa.

Norman Gale odezwał się nieśmiało do Jane:

— Wydaje mi się, że widziałem panią... hm... w Le Pinet.

— Byłam w Le Pinet.

— To niezwykle atrakcyjne miejsce — ciągnął Norman Gale. — Bardzo lubię sosny\*.

— Tak, pięknie pachną — rzekła Jane.

Potem milczeli przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie Gale zauważył:

— Ja... hm... od razu poznałem panią w samolocie.

Jane wyraziła wielkie zdumienie.

— Doprawdy?

— Myśli pani, że tę kobietę naprawdę zamordowano?

— Przypuszczam, że tak — odparła Jane. — To w pewnym sensie podniecające, ale także straszne — wzdrygnęła się nieco i Norman Gale przysunął się do niej opiekuńczym ruchem.

Dupontowie nadal rozmawiali ze sobą po francusku. Pan Ryder liczył coś w swoim małym notesie i od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Cicely Horbury siedziała, uderzając niecierpliwie butem o podłogę. Drżącą ręką zapaliła papierosa.

Na zewnątrz tkwił z kamiennym wyrazem twarzy masywny policjant w niebieskim mundurze.

W pokoju obok inspektor Japp rozmawiał z doktorem Bryantem i Herkulesem Poirotem.

— Masz jakiś specjalny dar ukazywania się w najmniej spodziewanych miejscach. Poirot.



— A czy lotnisko w Croydon nie leży trochę poza twoim rejonem, przyjacielu? — zapytał Poirot.

— No tak, ale jestem tu z powodu największej szczy przemytniczej. To w pewnym sensie szczęśliwy zbieg okoliczności, że tu jestem. Ta sprawa jest najbardziej zadziwiająca, z jaką zetknąłem się od lat. Ale teraz przejdźmy do rzeczy. Przede wszystkim, doktorze, może poda mi pan swoje pełne nazwisko i adres.

— Roger James Bryant. Jestem specjalistą chorób uszu i gardła. Mój adres Harley Street 329.

Siedzący przy stole ościęwały policjant zapisał te dane.

— Nasz lekarz oczywiście zbada ciało — rzekł Japp — ale chcielibyśmy, aby pan był obecny na przesłuchaniu, doktorze.

— Ależ oczywiście.

— Ma pan jakieś przypuszczenie dotyczące czasu śmierci?

— Gdy ją badałem, ta kobieta nie żyła przynajmniej od pół godziny, a badałem ją na kilka minut przed lądowaniem w Croydon. Nie mogę panu powiedzieć nic bliższego, ale dowiedziałem się od stewarda, że rozmawiał z nią godzinę przedtem.

— Zatem to praktycznie zawęża nasz problem. Sądzę, że nie ma sensu pytać czy zauważył pan coś podejrzanego?

Lekarz potrząsnął przecząco głową.

— Ja również nie spałem — powiedział z głębokim smutkiem Poirot. — Cierpię w powietrzu prawie tak bardzo jak na morzu. Zawsze cały dobrze się owijam i próbuję zasnąć.

— Ma pan jakąś teorię co do przyczyny śmierci, doktorze?

— Teraz nie mogę powiedzieć nic konkretnego. To sprawa badania post mortem i analizy.

Japp kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Dobrze, panie doktorze — rzekł — sądzą, że nie musimy pana dłużej zatrzymywać. Jednak obawiam się... hm... że będzie pan musiał przejść pewne formalności, podobnie jak inni pasażerowie. Nie możemy robić wyjątków.

Doktor Bryant uśmiechnął się.

— Wolałbym jednak, żeby pan upewnił się, że... że nie mam przy sobie żadnych dmuchawek ani innej śmiertelnej broni — powiedział poważnie.

— Rogers się tym zajmie — Japp kiwnął na swego podwładnego. — A przy okazji, czy ma pan jakieś przypuszczenia, co prawdopodobnie było na tym?...

Wskazał bezbarwny kolec, który leżał przed nim na stole w małym pudełeczku.

Doktor Bryant potrząsnął głową.

— Trudno powiedzieć bez przeprowadzenia analizy. Tubylcy zwykle używają kurary, jak sędzę.

— I ona mogłaby spowodować śmierć?

— To bardzo szybko, gwałtownie działająca trucizna.

— Ale niełatwo ją otrzymać, prawda?

— Niełatwo komuś, kto nie jest specjalistą.

— A zatem musimy pana przeszukać bardzo dokładnie — powiedział Japp, który zawsze lubił własne dowcipy.

— Rogers!

Doktor i policjant opuścili razem pokój. Japp spojrzał na Poirota.

— Paskudny interes — rzekł. — Trochę zbyt sensacyjny, aby mógł być prawdziwy. Myślę o tych dmuchawkach i zatrutych strzałkach w samolocie... To po prostu obraża moją inteligencję.

— To, mój przyjacielu, jest bardzo trafna uwaga — rzekł Poirot.

— Kilku moich ludzi przeszukuje samolot — oświadczył Japp. — Niedługo przyjdzie kilka osób do zdjęcia odcisków palców i fotograf. Sędzę, że najlepiej będzie, jeśli teraz porozmawiamy ze stewardami.

Podszedł do drzwi i wydał polecenie. Wprowadzono obu stewardów. Młodszy, który zdołał odzyskać już równowagę, okazywał niezwykle podniecenie. Drugi steward był blady i przestraszony.

— W porządku, chłopcy — rzekł Japp. — Siadajcie. Macie ze sobą paszporty? Dobrze!

Przejrzał je szybko.

— Ach, tu mamy. Marie Morisot... Paszport francuski. Wiecie coś o niej?

— Ja ją już przedtem widziałem. Dość często latała tam i z powrotem z Anglii do Francji — odparł Mitchell.

— Pewnie w interesach. Wiecie, co to mogły być za interesy?

Mitchell potrząsnął głową. Młodszy steward powiedział:

— Ja też ją pamiętam. Kiedyś spotkałem ją na wcześniejszym locie... o ósmej z Paryża.

— Który z was ostatni widział ją żywą?

— On — młodszy steward wskazał kolegę.

— Zgadza się — rzekł Milchell. — Wtedy gdy podawałem jej kawę.

— Jak wyglądała?

— Nie zwróciłem na to uwagi. Po prostu podałem jej cukier i zaproponowałem mleko, ale odmówiła.

— Która wtedy była godzina?

— Hm... tego dokładnie nie wiem. Lecieliśmy akurat nad kanałem. Mogło być coś koło drugiej.

— Tak. coś koło tego — dodał Albert Davis, drugi steward.

— Kiedy znowu pan ją widział?

— Gdy zacząłem roznosić rachunki.

— Która wtedy była godzina?

— Mniej więcej piętnaście minut później. Myślałem, że spi... A to dopiero! Z pewnością już nie żyła!

Głos stewarda wyrażał zdumienie.

— Nie zauważył pan żadnego śladu tego... — Japp wskazał małą, podobną do osy strzałkę.

— Nie, sir, nie zauważyłem.

— A pan, Davis?

— Po raz ostatni widziałem ją, kiedy podawałem herbatniki z serem. Wtedy była zupełnie w porządku.

— Jak podajecie posiłki? — zapytał Poirot. — Każdy z was obsługuje inną część samolotu?

— Nie, sir, pracujemy razem. Wpierw zupa, potem mięso i jarzyny, sałata, a następnie deser i tak dalej. Zwykle najpierw obsługujemy część tylną, a potem przechodzimy ze świeżymi porcjami do części przedniej.

Poirot skinął głową.

— Czy ta Morisot rozmawiała z kimś w samolocie albo czy okazywała, że kogoś rozpoznaje? — zapytał Japp.

— Nic takiego nie zauważyłem, sir.

— A pan, Davis?

— Nic, sir.

— Czy w czasie lotu wstawała ze swojego miejsca?

— Nie sędzę, sir.

— Nie przychodzi wam do głowy nic takiego, co mogłoby rzucić jakieś światło na tę sprawę?

Obaj mężczyźni zamyślili się. a następnie potrząsnęli głowami.

— A zatem na razie to wszystko. Zobaczymy się później.

Hemy Mitchell powiedział poważnie: — Wydarzyła się obrzydliwa rzecz, sir. Nie podoba mi się to, szczególnie dlatego, że sam w tym tkwię.

— Nie sędzę, aby pan za cokolwiek ponosił winę — stwierdził Japp. — Niemniej zgadzam się z panem, że wydarzyła się rzecz paskudna. Odprawił ich ruchem ręki, ale Poirot nachylił się do Jappa.

— Proszę mi pozwolić na jedno małe pytanie.

— Proszę bardzo, *monsieur* Poirot.

— Czy któryś z was zauważył w samolocie latającą osę?

Obaj mężczyźni potrząsnęli przecząco głowami.

— Ja nie zauważyłem żadnej osy — rzekł Mitchell.

— Tam naprawdę była osa — oświadczył Poirot.

— Widzieliśmy ją martwą na talerzyku jednego z pasażerów.

— Ja tego nie widziałem, sir — rzekł Mitchell.

— Ani ja — dodał Davis.

— Nieważne.

Obaj stewardzi opuścili pokój. Japp szybko przeglądał paszporty.

— Mamy jakąś hrabinę na pokładzie — rzekł.

— Sędzę, że to ta, która zaczęła się rzucać. Lepiej wezwijmy ją, zanim straci nad sobą panowanie i zacznie interpelować w rządzie w sprawie brutalnych metod policji.

— Przypuszczam, że bardzo dokładnie przeschukasz wszystkie bagaże... podręczny bagaż... pasażerów tylnej części samolotu?

Japp zamrugał wesoło.

— Pewnie, a ty jak myślałeś, Poirot? Przecież musimy znaleźć tę dmuchawkę, o ile w ogóle istnieje i to wszystko nam się nie śni! Mnie cała ta sprawa wydaje się jakimś sennym koszmarem. Przypuszczam, że ten mały pisarz nie dostał nagle bzika i nie zdecydował się naprawdę popełnić zbrodni, zamiast przelewać je na papier? Ta cała historia z zatrutą strzałką wygląda jak wyjęta z książki.

Poirot potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Tak — kontynuował Japp — wszyscy muszą zostać przeschukani, czy to im się podoba czy nie; a także cały bagaż — bez wyjątku.

— Może zrobić dokładny spis — zasugerował Poirot. — Spis wszystkich przedmiotów, które znajdują się w posiadaniu tych ludzi.

Japp spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Można to zrobić, jeśli koniecznie chcesz, Poirot. Ale niezupełnie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież wiemy, czego szukamy.

— Ty może wiesz, *mon ami*, ale ja nie jestem tego taki pewien. Ja czegoś szukam, jednak jeszcze nie wiem czego.

— Znowu zaczynasz, Poirot! Zawsze lubisz wszystko gmatwać, prawda? A teraz zabierajmy się za tą jaśnie panią, zanim zdąży wydrapać mi oczy.

Jednak lady Horbury wyraźnie się uspokoiła. Przyjęła zaoferowane krzesło i bez wahania odpowiadała na pytania Jappa. Przedstawiła się jako żona hrabiego Horbury, podała adres Horbury Chase w Sussex i w Londynie przy Grosvenor Square trzysta piętnaście. Wraciała do Londynu z Le Pinet i Paryża. Zupełnie nie знаła zmarłej. W czasie lotu nie zauważyła nic podejrzanego. Była zwrócona twarzą w stronę przodu samolotu, nie miała więc okazji widzieć tego, co działo się za nią. W czasie lotu nie opuszczała swego miejsca. Na tyle, na ile pamięta, nikt nie wchodził z przedniej części samolotu, z wyjątkiem stewardów. Nie pamięta dokładnie, ale przypuszcza, że dwóch pasażerów, mężczyzn, opuściło tylną część samolotu, aby udać się do toalet. Nie jest tego zupełnie pewna. Nie widziała nikogo, kto trzymałby w ręku coś przypominającego dmuchawkę. Nie — w odpowiedzi na pytanie Poirota — nie zauważyła osy w samolocie. Lady Horbury została zwolniona. Zastąpiła ją panna Venetia Kerr.

Zeznanie panny Kerr było podobne. Podała swoje nazwisko, Venetia Anne Kerr, i adres: Little Paddocks, Horbury w Sussex. Wraciała z południowej Francji. I, o ile dobrze pamięta, to nigdy nie spotkała zmarłej. W czasie lotu nie zauważyła nic podejrzanego. Tak, owszem, widziała, jak pasażerowie w tylnej części samolotu oganiali się od osy. Pomyślała, że któryś z nich ją zabił. Miało

to miejsce już po podaniu lunchu.

Panna Kerr wyszła.

— Wydajesz się bardzo .interesować tą osą, Poirot.

— Osa jest nie tyle interesująca, co raczej coś sugeruje, prawda?

— Gdybyś mnie zapytał — rzekł Japp zmieniając temat — to w tym wszystkim tkwią ci dwaj Francuzi! Oni siedzieli po drugiej stronie przejścia, niedaleko pani Morisol. Wyglądają niechlujnie i ta ich zniszczona stara walizka jest cała oblepiona jakimiś nie znanymi nalepkami. — Nie zdziwiłbym się, gdyby byli w Borneo albo w Ameryce Południowej, czy gdziekolwiek to tam jest. Oczywiście, na razie nie możemy ustalić motywu, ale spodziewam się, że otrzymamy informacje na ten temat z Paryża. Musimy połączyć się z Sûreté i poprosić ich o współpracę. To bardziej ich robota niż nasza. Ale ja uważam, że najbardziej podpadają ci dwaj.

Oczy Poirota lekko błysnęły.

— To, co mówisz, jest całkiem możliwe, ale mylisz się w co najmniej kilku punktach, drogi przyjacielu. Ci dwaj mężczyźni nie są gangsterami ani podrzynaczami gardeł, jak to sugerujesz. Przeciwnie, są szanowanymi i znanymi archeologami.

— No, no... Znowu mnie nabierasz!

— Absolutnie nie. Od razu ich poznałem. To jest *monsieur* Armand Dupont i jego syn, *monsieur* Jean Dupont. Niedawno wrócili z Persji, gdzie niedaleko Suzy prowadzili bardzo interesujące wykopaliska.

— Nie może być!

Japp chwycił paszport.

— Masz rację, Poirot — rzekł — ale musisz przyznać, że nie wyglądają na takich, prawda?

— Ludzie znani na świecie rzadko na takich wyglądają! Ja sam — *moi, qui vous parle* — przedtem często brany byłem za fryzjera!

— Nie mów tak — uśmiechnął się Japp. — No, więc obejrzyjmy sobie tych dystyngowanych archeologów.

*Monsieur* Dupont. ojciec, oświadczył, że zmarła była mu zupełnie nie znana. W czasie lotu nic nie zauważył, ponieważ przez cały czas prowadził z synem bardzo interesującą dyskusję. W ogóle nie opuszczał fotela. Tak, pod koniec lunchu zauważył osę. Zabił ją syn.

To zeznanie potwierdził *monsieur* Jean Dupont. On nic nie widział, co się wokół niego działo. Osa go zdenerwowała i zabił ją. Jaki był temat dyskusji? Prehistoryczna ceramika Bliskiego Wschodu.

Dla pana Clancy'ego, który był następny, przesłuchanie nie było zbyt przyjemne. Inspektor Japp czuł, że pisarz wie zbyt dużo o dmuchawkach i zatrutych strzałkach.

— Miał pan kiedyś taką dmuchawkę?

— No... ja... hm... No tak, rzeczywiście, mam taką.

— No właśnie! — Inspektor Japp rzucił się na to oświadczenie.

Mały pan Clancy prawie piszczał z podniecenia.

— Pan musi... no... musi pan mnie dobrze zrozumieć; moje motywy są zupełnie niewinne. Mogę to wyjaśnić...

— Tak, sir, może pan to wyjaśni.

— Widzi pan, napisałem książkę, w której w ten właśnie sposób popełniono morderstwo... — Coś takiego...

Znów w jego głosie zabrzmiał groźny ton. Pan Clancy pospiesznie mówił dalej:

— Wszystko było kwestią odcisków palców... jeśli pan rozumie, o co mi chodzi". Było to konieczne, aby dobrze przedstawić cały problem... No, wie pan... odciski palców... ich układ... położenie na dmuchawce. I kiedy zauważyłem taki przedmiot — a było to na Charing Cross Road — jakieś dwa lata temu — no więc kupiłem sobie wtedy taką dmuchawkę... A mój przyjaciel, artysta, był tak uprzejmy, że mi ją narysował, razem z tymi odciskami palców, ilustrując w ten sposób cały problem. Odsyłam pana do tej książki: *Tajemnicy szkarłatnego płatka*, a także do tego mojego przyjaciela.

— Ma pan jeszcze tę dmuchawkę?

— Chyba tak... No, chyba tak... Myślę, że tak.

— A gdzie ona teraz jest?

— Przypuszczam, że... że gdzieś musi być.

— Co pan dokładnie przez to rozumie, że gdzieś musi być,— panie Clancy?

— Myślę, że... no... gdzieś... Nie wiem gdzie, bo jestem trochę bałaganiarzem.

— Czy na przykład nie ma pan jej przy sobie?

— Z pewnością nie. Nie widziałem tego przedmiotu przynajmniej od sześciu miesięcy.

Inspektor Japp rzucił mu lodowato podejrzliwe spojrzenie i kontynuował pytania.

— Czy pan opuszczał swoje miejsce w samolocie?

— Nie, na pewno nie... chociaż... ależ tak, opuszczałem.

— Och, a więc opuszczał pan. Dokąd pan poszedł?

— Poszedłem wyjąć z kieszeni płaszcz kontynentalny Bradshaw. Płaszcz leżał na stosie pledów i walizek, przy wejściu, na końcu samolotu.

— A zatem przechodził pan w pobliżu fotela zmarłej?

— Nie... chociaż... no, tak, musiałem przechodzić. Ale na długo przedtem, zanim to się stało. Właśnie dopiero co skończyłem zupę.

Dalsze pytania dały negatywne odpowiedzi. Pan Clancy nie zauważył nic podejrzanego. Był zajęty udoskonalaniem swojego europejskiego alibi.

— Alibi? — zdziwił się ponuro inspektor. Poirot wtrącił się z pytaniem dotyczącym os.

Tak, pan Clancy zauważył osę. Zaatakowała go. Boi się os. A kiedy to było? Zaraz po tym, jak steward podał mu kawę. Machnął na nią i osa odleciała.

Clancy podał nazwisko i adres i pozwolono mu odejść, co zrobił z wyrazem ulgi na twarzy.

— Według mnie wygląda to trochę podejrzenie — powiedział Japp. — Przyznał, że miał dmuchawkę, i to jego zachowanie... Po prostu załamał się.

— To przez twoje surowe zachowanie, drogi Jappie.

— Jeśli tylko mówi prawdę, nie ma się czego bać — powiedział z powagą człowiek ze Scotland Yardu.

Poirot spojrział na niego z politowaniem.

— Sądzę, że ty szczerze w to wierzysz.

— Ma się rozumieć, że wierzę. Bo to jest prawda. A zatem wezwijmy teraz Normana Gale'a.

Norman Gale podał swój adres, Muswell Hill, Shepherd Avenue czternaście. Z zawodu był dentystą. Wracał z urlopu, który spędzał na francuskim wybrzeżu, w Le Pinet. Przebywał jeden dzień w Paryżu, oglądając różne narzędzia dentystyczne.

Nigdy nie widział zmarłej i w czasie lotu nic podejrzanego nie zauważył. A poza tym odwrócony był w inną stronę — ku przedniej części samolotu. Tylko raz wstał i udał się do toalety. Potem wrócił prosto na swój fotel i do tyłu już nie chodził. Nie widział żadnej osy.

Po nim przyszedł James Ryder, był trochę zdenerwowany i zachowywał się szorstko.



Wracał z Paryża, dokąd udał się w interesach. Nie znał zmarłej. Tak, zajmował miejsce bezpośrednio przed nią, ale nie mógł jej widzieć bez wstawania z miejsca i spojrzenia ponad oparciem fotela. Nic nie słyszał. Żadnego krzyku czy głośnego jęku. Nikt w tę stronę nie podchodził, poza stewardami. Tak, po przeciwnej stronie przejścia zajmowali miejsca dwaj Francuzi. Oni przez cały lot rozmawiali ze sobą. Młodszy z nich pod koniec posiłku zabił osę. Nie, on osy przedtem nie zauważył. Nie ma pojęcia, jak wygląda dmuchawka, nigdy się z czymś podobnym nie spotkał, więc nie wie, czy widział ją w czasie lotu czy też nie...

W tym właśnie momencie usłyszeli pukanie do drzwi. Wszedł policjant, z jego zachowania przebijał skrywany triumf.

— Właśnie znalazł to sierżant, sir — rzekł. — Przypuszczał, że będzie pan chciał to mieć natychmiast.

Położył zdobycz na stole i ostrożnie odwinął z chusteczki.

— Żadnych odcisków palców, o ile mógł stwierdzić sierżant, ale mówił, żebym był ostrożny.

Przedmiot, który ukazał się ich oczom, był niewątpliwie dmuchawką ręcznej roboty. Japp szybko nabrał powietrza.

— Wielki Boże! A więc to prawda! Na moją duszę, nie wierzyłem!

Pan Ryder z zainteresowaniem pochylił się nad dmuchawką.

— A więc tego używają w Ameryce Południowej? Czytałem o tym, ale nigdy nie widziałem. No, teraz mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie. Nie widziałem nikogo, kto miałby w ręce coś podobnego.

— Gdzie to znaleziono? — zapytał ostro Japp.

— Było wciśnięte w jeden z foteli.

— W który?

— Numer dziewięć.

— Bardzo zabawne — powiedział Poirot.

— Co jest w tym zabawnego?

— Tylko to, że numer dziewięć to był mój fotel.

— A zatem nie wygląda to dla pana najciekawiej — rzekł Ryder.

Japp zmarszczył brwi.

— Dziękuję, panie Ryder, to wszystko.

Kiedy ten wyszedł, inspektor zwrócił się do Poirota z uśmiechem:

— To twoja robota, stary?

— *Mon ami* — rzekł wyniośle Poirot — kiedy ja popełnię morderstwo, to nie przy pomocy zatrutej strzały Indian południowoamerykańskich.

— Tak, jest to trochę prymitywne — zgodził się Japp — ale wydaje się, że skuteczne.

— Właśnie dlatego daje tyle do myślenia.

— Ktokolwiek to zrobił, dużo ryzykował. Tak, na Boga, dużo ryzykował. Boże, ten facet był chyba zupełnym wariatem. Kto nam jeszcze został? Tylko dziewczyna. Wezwijmy ją i skończmy z tym. Jane Grey — to brzmi jak z jakiejś powieści historycznej.

— To bardzo ładna dziewczyna — zauważył Poirot.

— Ładna?... ty stary łobuzie. I ty przez cały czas spałeś, co?

— Jest ładna... i była zdenerwowana — rzekł Poirot.

— Zdenerwowana...? — zapytał zaniepokojony Japp.

— Och, mój drogi, jeżeli dziewczyna jest nerwowa, to zwykle chodzi o jakiegoś młodego mężczyznę... a nie o zbrodnię. — No dobrze, przypuśćmy, że masz rację. Oto i ona.

Jane odpowiadała na zadane pytania dość jasno. Nazywała się Jane Grey, pracowała u pana Antoine, w zakładzie fryzjerskim przy Burton Street. Jej domowy adres: Marrogate Street dziesięć, N.W.5. Wracała do Anglii z Le Pinet.

— Le Pinet... hm!

Dalsze pytania wyciągnęły z niej informacje o wygranym losie.

— Te wszystkie Irlandzkie Loterie powinno się uznać za nielegalne — warknął Japp.

— A ja myślę, że są wspaniałe — powiedziała Jane. — Czy pan nigdy nie postawił chociaż pół korony na konia?

Japp zaczerwienił się zakłopotany.

Wznowił pytania. Kiedy pokazał jej dmuchawkę, Jane zaprzeczyła, aby kiedykolwiek ją widziała. Nie знаła zmarłej, ale zauważyła ją w Le Bourget.

— Co takiego sprawiło, że zwróciła pani na nią uwagę? .

— Była taka okropnie brzydka — odpowiedziała szczerze Jane.

Więcej z niej nie wyciągnęli i pozwolili jej odejść. Japp wrócił do badania dmuchawki.

— To mnie dobija — rzekł. — Najbardziej kretyńska i fantastyczna opowieść kryminalna okazała się rzeczywistością! Czego powinniśmy szukać? Kogoś, kto przebywał w tej części świata, z której to pochodzi? A skąd właściwie pochodzi ten przedmiot? Musimy w tej sprawie powołać eksperta. To może być Ameryka Południowa, Malaje albo Afryka.

— Tak, to oryginalne — powiedział Poirot. — Przy bliższej inspekcji zauważysz przylepiony mikroskopijny kawałeczek papieru. Wygląda to na resztki przyklejonej karteczki z ceną. Wydaje mi się, że nasz okaz przybył tu z dziczy via antykwariat. Może to pomóc nam w poszukiwaniach. Mam jeszcze jedno małe pytanie.

— Proszę bardzo.

— Chyba zrobisz ten spis... spis wszystkich przedmiotów należących do pasażerów?

— Nie sądzę, żeby to teraz było najważniejsze, ale można zrobić ten spis. Upierasz się przy tym, co?

— *Mais oui*. To dla mnie zagadkowe, bardzo zagadkowe. Gdybym tylko znalazł coś, co by mi pomogło...

Japp nie słuchał. Oglądał kawałeczek przyklejonego papieru.

— Clancy mówił, że kupił taką dmuchawkę. Ci autorzy powieści kryminalnych... Zawsze próbują robić z policjantów idiotów... i wszystko gmatwają. Gdybym to ja mówił mojemu szefowi tego rodzaju rzeczy, co ich inspektorzy wygadują swoim zwierzchnikom, jutro wylano by mnie na zbity pysk z policji. Banda ignoranckich bazgraczy! A to właśnie jest takie cholernie głupie morderstwo, jakie wymyśliłby grafoman — i byłby jeszcze przekonany, że pozostanie bezkarny!

# Rozdział czwarty

## Przesłuchanie

Cztery dni później odbyło się przesłuchanie w sprawie Marie Morisot. Sensacyjny sposób, w jaki została zamordowana, wzbudził ogromne zainteresowanie i rozprawa u koronera ściągnęła tłum ciekawskich.

Pierwszym powołanym świadkiem był wysoki, starszy Francuz z siwą brodą — mecenas Alexandre Thibault. Mówił po angielsku wolno, ale precyzyjnie, z lekkim akcentem, lecz zupełnie czysto.

Po zadaniu wstępnych pytań koroner zapytał:

— Czy obejrzał pan ciało zmarłej? Rozpoznał ją pan?

— Tak, to moja klientka. Marie Angélique Morisot. — Takie nazwisko figuruje w paszporcie zmarłej. Czy znana też była pod innym nazwiskiem?

— Tak, jako Madame Giselle.

Dookoła rozszedł się szmer podniecenia. Reporterzy uchwycili ołówki w dłonie. Koroner zapytał:

— Może nam pan powiedzieć, kim dokładnie była pani Morisot... czy też Madame Giselle?

— Madame Giselle to był pseudonim, pod którym prowadziła interes. Była jedną z najbardziej znanych lichwiarek w Paryżu.

— Gdzie prowadziła ten swój interes?

— Przy rue Joliette trzy. Tam również mieszkała.

— Wiem, że podróżowała dość często do Anglii. Czy jej interesy obejmowały również i ten kraj?

— Tak. Wielu z jej klientów było Anglikami. W pewnych sferach była dobrze znana.

— Jak by pan opisał te sfery?

— Jej *clientèle* wywodziła się spośród klas wyższych i przedstawicieli wolnych zawodów. To ludzie, którym zależało na utrzymaniu całkowitej dyskrecji.

— Miała opinię dyskretnej?

— Niezwykle dyskretnej.

— Mogę spytać, czy znał pan szczegóły tych jej... hm... jej różnych transakcji?

— Nie. Wprawdzie zajmowałem się prawną stroną jej interesów, lecz Madame Giselle była kompetentna, mogła zupełnie sama zajmować się swoimi sprawami. Cały interes kontrolowała osobiście. Miała, jeśli tak można powiedzieć, bardzo oryginalny charakter i była bardzo dobrze znana.

— Czy, o ile panu o tym wiadomo, w chwili śmierci była bogata?

— Niezwykle bogata.

— Czy według pana miała jakichś wrogów?

— Tego nie wiem.

Mecenas Thibault zszedł i wezwano Henry'ego Mitchella.

— Nazywa się pan Henry Charles Mitchell — rzeki koroner — i mieszka pan w Wandsworth przy Shoeblock Lane jedenaście?

— Tak, sir.

— Pracuje pan w Universal Airlines Limited?

— Tak, sir.

— Jest pan starszym stewardem na *Prometeuszu*?

— Tak, sir.

— W ubiegły wtorek, osiemnastego, miał pan służbę w czasie lotu o dwunastej w południe z Paryża do Croydon. Na pokładzie znajdowała się zmarła. Czy przedtem widział pan tę kobietę? — Tak, sir. Sześć miesięcy temu latałem o ósmej czterdzieści pięć i kilkakrotnie zauważyłem ją w tym właśnie samolocie.

— Czy wie pan, jak się nazywała?

— Musiała być na mojej liście, sir, ale specjalnie nie zwróciłem na nią uwagi.

— Słyszał pan kiedyś nazwisko Madame Giselle?

— Nie, sir.

— Proszę własnymi słowami opisać wydarzenia z ostatniego wtorku.

— Podawałem lunch, sir, a potem zacząłem krążyć z rachunkami. Pomyślałem, że zmarła śpi. Zdecydowałem się zbudzić ją dopiero pięć minut przed podejściem do lądowania. Kiedy zbliżyłem

się do niej, stwierdziłem, że albo nie żyje, albo jest poważnie chora. Odkryłem, że na pokładzie jest również lekarz. On powiedział...

— Doktor Bryant będzie zeznawał odrębnie. Może pan to obejrzyć?

Mitchell ostrożnie wziął dmuchawkę do ręki.

— Widział pan to kiedyś?

— Nie, sir.

— Jest pan pewien, że nie widział tego u któregoś z pasażerów?

— Tak, sir.

Teraz na miejscu dla świadków stanął młodszy steward.

— Pan Albert Davis zamieszkały w Croydon, Barcome Street dwadzieścia trzy. Pracuje pan w Universal Airlines Limited?

— Tak, sir.

— W ostatni czwartek pełnił pan służbę na *Prometeuszu* jako drugi steward?

— Tak, sir.

— Kiedy po raz pierwszy dowiedział się pan o tej tragedii?

— Pan Mitchell powiedział mi, że boi się, iż coś się stało jednemu z pasażerów.

— Widział pan to kiedyś? Podał Davisowi dmuchawkę.

— Nie, sir.

— Nie zauważył pan tego w ręce któregoś z pasażerów?

— Nie, sir.

— Czy zaobserwował pan coś, co wydarzyło się w czasie lotu, a co mogłoby rzucić światło na naszą sprawę?

— Nie, sir.

— Dziękuję. Może pan odejść.

— Doktor Roger Bryant.

Doktor Bryant podał swoje nazwisko i adres i przedstawił się jako specjalista chorób uszu i

gardła.

— Będzie pan tak uprzejmy i opowie nam własnymi słowami, doktorze Bryant, co dokładnie wydarzyło się w czwartek, osiemnastego?

— Tuż przed lądowaniem w Croydon podszedł do mnie starszy steward i zapytał, czy jestem lekarzem. Kiedy potwierdziłem, powiedział mi, że jeden z pasażerów zachorował. Wstałem i poszedłem za nim. W fotelu leżała kobieta. Od pewnego czasu już nie żyła.

— Od jakiego czasu, według pana, doktorze Bryant?

— Przypuszczam, że od pół godziny. Pomiędzy pół godziny a godziną, jak sądzę.

— Czy sformułował pan jakąś teorię dotyczącą przyczyny śmierci?

— Nie. Nic nie mogłem powiedzieć na ten temat bez dokładnego zbadania.

— Ale zauważył pan mały punkcik na szyi?

— Tak.

— Dziękuję... Doktor James Whistler. Doktor Whistler był szczupłym, kościstym niskim mężczyzną.

— Pan jest w tym rejonie lekarzem policyjnym?

— Tak.

— Niech pan będzie tak uprzejmy i złoży własnymi słowami zeznanie.

— Ostatniego wtorku, osiemnastego, krótko po trzeciej otrzymałem wezwanie na lotnisko w Croydon. Pokazano mi tam w fotelu samolotu *Prometeusz* ciało starszej kobiety. Nie żyła i według mojego rozeznania śmierć nastąpiła mniej więcej przed godziną. Zauważyłem okrągły punkt z boku szyi — bezpośrednio na tętnicy szyjnej. Ślad mógł powstać na skutek użądlenia osy albo wbicia pokazanego mi kolca. Ciało zabrano do kostnicy, gdzie mogłem wykonać dokładne badania.

— Do jakiego wniosku pan doszedł?

— Doszedłem do wniosku, że śmierć spowodowana została wprowadzeniem do krwi bardzo silnej toksyny. Śmierć nastąpiła na skutek paraliżu serca i była praktycznie natychmiastowa.

— Czy może nam pan powiedzieć, jakiego rodzaju to była toksyna?

— Nigdy się jeszcze z taką nie spotkałem. Słuchający w napięciu reporterzy zapisali: „Nieznana trucizna”.

— Dziękuję... Pan Henry Winterspoon.

Pan Winterspoon był masywnie zbudowanym, sennym, łagodnym mężczyzną. Miał miły, lecz głupawy wygląd. Wszyscy poczuli się niezwykle zaskoczeni, gdy okazało się, że jest głównym rządowym specjalistą od analiz chemicznych i autorytetem w dziedzinie rzadkich trucizn.

Koroner podniósł śmiercionośny kolec i zapytał pana Winterspoona, czy go poznaje.

— Czy może nam pan podać wyniki pańskich analiz?

— Oczywiście. Stwierdziłem, że ta strzałka została przed użyciem zanurzona w preparacie kurary: w specjalnej truciznie, jakiej pewne plemiona używają do zatruwania strzał.

Reporterzy notowali z zadowoleniem.

— A zatem uważa pan, że śmierć spowodowała kurara.

— O, nie — rzekł Winterspoon. — Był tam tylko ślad tego preparatu. Zgodnie z przeprowadzoną przeze mnie analizą, strzałka ta została niedawno nasączona jadem *Dispholidus typus*, bardziej znanego jako południowoafrykański wąż drzewny.

— Wąż drzewny? A cóż to takiego?

— To południowoafrykański wąż, jeden z najbardziej jadowitych gatunków. Działanie jego jadu na człowieka nie jest znane, ale można sobie wyobrazić, jak bardzo jest trujący, skoro po wstrzyknięciu go hienie zwierzę zdechło, zanim wyciągnięto igłę. Szakal padł jakby przeszyty kulą. Ta trucizna powoduje gwałtowny krwotok podskórny i paraliżuje akcję serca.

Reporterzy pisali: „Nadzwyczajna sprawa. Jad węża powodem tragedii w samolocie. Bardziej śmiercionośny niż jad kobry”.

— Czy słyszał pan, żeby kiedykolwiek otruto kogoś tym jadem?

— Nigdy. To bardzo interesujące.

— Dziękuję panu.

Sierżant Wilson opisał odnalezienie dmuchawki w jednym z foteli. Nie było na niej żadnych odcisków palców. Następnie przeprowadzono doświadczenie ze strzałką i dmuchawką i stwierdzono, że jej zasięg wynosi około dziesięciu stóp.

— *Monsieur* Herkules Poirot.

Znowu podniósł się szmer zainteresowania, ale zeznania *monsieur* Poirota były bardzo wstrzemięźliwe. Nic ciekawego nie zauważył. Tak, to on znalazł na podłodze samolotu tę małą strzałkę. Leżała w takiej pozycji, jakby wypadła z szyi martwej kobiety.

— Hrabina Horbury.



Reporterzy zapisali: „Żona arystokraty składa zeznania w sprawie tajemniczej śmierci w samolocie”. Niektórzy dopisali: „Tajemnica jadu węża”.

A dziennikarze z czasopism dla kobiet zanotowali: „Lady Horbury wystąpiła w kapeluszu o najmodniejszym fasonie i futrze z lisów”, albo: „Lady Horbury, jedna z najelegantszych kobiet w mieście, była cała w czerni, a na głowie miała najmodniejszy czarny kapelusz”, czy też: „Lady Horbury, która przed zawarciem związku małżeńskiego nazywała się Cicely Bland, ubrana była na czarno, a na głowie miała kapelusz w najmodniejszym fasonie”.

Wszyscy z przyjemnością patrzyli na tę elegancką piękną młodą kobietę, chociaż jej zeznania były najkrótsze. Niczego nie zauważyła, martwej kobiety nigdy przedtem nie widziała.

Po niej zeznawała Venetia Kerr, ale sprawiła zdecydowanie mniejsze wrażenie.

Niestrudzeni dziennikarze z czasopism kobiecych skrzętnie notowali:

„Córka lorda Cottesmore’a miała na sobie dobrze skrojony płaszcz i spódnicę”. Zapisali też: „Kobieta z towarzystwa na rozprawie śledczej”.

— James Ryder.

— Pan James Bell Ryder, zamieszkały przy Blainberry Avenue siedemnaście, N.W.?

— Tak.

— Czym się pan zajmuje?

— Jestem dyrektorem Ellis Vale Cement Company.

— Proszę obejrzeć tę dmuchawkę. Widział pan już kiedyś coś takiego?

— Nie.

— Widział pan to w czyimś ręku na pokładzie *Prometeusza*?

— Nie.

— Zajmował pan miejsce numer cztery, bezpośrednio przed zmarłą?

— I co z tego?

— Proszę nie zwracać się do mnie tym tonem. Siedział pan na fotelu numer cztery. Mógł pan widzieć wszystkich w tej części samolotu.

— Nic nie widziałem. Nie mogłem widzieć pasażerów po mojej stronie, ponieważ fotele mają bardzo wysokie oparcia.

— Jednak gdyby ktoś wyszedł na przejście — aby zająć pozycję umożliwiającą wymierzenie dmuchawki w kierunku zmarłej — wówczas zauważyłby go pan, prawda?

— Oczywiście.

— I nic takiego pan nie widział?

— Nie.

— Czy ktoś siedzący przed panem wstawał ze swojego miejsca?

— Tak, mężczyzna siedzący dwa rzędy przede mną wstał i poszedł do toalety.

— To znaczy oddalał się od pana i od zmarłej?

— Tak.

— Czy wracając podszedł do pana?

— Nie, wrócił prosto na swoje miejsce.

— Niósł coś w ręku?

— Absolutnie nic.

— Jest pan tego pewien?

— Zupełnie. — Czy ktoś jeszcze wstawał ze swojego miejsca?

— Facet, który siedział przede mną. On poszedł w drugą stronę i przeszedł obok mnie idąc ku tyłowi samolotu.

— Protestuję — zaskrzeczał pan Clancy, zrywając się ze swojego miejsca. — To było wcześniej... Dużo wcześniej... Około pierwszej.

— Proszę się uspokoić i usiąść — rzekł koroner. — Zostanie pan w swoim czasie wysłuchany. Proszę kontynuować, panie Ryder. Zauważył pan, czy ten mężczyzna miał coś w ręce?

— Myślę, że miał wieczne pióro. Kiedy wracał, trzymał w ręku pomarańczową książkę.

— Czy to była jedyna osoba, która przeszła obok pana do tyłu samolotu? I czy pan sam opuszczał swoje miejsce?

— Tak, poszedłem do toalety... i nie miałem żadnej dmuchawki w ręce.

— Pański ton jest bardzo nieodpowiedni. Może pan odejść.

Zeznania Normana Gale'a, dentysty, nie wniosły nic nowego. Następnie miejsce dla świadków

zajął oburzony pan Clancy.

Pan Clancy był dla prasy mniejszą płótką, o kilka stopni mniej atrakcyjny niż arystokratka.

„Pisarz powieści kryminalnych składa zeznania. Znany autor przyznaje, że kupił śmiercionośną broń. Sensacja w sądzie”.

Jednak ta sensacja była trochę przedwczesna.

— Tak, sir — rzekł Clancy piskliwie. — Kupiłem taką dmuchawkę, i co więcej, zabrałem ją również dzisiaj ze sobą. Ostro protestuję przeciwko twierdzeniu, że dmuchawka, za pomocą której popełniono zbrodnię, należy do mnie. Tu oto jest moja dmuchawka.

I triumfalnie wyciągnął swoją dmuchawkę.

Reporterzy zapisali: „Druga dmuchawka w sądzie”.

Koroner nie patyczkował się z panem Clancym. Powiedział, że świadek stoi przed sądem po to, aby pomóc sprawiedliwości, a nie żeby odpierać wyimaginowane zarzuty przeciwko sobie. Następnie przystąpił do zadawania pytań o wydarzenia na *Prometeuszu*, ale — niestety — rezultat był mizerny. Pan Clancy — jak to wyjaśniał długo i zawile — był zbyt przejęty tajemnicami kursowania zagranicznych pociągów, pracą służb i godzinami przyjazdów i odjazdów, aby zauważyć, co się wokół niego dzieje. Wszyscy pasażerowie mogliby zabawiać się wydmuchiowaniem strzałek zatrutych jadem węża, a pan Clancy i tak by nic nie zauważył.

Panna Jane Grey, pomocnica fryzjera, nie zainteresowała reporterów.

*Monsieur* Armand Dupont podał, że znajdował się w drodze do Londynu, gdzie miał wygłosić wykład w Royal Asiatic Society. Razem z synem zawzięcie dyskutowali na tematy fachowe i bardzo mało zdawał sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje. Nie zwrócił uwagi na zmarłą aż do chwili, gdy powstało zamieszanie spowodowane jej śmiercią.

— Znał pan z widzenia *madame* Morisot, albo *Madame* Giselle?

— Nie, *monsieur*, nigdy jej przedtem nie widziałem.

— Jednak ona była dobrze znaną osobą w Paryżu, prawda?

Starszy *monsieur* Dupont wzruszył ramionami.

— W każdym razie nie mnie. Ostatnio rzadko bywam w Paryżu.

— O ile dobrze zrozumiałem, pan niedawno wrócił ze Wschodu?

— Tak jest, *monsieur*... z Persji.

— Dużo pan podróżuje z synem po tych częściach świata?

— *Pardon!*

— Przebywał pan w różnych miejscach oddalonych od cywilizacji?

— Tak jest.

— Czy natknął się pan kiedyś na plemię, które używa do zatruwania strzał jadu węża?

To trzeba było przetłumaczyć i kiedy *monsieur* Dupont zrozumiał pytanie, potrząsnął zdecydowanie głową.

— Nigdy... nigdy nie zdarzyło mi się natrafić na coś podobnego.

Następnym świadkiem był *monsieur* Dupont junior. Jego zeznanie było powtórzeniem tego, co mówił ojciec. Nic nie zauważył. Wydawało mu się możliwe, iż zmarłą użądliła osa, ponieważ widział osę w samolocie. Latała wokół niego, więc ją zabił.

Zeznania Dupontów zakończyły przesłuchanie.

Teraz koroner odchrząknął i zwrócił się do ławy przysięgłych.

To, powiedział, jest niewątpliwie najbardziej zdumiewająca i zastanawiająca sprawa, z jaką miał do czynienia w sądzie. Została zamordowana kobieta — nie było to ani samobójstwo, ani wypadek — w powietrzu, w samolocie. Niemożliwe, aby zbrodnię popełnił ktoś z zewnątrz. Morderca, albo mordercy, z konieczności musieli znajdować się wśród świadków, których właśnie dziś rano wysłuchali. Tego, tak bardzo przerażającego faktu, w żaden sposób nie można zlekceważyć. Jedna z obecnych tu osób kłamała perfidnie i z desperacją.

Zbrodnię popełniono w sposób niezwykle bezwzględny. Na oczach dziesięciu lub dwunastu — wliczając w to stewardów — świadków morderca przytknął dmuchawkę do ust i posłał morderczą strzałkę w kierunku starszej kobiety, a nikt tego nie zauważył. To wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, ale istnieją dowody w postaci dmuchawki, strzałki znalezionej na podłodze, śladu na szyi zmarłej. Tę wersję wydarzeń — jakkolwiek wydaje się ona nieprawdopodobna — potwierdza orzeczenie medyczne. Z braku dalszych dowodów, które pozwoliłyby postawić w stan oskarżenia jakąś konkretną osobę, może tylko zwrócić się do przysięgłych, aby wydali werdykt orzekający morderstwo popełnione przez osobę lub osoby nieznane. Wszyscy obecni zaprzeczają, że znali zmarłą. Znalezienie odpowiednich powiązań należy do policji. Wobec braku jakiegokolwiek motywu zbrodni, on może tylko radzić, aby wydano werdykt w formie takiej, jak sugerował.

Jeden z przysięgłych, o kwadratowej twarzy i chytrych oczkach, pochylił się do przodu ciężko dysząc.

— Czy mogę zadać jedno pytanie, sir?

— Naturalnie.

— Pan powiedział, że znaleziono dmuchawkę w jednym z foteli? Który to był fotel?

Koroner zajrzał do notatek. Sierżant Wilson podszedł do niego i coś szepnął.

— A, tak. Miejsce, o które pan pyta, ma numer dziewięć i zajmował je *monsieur* Herkules Poirot. *Monsieur* Poirot, jak mogę stwierdzić, jest bardzo znanym i poważanym prywatnym detektywem, który... hm... wiele razy współpracował ze Scotland Yardem.

Człowiek o kwadratowej twarzy skierował wzrok na twarz *monsieur* Herkulesa Poirota. Przyglądał się małemu wąsatemu Belgowi z wyrazem twarzy dalekim od sympatii.

„To obcokrajowiec” — mówiły jego oczy. „Nie można ufać obcokrajowcom, nawet jeżeli oni trzymają z policją”.

Głośno powiedział:

— Ten tam to *monsieur* Poirot. który podniósł z podłogi tę strzałkę, prawda?

— Tak.

Przysięgli wyszli. Wrócili po pięciu minutach i przewodniczący wręczył koronerowi kartkę papieru.

— Co to ma znaczyć? — zmarszczył się koroner. — To nonsens, nie mogę zaakceptować takiego werdyktu.

Po kilku minutach przedstawiono zmieniony werdykt.

— Ustaliliśmy, że ta kobieta zmarła na skutek otrucia i że brak wystarczających dowodów, aby wskazać, kto podał tę truciznę.

# Rozdział piąty

## Po przesłuchaniu

Kiedy po wydaniu werdyktu Jane opuściła sąd, zauważyła, że obok niej znalazł się Nornian Gale.

— Ciekaw jestem, co było na tej kartce, której treści koroner nie chciał za żadną cenę przyjąć.

— Myślę, że mogę panu powiedzieć — odezwał się głos za nim.

Odwrócili się i spotkali mrugające oczy *monsieur* Herkulesa Poirota.

— To był werdykt — powiedział mały mężczyzna — oskarżający mnie o popełnienie morderstwa z premedytacją.

— O, to chyba... — wykrzyknęła Jane.

Poirot pokiwał wesoło głową.

— *Mais oui*. Wychodząc usłyszałem, jak jeden mężczyzna mówił do drugiego: „Ten mały obcokrajowiec — zapamiętaj, co ci mówię — on to zrobił! Wszyscy przysięgli myśleli tak samo”.

Jane nie wiedziała, czy mu współczuć czy się z tego śmiać. Zdecydowała się na to drugie. Poirot odwzajemnił uśmiech.

— Ale, widzi pani — powiedział — teraz muszę w sposób zdecydowany zabrać się do roboty i oczyścić się od podejrzeń.

Odszedł kłaniając się z uśmiechem.

Jane i Norman patrzyli za oddalającą się postacią.

— Co za niezwykle, dziwaczny i śmieszny mały facecik — zauważył Gale. — Nazywa siebie detektywem. Nie mam pojęcia, jak on może cokolwiek wysledzić. Każdy kryminalista rozpoznałby go na milę. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł przebrać się za kogoś.

— Czy pan przypadkiem nie ma zbyt przestarzałego wyobrażenia o detektywach? — zapytała Jane. — Wszystkie te sztuczne brody i tym podobne są już przestarzałe. Dzisiejsi detektywi po prostu siedzą i myślą. Problem rozwiązują na płaszczyźnie psychologicznej.

— To jest raczej mniej męczące.

— Fizycznie może tak; ale oczywiście potrzebny jest do tego jasny i opanowany umysł.

— Rozumiem. Gorączkowy, rozkojarzony umysł nie dałby rady.

Oboje roześmieli się.

— Jednak — rzekł Gale i w czasie, gdy szybko mówił, na jego policzkach ukazał się lekki rumieniec — czy mogłaby pani... to znaczy, chcę powiedzieć, że to byłoby nadzwyczaj miło z pani strony... Chociaż jest już—trochę późno... ale co by pani powiedziała na to, aby wypić ze mną filiżankę herbaty? Czuję się tak... jakbyśmy byli połączeni wspólnym nieszczęściem... i...

Przerwał i powiedział do siebie: „Co się z tobą dzieje, idioto? Nie możesz zaprosić dziewczyny na filiżankę herbaty bez jąkania się, czerwienienia i robienia z siebie kompletnego osła? Co sobie ta dziewczyna o tobie pomyśli?”

Zmieszanie Gale'a pomogło Jane odzyskać równowagę i większą pewność siebie.

— Bardzo dziękuję — powiedziała. — Mogę napić się herbaty.

Znaleźli herbaciarnię, gdzie nieprzyjemna, ponura kelnerka przyjęła zamówienie z taką miną, jakby chciała powiedzieć: „Nie miejcie do mnie pretensji, jeśli się rozczarujecie. Wprawdzie mówią, że podajemy tu herbatę, ale ja o tym nigdy nie słyszałam.”

Herbaciarnia była prawie pusta. Dzięki temu czuli się bardziej intymnie pijąc razem herbatę. Jane zdjęła rękawiczki i spojrzała przez stolik na swojego towarzysza. Jakiż on był atrakcyjny — te niebieskie oczy i ten uśmiech. A także bardzo miły.

— To dziwna heca z tym całym morderstwem — zauważył Gale, pospiesznie rzucając się w wir rozmowy. Nie uwolnił się jeszcze zupełnie od tego absurdalnego uczucia skrępowania.

— Wiem — odparła Jane. — I trochę mnie to martwi... z uwagi na moją pracę. Nie wiem, jak oni to przyjmą.

— Taak... Nie pomyślałem o tym.

— Antoine może nie chce zatrudniać dziewczyny uwikłanej w sprawę o morderstwo, dziewczyny, która musi zeznawać i tym podobne.

— Ludzie są dziwni — powiedział Norman Gale w zamyśleniu. — Życie jest takie... niesprawiedliwe. Przecież to, co się stało, nie jest pani winą... — Skrzywił się gniewnie. — To niegodziwe!

— Jeszcze nic się nie stało — przypomniała mu Jane. — Nie ma sensu przejmować się czymś, co się jeszcze nie stało. Poza tym myślę, że coś w tym jest... przecież to ja mogłam ją zamordować! A słyszałam, że kiedy już się raz kogoś zamordowało, to zwykle się na tym nie kończy. A nie byłoby przyjemnie, gdyby okazało się, że osoba układająca włosy jest notorycznym mordercą.

— Każdy, kto na panią spojrzy, wie, że pani nikogo nie mogłaby zamordować — rzekł Norman, patrząc na nią poważnie.

— Nie jestem tego taka pewna — powiedziała Jane. — Czasem niejedną moją klientkę miałabym ochotę zamordować... gdybym była pewna, że uszłoby mi to na sucho! A specjalnie taką jedną. Ma głos jak derkacz i zawsze na wszystko narzeka. Czasem rzeczywiście myślę, że zamordowanie jej byłoby dobrym uczynkiem, a nie zbrodnią. Widzi więc pan, że czasem mam zbrodnicze myśli.

— No dobrze, ale w każdym razie nie popełniła pani tego konkretnego morderstwa — rzekł Gale. — Ja mogę przysiąc.

— I ja też mogę przysiąc, że pan go nie popełnił — dodała Jane. — Ale to panu nic nie pomoże, jeśli pańscy pacjenci będą myśleli inaczej.

— Tak, moi pacjenci... — Gale zamyślił się. — Przypuszczalnie ma pani rację... Doprawdy, nie pomyślałem o tym. Dentysta, który może być maniakałnym mordercą... nie, to istotnie niezbyt zachwycająca perspektywa.

I nagle dodał impulsywnie:

— Mam nadzieję, że pani nie ma nic przeciwko temu, że jestem dentystą?

Jane uniosła brwi.

— Ja? Dlaczego?

— Chcę przez to powiedzieć, że w dentyście jest zawsze coś raczej... no, komicznego. Nie jest to zawód romantyczny. Takiego, na przykład, lekarza każdy bierze poważnie.

— Niech się pan nie martwi — uspokoiła go Jane.

— Dentysta stoi zdecydowanie wyżej od pomocnicy fryzjera.

Oboje roześmiali się i Gale powiedział:

— Czuję, że zostaniemy przyjaciółmi. Chce pani?

— Tak. myślę, że chcę.

— Może pewnego wieczoru pójdzie pani ze mną na obiad, a potem moglibyśmy pójść na jakieś przedstawienie?

— Dziękuję.

Zapanowało milczenie, a następnie Gale zapytał:

— Jak się pani podobało w Le Pinet?

— Dobrze się tam bawiłam.



— Była pani już tam kiedyś?

— Nie, widzi pan...

Jane, nagle skłonna do zwierzeń, opowiedziała całą historię wygranej. Oboje zgodzili się, że loterie są generalnie rzecz biorąc romantyczne i pełne zalet i żalowali, że rząd angielski tego nie docenia.

Rozmowę przerwał młody mężczyzna w brązowym garniturze, który od kilku minut niepewnie kręcił się niedaleko ich stolika.

Wreszcie uchylił kapelusza i zwrócił się do Jane z gładką pewnością siebie.

— Jane Grey? — zapytał.

— Tak.

— Reprezentuję „Weekly Howl”, panno Grey. Zastanawiałem się, czy nie zechciałaby pani pomóc nam w napisaniu krótkiego artykułu o tym morderstwie w samolocie? Chodzi mi o opinię jednego z pasażerów.

— Nie, raczej nie, dziękuję.

— Proszę się zastanowić. Dobrze zapłacimy.

— Ile? — zapytała Jane.

— Pięćdziesiąt funtów... no... może trochę więcej. Powiedzmy sześćdziesiąt.

— Nie — odparła Jane. — Nie sądzę, abym mogła to zrobić. Nawet nie wiedziałabym, co mam powiedzieć.

— To łatwe — podszepnął gładko młody człowiek. — Pani wcale nie musi pisać tego artykułu, jeśli o to chodzi. Jeden z naszych ludzi będzie po prostu zadawał pani pytania, pani poda mu kilka sugestii, a on wszystko za panią opracuje. Nie sprawi to pani najmniejszego kłopotu. — Mimo wszystko — odrzekła Jane — raczej tego nie zrobię.

— A gdyby to była setka? Proszę się zastanowić, postaram się dla pani o setkę, a pani da nam swoją fotografię.

— Nie — powiedziała Jane. — Nie podoba mi się ten pomysł.

— No więc może się pan już zmywać — wtrącił Norman Gale. — Panna Grey nie chce, aby ją ktoś nagabywał.

Młody człowiek zwrócił się do niego z nadzieją:

— Pan Gale, prawda? — zapytał. — No cóż, panie Gale, jeżeli panna Grey jest taka wrażliwa w tej materii, to może pan chciałby się w to wstrześcić? Pięćset słów. I zapłacimy panu tyle, ile zaproponowałem tej pani — a to dobra transakcja, ponieważ relacja kobiety o zamordowaniu innej kobiety jest znacznie ciekawsza dla czytelników. Daję panu dużą szansę.

— Nie chcę. Nie napiszę dla pana ani słowa.

— Poza tym będzie to dla pana znakomitą reklamą. Mężczyzna, którego oczekuje wspaniała kariera — przeczytają to wszyscy pańscy pacjenci.

— I tego właśnie — rzekł Norman Gale — najbardziej się boję.

— No dobrze, ale w dzisiejszych czasach nie można nic zrobić bez reklamy.

— Może, ale zależy jakiego rodzaju jest to reklama. Mam nadzieję, że paru moich pacjentów nie czytało gazet i pozostaną moimi pacjentami, nieświadomi faktu, że byłem zamieszany w sprawę o morderstwo. Teraz ma pan odpowiedź od nas obojga. Czy będzie pan tak łaskaw i spokojnie stąd odejdzie, czy też mam pana wyrzucić kopniakiem?

— Nie ma się co tak denerwować — powiedział młodzieniec zupełnie nie speszony tym groźnym ostrzeżeniem. — Do widzenia, i jeśli zmienicie zdanie, to proszę zadzwonić do mojego biura. Tu jest moja wizytówka.

Wyszedł wesoło z herbaciarni, myśląc: „Nieźle, nieźle. Udało mi się zrobić całkiem dobry wywiad”.

I rzeczywiście, w następnym wydaniu „Weekly Howl” ukazał się artykuł prezentujący punkt widzenia dwóch świadków w sprawie tajemniczego morderstwa w samolocie. Panna Jane Grey oświadczyła, że jest zbyt przejęta, aby rozmawiać o tej sprawie. Był to dla niej tak okropny szok, że nawet nie chciała o tym myśleć. Pan Norman Gale długo mówił o skutkach zamieszania w sprawę kryminalną dla kariery zawodowej niewinnego człowieka. Pan Gale wyraził się sposób humorystyczny, że ma nadzieję, iż niektórzy jego pacjenci czytują tylko artykuły o modzie, więc nie będą podejrzewali najgorszego, kiedy przyjdą na „męczarnie w fotelu”.

Kiedy młodzieniec odszedł, Jane powiedziała:

— Ciekawe, czemu nie wybrał sobie kogoś ważniejszego?

— Prawdopodobnie zostawił to lepszym od siebie — odrzekł ponuro Gale. — Może próbował, ale mu się nie udało.

Siedział przez chwilę nachmurzony, a potem powiedział:

— Jane... Będę do pani mówił Jane. Nie ma pani nic przeciwko temu? Jane, jak myślisz, kto zamordował tę kobietę, Giselle?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Myślałaś o tym? Czy ty naprawdę myślałaś o tym?

— No, nie. sędzę, że nie. Rozmyślałam o tym, że jestem w to zamieszana i trochę się martwiłam. Ale tak naprawdę to nie zastanawiałam się, kto... kto z nich mógł to zrobić. Dopiero dzisiaj zdałam sobie sprawę, że przecież jedno z nich musiało zabić.

— Tak, koroner stwierdził to zupełnie wyraźnie. Wiem, że ja tego nie zrobiłem, i wiem, że ty też tego nie zrobiłaś, ponieważ... no, ponieważ przez cały czas patrzyłem na ciebie.

— Tak — powiedziała Jane. — Wiem, że ty tego nie zrobiłeś, ponieważ przez cały czas... patrzyłam na ciebie. I oczywiście wiem, że sama też nie zabiłam! Więc to musi być ktoś inny, tylko nie mam pojęcia kto. Nawet najmniejszego pojęcia. A ty?

— Ja też nie.

Norman Gale wyglądał na bardzo zamyślonego. Wydawało się, że chce coś wyłowić z biegu swoich myśli. Jane mówiła dalej:

— Nie wiem, skąd moglibyśmy wiedzieć. Przecież nic nie widzieliśmy — a przynajmniej ja nic nie widziałam. A ty?

Gale potrząsnął głową.

— Nie, niczego nie zauważyłem.

— I to właśnie wydaje się bardzo dziwne. Mówiąc szczerze, ty nic nie mogłeś widzieć. Nie byłeś zwrócony twarzą w tę stronę. Ale ja byłem. Mogłam widzieć całe wnętrze. To znaczy, że... że mogłabym...

Jane przerwała i zaczerwieniła się. Pamiętała, że jej oczy były przez cały czas wlepione w bladoniebieski pulower i nie zauważała, co się wokół niej dzieje. Przez cały czas przejęta była obecnością tej ludzkiej istoty tkwiącej wewnątrz bladoniebieskiego puloweru.

Norman Gale myślał:

„Ciekawe dlaczego tak się zarumieniła... Ona jest cudowna... Ożenię się z nią... Tak, jestem... Jednak nie ma co tak daleko wybiegać w przyszłość. Muszę znaleźć dobry pretekst, żeby się z nią spotykać... Sprawa tego morderstwa może być lepszym od innych... Poza tym myślę, że trzeba coś zrobić z... z tym dowcipnym reporterem i jego reklamą...” Głośno powiedział:

— Pomyślmy teraz o tym. Kto ją zabił? Przejdźmy po wszystkich. Stewardzi?

— Nie — rzekła Jane.

— Zgadza się. Kobieta naprzeciwko nas?

— Nie sędzę, aby ktoś taki jak lady Horbury próbował zabijać ludzi. A ta druga, panna Kerr. to

typowa ziemianka. Jestem pewna, że nie zabiłaby starej Francuzki.

— Tylko ten niepopularny MFH\*? Może się nie mylisz, Jane. Ale ten wąsacz, jak się wydaje, jest według przysięgłych najbardziej podejrzany, a zatem to go eliminuje. Lekarz? To również nie wydaje się zbyt prawdopodobne.

— Gdyby chciał ją zabić, użyłby czegoś innego, czegoś, czego nie można wykryć i wtedy nikt nigdy nie dowiedziałby się o niczym.

— Ta... ak — powiedział z powątpiewaniem Norman. — Takie niewykrywalne, bezwonne, pozbawione smaku trucizny są bardzo wygodne, ale bardzo wątpię, czy one rzeczywiście istnieją. A co z tym małym, który przyznał się, że posiada podobną dmuchawkę?

— To jest trochę podejrzane. Jednak on wydawał się bardzo miły i nie musiał przecież mówić, że ma lakę dmuchawkę, więc z tego wniosek, że też jest w porządku.

— A ten James... jak mu tam... Ryder?

— Tak, to mógł być on.

— A tych dwóch Francuzów?

— Najbardziej podejrzani ze wszystkich. Bywali w dziwnych miejscach. I oczywiście mogli mieć jakiś motyw, o którym my nic nie wiemy. Wydaje mi się, że ten młodszy wyglądał bardzo nieszczęśliwie i był bardzo zmartwiony.

— Pewnie też byś się martwiła, gdybyś popełniła morderstwo — zauważył ponuro Norman Gale.

— Jednak on wydawał się taki miły — stwierdziła Jane. — A i ten jego ojciec też wydawał się sympatyczny. Mam nadzieję, że to nie oni.

— Wydaje się, że w ten sposób nie zajdziemy za daleko — zauważył Norman Gale.

— Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy pójść dalej nie mając informacji o wielu rzeczach dotyczących tej zamordowanej kobiety. Wrogowie, ci którzy po niej dziedziczą, i tym podobne.

Norman Gale powiedział w zamyśleniu:

— Myślisz, że to są tylko nasze takie czeże domysły? Jane odparła chłodno:

— A nie jest tak?

— Niezupełnie — Gale zawahał się i dodał wolno. — Czuję, że to może być pożyteczne... Jane spojrzała na niego pytająco.

— Morderstwo — rzeki Norman Gale — nie jest tylko sprawą ofiary i sprawcy. Ma również wpływ na ludzi niewinnych. Ty i ja jesteśmy niewinni, ale padł na nas cień morderstwa. I nie wiemy,

jak ten cień wpłynie na twoje i moje życie.

Jane była dziewczyną prostolinijną i obdarzoną zdrowym rozsądkiem, ale teraz nagle zadrżała.

— Nie mów tak — powiedziała. — Zaczynam się bać.

— Ja sam też trochę się boję — rzekł Gale.

# Rozdział szósty

## Konsultacja

Herkules Poirot spotkał się ze swoim przyjacielem, inspektorem Jappem. Japp przywitał go z uśmiechem.

— Halo, stary — rzekł. — Omal nie przyskrzynili cię i nie zamknęli w celi.

— Obawiam się — powiedział ponuro Poirot — że to mogłoby zrujnować moją karierę zawodową.

— No — rzekł z uśmiechem Japp — wśród detektywów również zdarzają się przestępcy... na stronach książek.

Przyłączył się do nich wysoki mężczyzna z inteligentną melancholijną twarzą i Japp przedstawił go.

— To *monsieur* Fournier z Sûreté. Przyjechał, żeby współpracować z nami w tej sprawie.

— Myślę, że miałem już przyjemność spotkać pana kilka lat temu, *monsieur* Poirot — rzekł Fournier, kłaniając się i podając mu rękę. — Słyszałem też o panu od *monsieur* Girauda.

Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. I Poirot, mogąc bardzo dobrze sobie wyobrazić sposób, w jaki Giraud (którego on sam też miał zwyczaj wspominać w lekceważący sposób jako „wężącego psa”) wyrażał się o nim, w odpowiedzi pozwolił sobie na mały, dyskretny uśmiech.

— Pragnąłbym — rzekł Poirot — abyście panowie obaj zjedli u mnie obiad. Zaprosiłem już mecenasa Thibaulta. To znaczy, jeśli pan i mój przyjaciel Japp nie będziecie mieli nic przeciwko temu, abym z wami współpracował.

— W porządku, stary kogucie — rzekł Japp, klepiąc go silnie w plecy. — Ty w tej sprawie jesteś na bieżąco.

— Będzie to dla mnie wielki zaszczyt — mruknął uprzejmie Francuz.

— Widzi pan — rzekł Poirot — niedawno powiedziałem do pewnej czarującej młodej damy, że z niecierpliwością czekam na to, aby oczyścić się od podejrzeń.

— Zdecydowanie nie spodobałeś się tej ławie przysięgłych — zgodził się Japp z uśmiechem. — To był najlepszy dowcip, jaki od dłuższego czasu słyszałem.

Za wspólną zgodą nie mówiono o sprawie w czasie wspaniałego obiadu, który mały Belg

wystawił dla swych przyjaciół.

— A jednak w Anglii można dobrze zjeść — mruknął Fournier, dyskretnie używając usłudze przygotowanej wykałaczką.

— Wyśmienite jedzenie, *monsieur* Poirot — stwierdził Thibault.

— Obiad trochę w typie francuskim, ale cholernie smaczny — wyraził opinię Japp.

— Posiłek powinien zawsze leżeć lekko na *estomac* — oświadczył Poirot. — Nie może być tak ciężkostrawny, aby paraliżował umysł.

— Nie mogę powiedzieć, aby żołądek sprawiał mi kiedykolwiek jakieś kłopoty — oświadczył Japp. — Ale nie będę się spierać. A teraz lepiej przejdźmy do sprawy. Wiem, że *monsieur* Thibault ma dziś wieczorem spotkanie i powinniśmy zacząć od skonsultowania z nim każdego punktu, jaki byłby dla nas pożyteczny.

— Jestem do waszej dyspozycji, panowie. Naturalnie teraz mogę mówić bardziej swobodnie niż w czasie przesłuchania. Przed rozprawą odbyłem krótką rozmowę z inspektorem Jappem i on zasugerował mi, abym był wstrzeźliwy i podał tylko najniezbędniejsze fakty.

— Zgadza się — potwierdził Japp. — Nigdy nie należy zbyt szybko wszystkiego wywalać na wierzch. Ale teraz chcielibyśmy usłyszeć wszystko, co pan może powiedzieć o tej Giselle.

— Mówiąc szczerze, wiem bardzo mało. Znałem ją tak jak wszyscy. O jej prywatnym życiu wiem niewiele. Prawdopodobnie *monsieur* Fournier będzie mógł wam więcej powiedzieć. Ja mogę rzec tylko tyle: Madame Giselle posiadała to, co nazywacie w tym kraju charakterem. Była jedyna w swoim rodzaju. Nic nie wiadomo o jej przodkach. Zdaje mi się, że jako młoda kobieta była przystojna. Sądzę, że urodę straciła na skutek przebytej ospy. Ona była — podaję wam teraz moje osobiste wrażenie — kobietą, którą cieszyło posiadanie siły. Miała zdolności do interesów. Była typem twardogłowej Francuzki, w interesach nigdy nie ulegała sentymentom, ale mówiono, że swój zawód wykonuje bardzo uczciwie.

Poszukał wzrokiem potwierdzenia u Poumiera. Ten ostatni skinął swą ciemną głową melancholika.

— Tak — powiedział — była naprawdę uczciwa — przynajmniej we własnym mniemaniu. Niemniej, gdyby tylko pojawiły się jakieś dowody, mogłaby odpowiadać przed sądem, ale to... — z przygnębieniem wzruszył ramionami. — Nie można zbyt wiele wymagać od słabej natury ludzkiej.

— Ma pan na myśli...?

— *Chantage*.

— Szantaż? — zawtórował Japp.

— Tak, szantaż szczególnego rodzaju. Madame Giselle zwykle pożyczła pieniądze — jak wy to nazywacie — „na słowo”. Pożyczając pieniądze sama ustalała wysokość kwoty i sposób jej zwrotu;

mogę wam jednak powiedzieć, że miała swoje własne metody ściągania należności.

Poirot pochylił się ku niemu z zainteresowaniem. — Jak dzisiaj powiedział mecenas Thibault, *clientèle* Madame Giselle wywodziła się spośród ludzi z klas wyższych i przedstawiciele wolnych zawodów. Te klasy są szczególnie podatne na ciosy opinii publicznej. Madame Giselle miała własną służbę wywiadowczą... Przed pożyczaniem pieniędzy (gdy chodziło o duże sumy) zazwyczaj dowiadywała się o interesującym ją kliencie tyle, ile tylko było możliwe, i o ile wiem, ten jej system wywiadowczy działał niezwykle sprawnie. Powtórzę to, co powiedział nasz przyjaciel: Madame Giselle była we własnym mniemaniu bardzo uczciwa. Ufała tym, którzy jej ufali. Szczerze wierzę, że nigdy nie zrobiła użytku z tego, co wiedziała, aby od kogokolwiek wyciągnąć pieniądze, które jej się nie należały.

— Chce pan przez to powiedzieć — rzekł Poirot — że te jej sekretne informacje stanowiły pewnego rodzaju zabezpieczenie?

— Zgadza się; a kiedy zmuszona była ich użyć, stawała się absolutnie głucha na głos jakichkolwiek delikatniejszych uczuć. I mogę wam oświadczyć, panowie, że się ten system opłacał! Bardzo, bardzo rzadko musiała odpisać czyjś dług. Kobieta lub mężczyzna na wysokim stanowisku za wszelką cenę starają się uzyskać pieniądze, aby uniknąć publicznego skandalu. Jak już mówiłem, wiedzieliśmy o jej działalności, ale jeśli chodzi o oskarżenie... — wzruszył ramionami — to już sprawa trudniejsza. Ludzie są tylko ludźmi.

— Przypuśćmy — rzekł Poirot — że ona od czasu do czasu robiła takie rzeczy, o których pan mówił, i musiała odpisać czyjś dług... Co się wtedy działo?

— W takim wypadku — powiedział wolno Fournier — informacje, jakie posiadała, zostawały opublikowane albo przekazane komuś zainteresowanemu tą sprawą.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Poirot powiedział:

— Finansowo nie przyniosłoby jej to dochodu?

— Nie — odparł Fournier. — To znaczy nie bezpośrednio.

— A pośrednio?

— Pośrednio — wtrącił Japp — pośrednio powodowało to, że inni płacili. Zgadza się?

— Dokładnie — potwierdził Fournier. — Było to cenne, jeśli chodzi o efekt moralny.

— Raczej nazwałbym to efektem niemoralnym — rzekł Japp. — No... — potarł w zamyśleniu nos — otwiera nam to bardzo wiele możliwości, jeśli chodzi o motyw zbrodni... Tak, bardzo wiele możliwości. Teraz zachodzi pytanie, kto odziedziczy po niej majątek. — Zwrócił się do Thibaulta:

— Czy mógłby nam pan pomóc w tej sprawie?

— Miała córkę — odparł prawnik. — Ona nie mieszkała z matką... a mówiąc ściślej, wydaje mi



się, że od dziecka matka nigdy jej nie widziała. Przed wieloma laty sporządziła testament zapisując wszystko, z wyjątkiem niewielkiej kwoty dla służącej, swojej córce, Anne Morisot. O ile wiem. Nigdy nie zmieniła testamentu.

— Czy jej majątek jest duży? — zapytał Poirot.

Prawnik wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że wynosi około ośmiu do dziewięciu milionów franków.

Poirot ściągnął wargi, jakby chciał gwizdnąć.

— Boże, ona na to nie wyglądała — powiedział Japp.

— A ile to jest na nasze... To jest... no, chyba dobrze ponad sto tysięcy funtów. Fin!

— *Mademoiselle* Anne Morisot będzie bardzo bogatą młodą kobietą — rzekł Poirot.

— Dobrze, że nie leciała tym samolotem — zauważył sucho Japp. — Mogłaby być podejrzana o rąbnięcie mamusi w celu zagarnięcia majątku. Ile ona ma lat? — Tego dokładnie nie wiem. Sądzę, że około dwudziestu czterech albo pięciu.

— No cóż, ale chyba nic jej nie łączy ze zbrodnią. Musimy rozpatrzyć problem szantażu. Każdy z samolotu zaprzecza, że znał Madame Giselle. Jedna z tych osób kłamie. Musimy dowiedzieć się, która. Może nam pomóc przejrzanie jej prywatnych papierów, prawda Fournier?

— Drogi przyjacielu — rzekł Francuz — gdy tylko Scotland Yard powiadomił nas telefonicznie, natychmiast rozpoczęliśmy działać. Poszedłem prosto do jej domu. Znajdował się tam sejf zawierający dokumenty. Ale wszystkie te dokumenty zostały spalone.

— Spalone? Przez kogo? Dlaczego?

— Madame Giselle miała zaufaną służącą, Elise. Elise otrzymała polecenie, aby w razie jakiegoś wypadku swojej pani otworzyła sejf (szyfrem, który znała) i spaliła jego zawartość.

— Co? Ależ to zdumiewające! — wykrzyknął Japp.

— Widzi pan — rzekł Fournier — Madame Giselle miała swój własny kodeks honorowy. Była lojalna w stosunku do tych, którzy byli lojalni w stosunku do niej. Zapewniła swoich klientów, że będzie z nimi prowadziła uczciwe interesy. Była bezwzględna, ale dotrzymywała danego słowa.

Japp potrząsnął głową w niemym zdumieniu. Czterech mężczyzn siedziało cicho, zastanawiając się nad dziwnym charakterem zamordowanej... Mecenase Thibault wstał.

— Muszę was opuścić, panowie. Spieszę się na spotkanie. Jeżeli będą jeszcze potrzebne jakieś informacje, to znacie mój adres.

Ceremonialnie uścisnął im ręce i opuścił mieszkanie.

# Rozdział siódmy

## Prawdopodobieństwa

Po wyjściu mecenasa Thibaulta trzej mężczyźni przysunęli krzesła trochę bliżej stołu.

— A teraz — rzekł Japp — zabierajmy się do roboty. — Otworzył wieczne pióro. — W samolocie (myślę o tylnej części) było jedenastu pasażerów. Inni nie wchodzi w rachubę. Jedenastu pasażerów i dwóch stewardów — mamy więc trzynastu ludzi. Jedna z dwunastu osób załatwiła tę kobietę. Niektórzy pasażerowie byli Anglikami, niektórzy Francuzami. Tych ostatnich powierzę panu, *monsieur* Fournier. Anglikami ja się zajmę. Trzeba więc przeprowadzić śledztwo w Paryżu — ito właśnie będzie pańskie zajęcie, Fournier.

— I nie tylko w Paryżu — rzekł Fournier. — W lecie Giselle działała na francuskim wybrzeżu — Deauville, Le Pinet, Wimcreux. Jeździła też na południe do Antibes i Nicei, a także do innych miejsc.

— Trafne stwierdzenie; pamiętam, że kilkoro pasażerów *Prometeusza* wspomniało Le Pinet. Tak, a zatem to jeden kierunek działania. Teraz musimy się zabrać za samo morderstwo. Musimy przekonać się, kto zajmował najlepszą pozycję do użycia dmuchawki. — Rozwinął duży plan tej części samolotu i położył go na środku stołu. — Teraz jesteśmy już przygotowani do wykonania wstępnej pracy. Na początek przejrzymy po kolei wszystkich i ustalmy prawdopodobieństwo, a także — co jest nawet ważniejsze — możliwości. Przede wszystkim możemy wyeliminować obecnego tu *monsieur* Poirota. To nam obniża ilość osób do jedenastu. Poirot potrząsnął głową ze smutkiem.

— Masz zbyt ufną naturę, mój przyjacielu. Nikomu nie powinieneś ufać... absolutnie nikomu.

— No więc zostawimy cię, jeśli chcesz tego tak bardzo — rzekł zgodliwie Japp. — Teraz mamy stewardów. Wydaje się bardzo nieprawdopodobne, aby któryś z nich był w to zamieszany. Nie wyglądają na tak' 'a, którzy pożyczają pieniądze na dużą skalę, i obaj cieszą się dobrą opinią — porządni, spokojni ludzie. Bardzo by mnie zaskoczyło, gdyby któryś z nich miał coś wspólnego z morderstwem. Niemniej, ponieważ mieli możliwości dokonania tego czynu, musimy ich wliczyć. Przebywali tak w przedzie, jak i w tyle samolotu. Mogli zająć pozycję, która pozwoliłaby im użyć dmuchawki — mam tu na myśli użyć jej pod odpowiednim kątem. Chociaż nie wierzę, aby steward mógł wydmuchnąć zatrutą strzałkę w przedziale pełnym ludzi bez zwrócenia czyjejś uwagi. Wprawdzie z doświadczenia wiem, że większość ludzi jest ślepa jak nietoperz, to jednak istnieją pewne granice. I oczywiście, w pewnym sensie, dotyczy to również każdej z tych utrapionych osób. To było szaleństwo, zupełne szaleństwo, w taki sposób popełnić zbrodnię. Przecież istniała tylko jedna szansa na sto, że nie zostanie się zauważonym. Osoba, która to zrobiła, musiała mieć piekielne szczęście. A poza tym to cholernie głupia metoda popełnienia morderstwa...

Poirot, który spokojnie paląc siedział ze spuszczoneymi oczami, wtrącił pytanie:

— A zatem uważasz, że to była najgłupsza metoda popełnienia morderstwa, czy tak?

— Oczywiście, że tak. Absolutnie szalona.

— A jednak.... powiodła się. A my siedzimy tu we trójkę, rozmawiamy o tym, ale nie mamy żadnego pojęcia, kto popełnił morderstwo! To już jest sukces!

— Zwykle szczęście — upierał się Japp. — Morderca powinien być zauważony przez co najmniej pięć albo sześć osób.

Poirot potrząsnął głową z niezadowoleniem. Fournier z zaciekawieniem spojrział na niego.

— Co pana gnębi, *monsieur* Poirot?

— *Mon ami* — rzeki Poirot — sądzę, że każde przedsięwzięcie należy oceniać po rezultatach. A nasza sprawa zakończyła się sukcesem. I to właśnie mnie gnębi.

— To morderstwo — powiedział w zamyśleniu Francuz — wydaje się graniczyć z cudem.

— Cud czy nie cud. tak właśnie się stało — rzekł Japp. — Mamy orzeczenie medyczne, mamy broń, i gdyby ktokolwiek powiedział mi tydzień temu, że będę prowadził śledztwo w sprawie zamordowania kobiety strzałką zatrutą jadem węża... no, to zaśmiałbym mu się prosto w nos! To zniewaga... tego rodzaju morderstwo jest... zniewagą.

Głęboko westchnął. Poirot uśmiechnął się.

— Może to morderstwo popełnił ktoś, kto ma wypaczone poczucie humoru — powiedział Fournier.

— W zbrodni najważniejsze jest zrozumienie psychologii mordercy.

Japp lekko chrząknął na słowo „psychologia”, której nie lubił i nie ufał.

— Ten pasztet to coś akurat dla *monsieur* Poirota — powiedział.

— Tak, bardzo mnie interesuje, co wy dwaj mówicie.

— Chyba nie wątpisz, że zamordowano ją w ten sposób, co? — zapytał podejrzliwie Japp. — Ja już znam ten twój pokrętny umysł.

— Nie, nie, mój przyjacielu. Tego jestem pewien: przyczyną śmierci był zatruty kolec, który podniosłem z podłogi. Niemniej są pewne punkty w tej sprawie...

Przerwał i potrząsnął z zakłopotaniem głową.

Tymczasem Japp ciągnął:

— A więc jedźmy dalej. Nie możemy całkowicie wykluczyć stewardów, ale osobiście sędzę, że to wysoce nieprawdopodobne, aby któryś z nich to zrobił. Zgadzasz się ze mną, Poirot?

— Och, chyba pamiętasz, co powiedziałem. Ja... nikogo z tego nie wykluczam... *mon Dieu*, co za wyrażenie! Nikogo, na tym etapie.

— No, niech będzie tak, jak chcesz. A teraz pasażerowie. Zaczniemy od końca, od kuchenki i toalet. Miejsce numer szesnaście. — Stuknął ołówkiem w plan. — Fryzjerka, Jane Grey. W Le Pinet przepuściła wygraną na loterii. To znaczy, że jest hazardzistką. Może znalazła się w trudnej sytuacji i pożyczyła od tej starszej damy — ale wydaje się niemożliwe, aby pożyczyła dużą sumę, albo że Giselle miała na nią jakiegoś „haka”. Uważam, że jest dla nas za małą płótką. I nie sędzę, aby pomocnica fryzjera miała najmniejsze szanse zdobyć jad węża. Nie używa się tego jako farby do włosów ani do masowania twarzy.

W tym wypadku użycie jadu węża było raczej błędem, ponieważ w pewnym sensie zawężyła nam sprawę. Może dwie osoby na sto znajdują się na jadach i byłyby w stanie zdobyć coś takiego.

— Wyjaśnia nam to przynajmniej jedno — rzekł Poirot.

Fournier rzucił na niego szybkie pytające spojrzenie. Japp zajęty był własnymi myślami.

— Ja na to patrzę w ten sposób — mówił. — Morderca należy do jednej z dwóch kategorii: albo jest człowiekiem, który obijał się po różnych częściach świata, człowiekiem, który wiedział coś o wężach, i to o jadowitych gatunkach, i o zwyczajach tubylczych plemion, które używają jadu, aby pozbywać się wrogów — i to jest kategoria numer jeden.

— A numer dwa?

— To naukowcy. Prace badawcze. Tego rodzaju trucizny używa się do przeprowadzania eksperymentów w wysoko wyspecjalizowanych laboratoriach. Rozmawiałem z Winterspoonem. Okazuje się, że jad węża — a dokładnie mówiąc jad kobry — jest czasem używany w medycynie. Daje dość dobre rezultaty w leczeniu epilepsji. Ostatnio prowadzi się szerokie badania nad ukąszeniami węży.

— Ciekawe i dużo mówiące — zauważył Fournier.

— Tak, ale idźmy dalej. Żadna z tych kategorii nie pasuje do dziewczyny, Jane Grey. W jej wypadku wydaje się, że brak jest motywu, a szansę zdobycia trucizny są mizerne. Praktycznie nie miała możliwości użyć dmuchawki — było to prawie niemożliwe. Proszę spojrzeć. Trzej mężczyźni pochylili się nad planem.

— Tu jest miejsce numer szesnaście — wskazał Japp.

— Tu numer dwa, gdzie siedziała Giselle, a pomiędzy nimi wiele innych miejsc. Jeżeli — jak wszyscy przyznali — dziewczyna nie ruszała się ze swojego fotela, to w żaden sposób nie mogła wycelować kolca w szyję Giselle. Mnie się wydaje, że możemy ją wyeliminować.

A teraz numer dwanaście, naprzeciwko. Dentysta, Norman Gale. Prawie wszystko, co mówiłem poprzednio, odnosi się też do niego. Mała płotka. Przypuszczam, że ma więcej możliwości zdobycia jadu węża.

— Nie są to zastrzyki często stosowane przez dentystów — mruknął cicho Poirot. — Chodziłoby tu raczej o zabicie, a nie wyleczenie.

— Dentysta tak czy tak ma dosyć zabawy ze swoimi pacjentami — rzekł Japp uśmiechając się. — Jednak myślę, że może znać kogoś mającego dostęp do podejrzanych substancji. Może mieć przyjaciela–naukowca. Ale jeśli chodzi o możliwość popełnienia zbrodni, to raczej jest wyłączony. Wprawdzie opuścił fotel, ale udał się tylko do toalety... to znaczy w przeciwnym kierunku. W drodze powrotnej na swoje miejsce mógł się odsunąć nie dalej niż do końca przejścia między siedzeniami, a żeby wydmuchnąć stamtąd strzałkę i trafić starszą panią w szyję, musiałby mieć jakiś tresowany kolec, który robiłby różne wygibasy i potrafił skręcać pod kątem prostym. Tak więc i on jest wyeliminowany.

— Zgadzam się — rzekł Fournier. — Jedźmy dalej.

— Przejdźmy więc na drugą stronę przejścia. Siedemnaście.

— To było moje pierwotne miejsce — rzeki Poirot. — Odstąpiłem je jednej z pań, chciała siedzieć koło przyjaciółki.

— To pani Venetia. No więc co z nią? To gruba ryba. Mogła pożyczać od Giselle. Nie wygląda jednak na to, żeby miała jakieś brudne tajemnice w życiu, ale może postawiła na niewłaściwego konia, czy jak to się tam mówi. Musimy jej poświęcić trochę uwagi. Z jej miejsca strzał mógł się udać. Jeżeli Giselle, spoglądając przez okno, odwróciła trochę głowę, wówczas wielmożna pani Venetia mogła pozwolić sobie na taki sportowy strzał (a właściwie sportowe dmuchnięcie) na skos, przez cały przedział. Ale to i tak byłby fuks. Przypuszczam, że aby to zrobić, musiałaby wstać. Jest jedną z tych kobiet, które jesienią polują. Nie wiem, czy strzelanie z myśliwskiej strzelby pomogłoby jej w użyciu dmuchawki. Sądzę, że to kwestia dobrego oka... i praktyki. Ma prawdopodobnie przyjaciół... ludzi, którzy polowali na grubego zwierza w różnych częściach świata. Mogła więc w jakiś sposób zdobyć tubylcze rupiecie. Tak czy inaczej, to wszystko brzmi bzdurnie! I w ogóle nie ma sensu.

— Tak, wydaje się nieprawdopodobne — przyznał Fournier. — *Mademoiselle Kerr*... Widziałem ją dziś rano na rozprawie śledczej... — Potrząsnął głową. — Chyba nie będzie łatwo powiązać jej osobę z morderstwem.

— Miejsce trzynaste — rzekł Japp. — Lady Horbury. Ona może być naszym czarnym koniem. Wiem coś o niej i mogę wam powiedzieć, że nie byłbym zdziwiony, gdyby miała na sumieniu kilka ciemnych sekretów.

— Przypadkiem wiem — wtrącił Fournier — że ta dama dużo przegrała w bakarata przy stole w Le Pinet.

— To świetnie. Tak, ten ptaszek mógł mieć kontakty z Giselle.

— Całkowicie się zgadzam.

— Doskonale, a więc jak do tej pory jesteśmy zgodni. Ale jak ona to zrobiła? Przecież pamiętacie, że nie opuszczała swojego miejsca. Musiałaby klęknąć na fotelu i przechylić się przez oparcie... i widziałoby ją z dziesięciu pasażerów. O, do diabła, idźmy dalej.

— Dziewięć i dziesięć — rzekł Fournier, przesuwając palcem po planie.

— *Monsieur* Herkules Poirot i doktor Bryant — rzekł Japp. — Co *monsieur* Poirot może powiedzieć o sobie?

Poirot potrząsnął smutno głową.

— *Mon estomac* — rzekł patetycznie. — Niestety, mózg musiał podporządkować się kaprysom żołądka.

Ja również w powietrzu źle się czuję — powiedział Fournier ze współczuciem.

Zamknął oczy i energicznie potrząsnął głową.

— A teraz doktor Bryant. Co wiemy o doktorze Bryancie? Gruba ryba z Harley Street\*. Nie wydaje się prawdopodobne, aby musiał chodzić do tej francuskiej lichwiarki, ale nigdy nie wiadomo. Jeżeli wylezie na wierzch jakaś śmierdząca sprawa, wtedy skończona kariera pana doktora! I tu jest miejsce na moją teorię o naukowcach. Taki człowiek jak Bryant, stojący na szczycie drabiny, ma do czynienia z doświadczeniami medycznymi. Zwędenie fiołki z jadem węża w jakimś dobrym laboratorium poszłoby mu tak łatwo jak mrugnięcie okiem.

— Ależ takie rzeczy są pilnowane — sprzeciwił się Poirot. — To nie jest takie łatwe, jak zerwać kwiatek na łące.

— Nawet jeśli pilnują, bystry facet mógłby zamienić jad na coś innego. Bryant mógłby to zrobić choćby dlatego, że facet taki jak on jest poza wszelkim podejrzeniem.

— Coś jest w tym, co pan mówi — zgodził się Fournier.

— Tylko dlaczego on sam zwrócił naszą uwagę na jej śmierć? Dlaczego nie powiedział, że ta kobieta zmarła po prostu na atak serca... czy w jakiś inny naturalny sposób?

Poirot zakaszłał. Spojrzeli na niego pytająco.

— Wydaje mi się — rzekł — że takie było jego pierwsze... no, powiedzmy, pierwsze wrażenie jako lekarza... W końcu śmierć wyglądała na naturalną, możliwe, że wywołaną uządleniem osy. Jak pamiętacie, była tam osa...

— Trudno zapomnieć o tej osie — rzucił Japp — skoro ciągle o niej przypominasz.

— Niemniej — kontynuował Poirot — to ja znalazłem ten fatalny kolec na podłodze i podniosłem go. A kiedy już go znalazłem, wtedy wszystko wskazywało na morderstwo.

— Ten kolec i tak zostałby znaleziony.

Poirot potrząsnął głową.

— Istniała szansa, że morderca podniesie go nie zauważony.

— Bryant?

— Bryant albo ktoś inny.

— Hm... raczej ryzykowne.

Fournier nie zgodził się.

— Teraz pan tak myśli — rzekł — ponieważ już pan wie, że to było morderstwo. Jednak kiedy kobieta nagle umiera na atak serca i ktoś upuszcza chusteczkę, a potem podnosi ją, to kto zwróci na to uwagę?

— Prawda — przyznał Japp. — Dobrze, przyjmuję więc, że Bryant znajduje się definitywnie na liście podejrzanych. Mógł wychylić głowę za róg fotela i dmuchnąć — po przekątnej kabiny... Tylko dlaczego nikt go nie widział... Już nawet nie chcę o tym mówić. Ktokolwiek to zrobił, nie został zauważony!

— Sądzę — rzekł Fournier — że musi być tego jakiś powód. Powód, jeśli dobrze wiem — uśmiechnął się — w guście *monsieur* Poirota. Psychologiczny.

— Dalej, mój przyjacielu — rzekł Poirot. — To bardzo interesujące.

— Przypuśćmy — mówił Fournier — że jadąc pociągiem mijamy płonący dom. Wszystkie oczy natychmiast kierują się w stronę okna. Wszyscy zwracają uwagę na pewien punkt. Ktoś w tym momencie mógłby wyciągnąć sztylet i uderzyć, a nikt by tego nie zauważył.

— To prawda — zgodził się Poirot. — Pamiętam sprawę, w której uczestniczyłem... sprawę z trucizną, wtedy też pojawił się ten problem. Był tam, jak pan to określił, moment psychologiczny. Jeżeli ustalimy, że taki moment zdarzył się w czasie lotu *Prometeusza*...

— Powinniśmy to ustalić, wypytując stewardów i pasażerów — rzekł Japp.

— Racja. Jeśli istniał taki moment psychologiczny, wówczas wyciągamy logiczny wniosek, że przyczyna tego momentu musiała być zainicjowana przez mordercę. Musiał zrobić coś, co spowodowałoby odwrócenie uwagi.

— Wspaniale, wspaniale — rzekł Francuz.



— A zatem zapiszmy to sobie jako problem do rozwiązania — powiedział Japp. — Przechodzę teraz do miejsca numer osiem... Daniel Michael Clancy.

Japp wypowiedział to nazwisko z pewną dozą satysfakcji.

— Według mnie on jest najbardziej podejrzany. Cóż łatwiejszego dla autora powieści kryminalnych jak zainteresować się takim jadem, znaleźć jakiegoś nic nie podejrzewającego naukowca—chemika i wydostać od niego trochę tego paskudztwa? Nie wolno zapominać, że przechodził obok miejsca Giselle — był jedynym pasażerem, który to zrobił.

— Zapewniam cię, przyjacielu — rzekł Poirot z emfazą — że ja o tym nie zapomniałem.

Japp kontynuował.

— On mógł użyć tej dmuchawki z bliska, bez potrzeby momentu psychologicznego, jak to określiliście. I miał duże szanse, aby mu się udało. Pamiętajcie, że wie wszystko o dmuchawkach... sam nam powiedział.

— Może powinniśmy się nad tym zastanowić.

— Czysta przebiegłość — rzekł Japp. — Jeżeli chodzi o tę dmuchawkę, którą nam dziś przedstawił, to kto może udowodnić, że kupił ją przed dwoma laty? Ta cała sprawa wygląda dla mnie podejrzanie. Nie sądzę, aby było zdrowe ciągle pławić się w rozmyślaniach na temat zbrodni i wczytywać się w powieści kryminalne i tego rodzaju rzeczy. Potem w głowie rodzą się różne pomysły.

— Tak, pisarz musi mieć pomysły — zgodził się Poirot.

Japp wrócił do planu samolotu.

— Na miejscu numer cztery siedział Ryder — tuż przed zmarłą. Myślę, że tego nie zrobił, jednak nie możemy go wykluczyć. Poszedł do toalety. Mógł zdać się na los i strzelić do niej z dość bliska. Tylko że byłby wtedy tuż naprzeciw tych archeologów i oni z pewnością by to zauważyli... nie ma rady.

Poirot w zamyśleniu potrząsnął głową.

— Zapewne nie znasz wielu archeologów. Jeżeli ci dwaj prowadzili dyskusję na naprawdę interesujący ich temat... *eh bien*, przyjacielu, to tak się na nim skoncentrowali, że stali się ślepi i głusi na wszystko, co się wokół nich dzieje. Oni, widzisz, cofnęli się do piątego tysiąclecia przed naszą erą. Rok Pański 1935 po prostu dla nich nie istniał.

Japp spojrzał trochę sceptycznie.

— A więc co możesz nam powiedzieć, Fournier, na temat Dupontów?

— *Monsieur* Armand Dupont jest jednym z najbardziej wyróżniających się archeologów we

Francji.

— To, w każdym razie, niewiele nam daje. Dla mnie jest najważniejsze, że zajmowali miejsca dogodnie do użycia dmuchawki: za przejściem, ale trochę dalej do przodu niż Giselle. Przypuszczam, że dość dużo pętali się po świecie i wykopywali przedmioty w różnych dziwnych miejscach. Mogli też łatwo zdobyć trochę miejscowej trucizny.

— Tak, to jest możliwe — zgodził się Francuz.

— Ale pan w to nie wierzy?

Fournier z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— *Monsieur Dupont* żyje dla archeologii. Jest jej entuzjastą. Poprzednio zajmował się sprzedawaniem antyków. Zrzekł się kwitnącego interesu i poświęcił czas wykopaliskom. Obaj, on i jego syn, oddani są sercem i duszą zawodowi. Wydaje mi się nieprawdopodobne, aby byli zamieszani w morderstwo, ale nie powiem, że to jest niemożliwe, bowiem od czasu afery Stavisky'ego wierzę we wszystko.

— W porządku — powiedział Japp.

Podniósł arkusz papieru, na którym notował, i odchrząknął.

— Na czym więc stoimy? Jane Grey. Prawdopodobieństwo — nikłe. Możliwości — praktycznie żadne. Gale. Prawdopodobieństwo — nikłe. Możliwość — znów żadna. Pani Kerr. Bardzo mało prawdopodobne. Możliwości — wątpliwe. Lady Horbury. Prawdopodobieństwo — tak. Możliwości — praktycznie żadne. *Monsieur Poirot*. Najprawdopodobniej przestępca, jedyny człowiek na pokładzie, który mógł stworzyć moment psychologiczny.

Japp zaśmiał się wesoło ze swojego dowcipu. Poirot uśmiechnął się wyrozumiale, a Fournier trochę niepewnie. Potem detektyw podjął:

— Bryant. Prawdopodobieństwo i możliwości — dwa razy tak. Clancy. Motyw wątpliwy. Prawdopodobieństwo i możliwości — w rzeczy samej znakomite. Ryder. Prawdopodobieństwo — niepewne. Możliwości — całkiem duże. Dupontowie. Prawdopodobieństwo nikłe jeśli chodzi o motyw, dobre jeśli chodzi o zdobycie trucizny. Możliwości — duże.

To jest, jak sędzę, dość dobre podsumowanie; więcej na razie nie możemy nic zrobić. Teraz musimy przystąpić do rutynowych przesłuchań. Wpierw zabiorę się za Clancy'ego i Bryanta — dowiem się, czy czegoś nie kombinowali, czy kiedyś przypadkiem nie znaleźli się w kłopotach finansowych, czy ostatnio nie byli czymś zmartwieni lub zdenerwowani, gdzie się w ostatnim roku obracali — no, cały ten pasztet. To samo zrobię z Ryderem. Jednocześnie nie można pominąć pozostałych.

Wyśle Wilsona, aby zaczął wokół nich węszyć. *Monsieur Fournier* zajmie się Dupontami. Człowiek z Sûreté skinął głową.

— Może pan być spokojny, zajmiemy się nimi. Wieczorem wrócę do Paryża. Może wyciągniemy coś od Elise, służącej Giselle, tym bardziej, że teraz już wiemy trochę więcej o tej sprawie. Sprawdzę też bardzo dokładnie ruchy Giselle. Ustalimy, gdzie przebywała w lecie. Wiem, że raz lub dwa razy była w Le Pinet. Możemy uzyskać informacje o jej kontaktach z klientami z Anglii. No tak, to dużo roboty.

Obaj spojrzeli na zamyślonego Poirota.

— Przyłożysz do tego rękę, Poirot? — zapytał Japp.

Poirot ocknął się.

— Tak, sądzę, że powinienem towarzyszyć *monsieur* Fournierowi do Paryża.

— *Enchanté\** — rzekł Francuz.

— Zastanawiam się, co tam znów kombinujesz? — spytał Japp, patrząc z zaciekawieniem na Poirota.

— Cały czas siedziałeś bardzo cicho. Masz jakieś swoje małe pomysły, co?

— Jeden lub dwa, jeden lub dwa, ale to bardzo skomplikowane.

— No, dawaj, posłuchamy.

— Jedna rzecz, jaka mnie martwi — powiedział wolno Poirot — to miejsce, w którym znaleziono dmuchawkę.

— Ma się rozumieć! Z tego powodu nieomalże cię zamknięto!

Poirot potrząsnął głową.

— Nie to miałem na myśli. Nie to mnie martwi, że znaleziono ją wepchniętą w mój fotel — niepokoi mnie, że w ogóle została wepchnięta w fotel.

— Nie widzę w tym nic dziwnego — rzekł Japp.

— Ktoś kto to zrobił, musiał ją gdzieś schować. Nie mógł ryzykować, aby znaleziono ją przy nim.

— *Evidemment\**. Ale zapewne zauważyłeś, przyjacielu, że chociaż okna w samolocie się nie otwierały, to w każdym z nich był otwór wentylacyjny: mały okrągły otwór w szybie, który można albo otworzyć, albo zamknąć przez obrót wentylatora. Te otwory były takiej średnicy, że dmuchawka łatwo mogła przez nie przejść. I co by się wtedy z nią stało? Spadłaby na ziemię i nigdy nie zostałaby odnaleziona.

— Widzę w tym pewną trudność. Morderca mógłby się obawiać, że zostanie zauważony. Gdyby zaczął przepychać dmuchawkę przez otwór wentylacyjny, ktoś mógłby to widzieć.

— Ach tak — rzekł Poirot. — Nie bał się przyłożyć dmuchawki do ust i wydmuchnąć owej fatalnej strzałki, ale bał się, że go zobaczą, jak wyrzuca ją przez okno!

— Przyznaję, że to brzmi absurdalnie — rzekł Japp

— ale tak musiało być. Przecież ukrył dmuchawkę w fotelu. Nie da się temu zaprzeczyć.

Poirot nie odpowiedział i Fournier zapytał z ciekawością:

— To podsuwa panu jakiś pomysł, prawda? Poirot skinął głową.

— Daje mi, że tak powiem, temat do rozmyślań. Bezwiednie poprawił kałamarz ustawiony trochę krzywo niecierpliwą ręką Jappa.

Potem energicznie uniósł głowę i zapytał:

— A propos, czy masz dokładny spis przedmiotów należących do pasażerów, o którego sporządzenie cię prosiłem?

# Rozdział ósmy

## Spis

— Należ? do ludzi, którzy dotrzymują słowa — rzeki Japp.

Uśmiechnął się i zanurzył rękę w kieszeni wyjmując kartki papieru gęsto pokryte pismem maszynowym.

— Oto on. Jest tu wszystko, aż do najmniejszego detalu! Przyznaję, że jest w nim jedna ciekawa rzecz. Pomówimy o tym, kiedy skończysz czytać.

Poirot rozpostarł kartki i zaczął czytać. Fournier przysunął się i spoglądał przez jego ramię.

„James Ryder.

Kieszenie. Płócienna chusteczka do nosa z literą »J«. Portfel ze świńskiej skóry zawierający siedem jednofuntowych banknotów, trzy wizytówki. Listy od wspólnika George’a Ebermanna, wyrażające nadzieję, że »udało się wynegocjować pożyczkę... bo inaczej znajdziemy się w przykłej sytuacji«. List podpisany: »Maudie«. od kobiety, która miała się z nim spotkać następnego wieczoru w Trocadero (tani papier, pismo niewyrobite). Srebrna papierośnica. Zapałki w bloczku. Pióro wieczne. Pęk kluczy. Patentowy klucz do drzwi. Drobne francuskie i angielskie monety.

Dyplomarka. Dokumenty dotyczące interesów z cementem. Egzemplarz *Bootless Cnp* (książki zakazanej w tym kraju). Pudełko z lekarstwem na przeziębienie.

Doktor Bryant.

Kieszenie. Dwie lniane chusteczki. Portfel z banknotem dwudziestofuntowym i pięciusetfrankowym. Drobne angielskie i francuskie monety. Terminarz. Papierośnica. Zapalniczka. Pióro wieczne. Patentowy klucz do drzwi. Pęk kluczy.

Flet w futerale.

Miał przy sobie *Pamiętniki Benvenuto Celliniego* i *Les Maux de l’Oreille*

Norman Gale.

Kieszenie. Jedwabna chusteczka. Portfel, a w nim jeden funt i 600 franków. Drobne monety. Wizytówki dwóch firm francuskich produkujących instrumenty dentystyczne. Pudełko zapałek firmy Bryand i May — puste. Srebrna zapalniczka. Fajka z wrzośca. Gumowy kapciuch na tytoń. Patentowy klucz do drzwi.

Dyplomarka. Biały lniany kitel lekarski. Dwa małe lusterka dentystyczne. Dentystyczne tampony z ligniny. *La Vie Parisienne*. »The Strand Magazine«. »The Auto-car«.

Armand Dupont.

Kieszenie. Portfel zawierający 1000 franków i 10 funtów. Okulary w futerale. Luźne francuskie monety. Bawełniana chusteczka. Paczka papierosów. Zapalki w bloczku. Karty w pudełku. Wykałaczką.

Dyplomarka. Manuskrypt wykładu przygotowanego dla Royal Asiatic Society. Dwie niemieckie publikacje z dziedziny archeologii. Dwa arkusze ze szkicami ceramiki. Zdobione puste rurki (podobno ustniki do kurdyjskich fajek). Mała pleciana tacka. Dziewięć luźnych fotografii — wszystkie przedstawiające naczynia ceramiczne.

Jean Dupont.

Kieszenie. Portfel z 5 funtami i 300 frankami. Papierośnica. Cygarniczka (z kości słoniowej). Zapalniczka. Wieczne pióro. Dwa ołówki. Mały notatnik pełen różnych zapisków. List po angielsku od L. Marrinera, zapraszający go na lunch w restauracji położonej w pobliżu Tottenham Court Road. Luźne francuskie monety.

Daniel Clancy.

Kieszenie. Chusteczka (poplamiona atramentem). Pióro wieczne (cieknące). Portfel zawierający 4 funty i 100 franków. Trzy wycinki z gazet z artykułami na temat niedawno popełnionych zbrodni (jeden o otruciu arsenikiem i dwa dotyczące malwersacji). Dwa listy od agentów wynajmujących domy, z informacjami o wiejskich posiadłościach. Terminarz. Cztery ołówki. Scyzoryk. Trzy kwity i cztery niezapłacone rachunki. List od »Gordona« z nagłówkiem »SS Minotaur«. Na pół rozwiązana krzyżówka wycięta z »Timesa«. Notes ze szkicami intryg powieściowych. Luźne drobne monety włoskie, francuskie, szwajcarskie i angielskie. Zapłacony rachunek z hotelu w Neapolu. Duży pęk kluczy.

Kieszenie płaszcz. Manuskrypt powieści *Morderstwo na Wezuwiuszu*. Kontynentalny rozkład jazdy Bradshawa. Piłki golfowe. Para skarpetek. Szczoteczka do zębów. Zapłacony rachunek z hotelu w Paryżu.

Panna Kerr.

Kosmetyczka. Szminka do warg. Dwie cygarniczki (jedna z kości słoniowej, druga z nefrytu). Płaska pudmiczka. Papierośnica. Zapalki w bloczku. Chusteczka. Dwa funty. Drobne monety. Połowa akredytywy. Klucze.

Neser. (Wyłożony szagrynem). Butelecзки, szczoteczki, grzebienie itp. Komplet do manicure. Woreczek z przyborami do mycia, zawierający szczoteczkę do zębów, gąbkę, proszek do mycia zębów, mydło. Dwie pary nożyczek. Pięć listów od rodziny i przyjaciół w Anglii. Dwie powieści w wydaniu Tauchnitza. Fotografia dwóch spanieli.

Miała też ze sobą »Vogue« i »Good Housekeeping«.

Panna Grey.

Torebka. Szminka do warg, róż, płaska puderniczka, klucz patentowy i klucz do kufra. Ołówek. Papierośnica. Cygarniczka. Zapalki w bloczku. Dwie chusteczki. Zapłacony rachunek z hotelu w Le Pinet. Mała książeczka pt. *Zwroty francuskie*. Portfelik, a w nim 100 franków i 10 szylingów. Luźne monety francuskie i angielskie. Jeden szton z kasyna o nominale 5 franków.

Kieszenie podróżnego płaszcza. Sześć pocztówek z Paryża, dwie chusteczki i jedwabny szalik. List podpisany »Gladys«. Fiolka z aspiryną.

Lady Horbury.

Kosmetyczka. Dwie szminki do warg, róż. płaska puderniczka. Chusteczka. Trzy bilety. Sześć funtów angielskich. Luźne monety (francuskie). Pierścionek z brylantem. Pięć francuskich znaczków pocztowych. Dwie cygarniczki. Zapalniczka w pochewce.

Neser. Komplet do makijażu. Wymyślny zestaw do manicure (ze złota). Mała buteleczka z napisem (atramentem) — »Puder borowy«,,,.

Kiedy Poirot dotarł do końca spisu. Japp wskazał palcem ostatnią pozycję.

— Nasz człowiek okazał się bardzo rozsądny. Ten ostatni punkt zupełnie nie zgadzał się z resztą zawartości. Puder borowy, na Boga! Ta biała substancja w buteleczce okazała się kokainą.

Poirot otworzył szerzej oczy. Potem powoli skinął głową.

— Niewiele to ma wspólnego z naszą sprawą — stwierdził Japp. — Jednak nie muszę ci tłumaczyć, że kobieta, która bierze kokainę, ma słabe hamulce moralne. W każdym razie myślę, że nasza dama, mimo wrodzonej kobiecej bezradności, zrobiłaby dużo, aby otrzymać to, co chce. Niemniej wątpię, aby miała odwagę popełnić morderstwo i, szczerze mówiąc, nie widzę, jakie miałaby możliwości, aby to zrobić. Ta cała historia wydaje mi się czystą kpiną.

Poirot zebrał kartki zapisane maszynowym pismem i przeczytał je raz jeszcze. Potem odłożył je i westchnął.

— Od pierwszego rzutu oka — powiedział — wszystko to wydaje się bardzo wyraźnie wskazywać na jedną osobę. Jednak nie wiem dlaczego, a nawet w jaki sposób popełniła ona tę zbrodnię.

Japp spojrzał na niego badawczo.

— Więc po przeczytaniu tego całego bigosu twierdzisz, że wiesz, kto to zrobił?

— Tak sędzę.

Japp chwycił kartki i przestudiował je raz jeszcze, podając je po przeczytaniu Fournierowi. Gdy

skończył lekturę, wlepił wzrok w Poirota.

— Nabierasz mnie, Poirot?

— Nie, nic. *Quelle idee!*\* — Francuz odłożył kartki na stół.

— A co pan o tym myśli? Fournier potrząsnął przecząco głową.

— Może jestem głupi — rzekł — ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, aby ten spis coś nam dał.

— Nie sam w sobie — powiedział Poirot. — A w połączeniu z innymi cechami tej sprawy? No, ale może ja się jednak mylę... całkowicie się mylę.

— Dalej, wypruj z siebie tę swoją teorię — rzekł Japp. — Chcę ją na wszelki wypadek usłyszeć.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie, sam powiedziałaś, że to teoria... tylko teoria. Spodziewałem się znaleźć w tym spisie pewien przedmiot. *Eh bien*, i znalazłem go. Jest w nim; jednak wydaje się wskazywać zły kierunek. Dobry ślad prowadzący do niewłaściwej osoby. To oznacza, że należy jeszcze pracować, i prawdę mówiąc, wiele rzeczy jest nadal dla mnie niejasnych. Nie mogę dostrzec prawidłowej drogi; tylko niektóre fakty wydają mi się jaśniejsze, jakby układały się w wyraźniejszy deseń. Zgadzasz się ze mną? Nie, widzę, że nie. Pozwól więc, że niezależnie popracujemy nad własnymi pomysłami. Ja nie mam żadnej pewności, powtarzam, tylko pewne podejrzenia...

— Przypuszczam, że jednak masz coś w zanadrzu — rzekł Japp i wstał. — No, cóż skończmy na dzisiaj. Ja popracuję w Londynie, pan wróci do Paryża... a co z tobą, Poirot?

— Nadal podtrzymuję chęć towarzyszenia *monsieur* Fournierowi do Paryża... a teraz nawet bardziej niż przedtem.

— Bardziej niż przedtem?... Chciałbym wiedzieć, jaki to robał toczy twój mózg.

— Robał? *Ce n'est pas joli, ça!*\*

Fournier podał im ceremonialnie rękę.

— Życzę wam miłego wieczoru i bardzo dziękuję za wspaniałą gościnę. Jutro rano spotkamy się na lotnisku w Croydon?

— Tak. *A demain*\*.

— Miejmy nadzieję — rzekł Fournier — że w czasie podróży nikt nas nie zamorduje.

Obaj detektywi odeszli.

Poirot przez chwilę siedział jak we śnie. Potem wstał, usunął wszystkie ślady nieporządku,



opróżnił popielniczki i poprawił krzesła.

Podszedł do bocznego stolika i podniósł „Sketcha”. Odwracał strony, aż znalazł tę, której szukał.

„Dwoje czcicieli słońca” — brzmiał tytuł. — „Hrabina Horbury i pan Raymond Barraclough w Le Pinet.” Spojrzał na obejmujące się uśmiechnięte postacie w strojach kąpielowych.

— Ciekawe — rzekł Herkules Poirot. — Idąc w tym kierunku, można by do czegoś dojść... Tak, można by...

# Rozdział dziewiąty

## Elise Grandier

Następnego dnia pogoda była tak wspaniała, że nawet *estomac* Poirota nie sprawiał mu kłopotów.

Tym razem lecieli samolotem o 8.45 do Paryża.

Poza Poirotem i Fournierem było jeszcze siedmiu czy ośmiu pasażerów i Francuz postanowił spożytkować podróż przeprowadzając pewne eksperymenty. Wyjął z kieszeni mały kawałek bambusa i trzy razy w czasie lotu podniósł go do ust, kierując w różne strony. Raz zrobił tak wychylając się za róg fotela i przechylając głowę w bok, a raz wracając z toalety. Za każdym razem któryś z pasażerów przyglądał się mu ze zdumieniem. Przy ostatnim eksperymencie utkwili w nim oczy wszyscy pasażerowie.

Fournier osunął się na fotel rozczarowany i tylko trochę pocieszało go wyraźne rozbawienie Poirota.

— Jesteś rozbawiony, mój przyjacielu? Jednak chyba zgadza się pan, że należy eksperymentować?

— *Evidennent!* W istocie podziwiam pańską skrupulatność. Nie ma nic lepszego jak przekonanie się na własnej skórze. Odegrał pan rolę mordercy z dmuchawką. Wynik jest oczywisty. Wszyscy pana widzieli!

— Nie wszyscy.

— Może i nie. Zawsze znajdzie się ktoś, kto pana nie zobaczy. Ale to nie wystarczy. Aby morderstwo się udało, musi pan być całkiem pewien, że nikt pana nie zobaczy.

— A to jest w normalnych warunkach niemożliwe — rzekł Fournier. — Dlatego upieram się przy mojej teorii, że musiały istnieć jakieś niezwykle okoliczności: moment psychologiczny! W tym momencie psychologicznym, wyliczonym matematycznie, uwaga wszystkich musiała być skupiona na czymś innym.

— Nasz przyjaciel, inspektor Japp, przeprowadzi na ten temat szczegółowe śledztwo.

— Czy pan się ze mną zgadza, *monsieur* Poirot? Poirot wahał się przez chwilę, potem powiedział:

— Zgadzam się, że był... że musiała istnieć jakaś psychologiczna przyczyna, że nikt nie widział mordercy... Ale ja idę trochę innym tropem. Czuję, że wrażenia wzrokowe mogą być mylące. Niech pan zamknie oczy, przyjacielu, zamiast szeroko je otwierać. Proszę użyć oczu swojego umysłu, a nie ciała. Niech zaczną pracować pańskie małe, szare komórki... Niech pan dzięki nim zobaczy, co się naprawdę wydarzyło.

Fournier spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Nie nadążam za panem, *monsieur* Poirot.

— Ponieważ próbuje pan wyciągnąć wnioski z rzeczy, które pan widzi. Nic nie jest tak mylące jak obserwacja.

Fournier znów potrząsnął głową i rozłożył ręce.

— Poddaję się. Jednak nie nadążam za pańskim tokiem myśli.

— Nasz przyjaciel Giraud poradziłby panu, żeby pan nie zwracał uwagi na moje gadanie. Powiedziałby: „Zabieraj się do roboty. Siedzieć spokojnie w fotelu i myśleć, to metoda tego starego pryka, którego szczytowa wydajność już minęła”. Ale, mówię panu, młody pies czasem tak bardzo podnieci się zapachem tropu, że może pobiec za daleko... I jego uwaga zostanie skierowana w innym kierunku. Niech to będzie dla pana dobrą radą...

I oparłszy się wygodnie Poirot zamknął oczy, być może dlatego, że chciał pomyśleć, jednak z całą pewnością w pięć minut później pogrążył się w twardym śnie.

Po przybyciu do Paryża udali się prosto na rue Joliette 3.

Rue Joliette leży na południe od Sckwany. Numer 3 nie odróżniał się niczym specjalnym od innych domów. Przyjął ich wiekowy dozorca i mrukliwie przywitał Fourniera.

— No więc znowu mamy tu policję! Nic tylko kłopoty. To tylko wystawia temu domowi złą opinie.

I narzekając wrócił do swojego mieszkania.

— Pójdziemy do biura Giselle — rzekł Fournier. — Jest na pierwszym piętrze.

Wyjmując z kieszeni klucz wyjaśnił, że policja francuska, czekając na wyniki przesłuchania w Anglii, była na tyle ostrożna, że zamknęła i opieczętowała drzwi.

— Niestety, obawiam się — rzekł Fournier — że nie znajdziemy tu nic, co mogłoby nam pomóc.

Zdjął plombę, otworzył drzwi i weszli do środka. Biuro Madame Giselle było małe i zagracone. W kącie stał staromodny sejf, solidne biurko i kilka starych wyściełanych krzeseł. Jedyne okno było brudne i wydawało się całkiem możliwe, że nigdy go nie otwierano.

Rozglądając się dookoła, Fournier wzruszył ramionami.

— Widzi pan? — rzekł. — Nic. Absolutnie nic. Poirot okrążył biurko, usiadł na krześle i spojrział przez blat na Poumiera. Delikatnie przesunął ręką po blacie biurka, a potem pod spodem.

— Tu jest dzwonek — rzekł.

— Tak, to dzwonek do stróżówki.

— Ach, przezorność. Klienci Madame mogli czasami być nieprzyjemni.

Wysunął kilka szuflad. Zawierały papier listowy, kalendarz, pióra i ołówki, ale żadnych dokumentów czy czegoś natury osobistej.

Poirot przejrzał je pobieżnie.

— Nie chcę pana obrażać i nie będę przeprowadzał dokładnej rewizji. Jeżeli było coś do znalezienia, to z pewnością pan już znalazł. — Spojrzał na sejf. — Niezbyt pewny, co?

— Nieco staromodny — zgodził się Fournier.

— Był pusty?

— Tak. Ta przekłeta służąca wszystko zniszczyła.

— Ach tak, służąca. Zaufana służąca. Musimy się z nią zobaczyć. Ten pokój, jak pan twierdzi, nic nam nie powie. To znaczące, nie uważa pan?

— Co pan ma na myśli mówiąc, że to znaczące, *monsieur* Poirot?

— Uważam, że brak tu czegoś osobistego... i to wydaje mi się interesujące.

— Była kobietą pozbawioną sentymentów — rzekł sucho Fournier.

Poirot wstał.

— Idziemy — oświadczył — zobaczyć się z tą służącą... z zaufaną służącą.

Elise Grandier była niską, tęgą kobietą w średnim wieku, z czerwoną twarzą i małymi chytrymi oczkami, które tam i z powrotem biegały od twarzy Fourniera do twarzy jego towarzysza.

— Niech pani siada, *mademoiselle* Grandier — rzekł Fournier.

— Dziękuję, *monsieur*.

Usiadła zupełnie opanowana.

— *Monsieur* Poirot i ja wróciliśmy dzisiaj z Londynu. Śledztwo... przesłuchanie w sprawie śmierci Madame... odbyło się wczoraj. Nie ma żadnych wątpliwości, że Madame została otruta.

Francuzka potrząsnęła poważnie głową.

— To co pan mówi jest straszne, *monsieur*. Madame została otruta? Komu w ogóle mogłoby się coś takiego przyśnić?

— I właśnie dlatego przypuszczamy, że mogłaby nam pani pomóc, *mademoiselle*.

— Naturalnie, *monsieur*. To oczywiste, że zrobię wszystko, aby pomóc policji. Ale ja nic nie wiem — absolutnie nic.

— Wie pani, że Madame miała wrogów? — zapytał ostro Fournier.

— To nieprawda. Dlaczego Madame miałyby mieć wrogów?

— Niech pani przestanie, *mademoiselle* Grandier — rzekł sucho Fournier. — Zawód lichwiarki... zawsze pociąga za sobą jakieś nieprzyjemności.

— Prawda, że czasem klienci Madame nie zachowywali się tak jak należy — zgodziła się Elise.

— Robili sceny, co? Grozili jej? Służąca potrząsnęła głową.

— Nie, nie, myli się pan. Oni jej nie grozili. Jęczeli... narzekali... protestowali, że nie mogą płacić... i tak dalej. To wszystko. — W jej głosie brzmiała szczerza pogarda.

— Może czasami, *mademoiselle* — wtrącił Poirot — nie mogli zapłacić.

Elise Grandier wzruszyła ramionami.

— Może. Ale to była ich sprawa! Zwykle w końcu płacili.

W jej tonie zabrzmiał cień satysfakcji.

— Madame Giselle była twardą kobietą — stwierdził Fournier.

— Madame miała prawo tak postępować.

— Nie ma pani litości dla ofiar?

— Ofiary... ofiary... — Elise powiedziała niecierpliwie. — Pan nie rozumie. Czy musieli się zadłużyć, aby żyć ponad stan? Czy musieli biegać i pożyczać? A kto im powiedział, że otrzymają te pieniądze w prezencie? To właśnie jest bez sensu! Madame zawsze była w porządku, była rzetelna. Pożyczała... ale spodziewała się zwrotu pieniędzy. I tylko to jest fair. Sama nie miała żadnych długów. Zawsze honorowo płaciła, jeśli była komuś coś winna. Nigdy, przenigdy nie miała niezapłaconych rachunków. Pan mówi, że Madame była twardą kobietą, ale to też jest nieprawda! Madame była dobra. Dawała pieniądze zakonnikom opiekującym się biednymi. Dawała pieniądze różnym instytucjom charytatywnym. Kiedy żona Georgcsa, dozorca, była chora, Madame zapłaciła za jej pobyt w szpitalu.

Przerwała, jej twarz płonęła z gniewu.

— Pan nie rozumie — powtórzyła. — Nic, pan w ogóle nie rozumie Madame.

Fournier czekał przez chwilę, żeby jej wzburzenie opadło, po czym rzekł:

— Pani powiedziała, że klienci Madame zwykle jakoś dawali sobie radę i że w końcu płacili. Może nas pani poinformować, w jaki sposób Madame zmuszała ich do płacenia?

Wzruszyła ramionami.

— Nic nie wiem, *monsieur*... Ja w ogóle nic nie wiem.

— Jednak wiedziała pani dosyć, aby spalić papiery Madame.

— Postąpiłam według jej instrukcji. Powiedziała, że jeśli kiedykolwiek spotka ją jakiś wypadek lub zachoruje i umrze gdzieś poza domem, wówczas mam zniszczyć dokumenty dotyczące jej interesów.

— Dokumenty, które były w sejfie na dole? — zapytał Poirot.

— Tak jest. Papiery, które dotyczyły jej interesów.

— I to one właśnie znajdowały się w sejfie na dole?

Jego upór spowodował, że policzki Elise zaczerwieniły się.

— Wykonałam polecenie Madame — powiedziała.

— Wiem — rzekł z uśmiechem Poirot. — Ale te papiery nie znajdowały się w sejfie. Tak było, prawda? Ten sejf jest tak staromodny, że może go otworzyć każdy amator. Papiery były przechowywane gdzie indziej — może w sypialni Madame?

Elise milczała przez chwilę, potem powiedziała:

— Tak, tak było. Madame zawsze udawała przed klientami, że trzyma je w sejfie, ale w rzeczywistości sejf był tylko na niby. Wszystko znajdowało się w sypialni Madame.

— Pokaże nam pani gdzie?

Elise wstała i obaj mężczyźni poszli za nią. Sypialnia była duża, jednak tak przepelniona przesadnie zdobionymi ciężkimi meblami, że trudno było poruszać się w niej swobodnie.

W narożniku stał duży antyczny kufer. Elise podniosła wieko i wyjęła staromodną alpakową suknię z halką. Od wewnątrz do sukni przyszyta była głęboka kieszeń.

— Papiery tu były, *monsieur* — rzekła. — Przechowywała je w dużej zalakowanej kopercie.

— Pani nic mi o tym nie powiedziała — rzucił ostro Fournier — kiedy pytałem o nie przed trzema dniami.

— Proszę mi wybaczyć, *monsieur*. Pan pytał mnie, gdzie są papiery, które powinny być w sejfie. Powiedziałam panu, że je spaliłam. To była prawda. Prawdziwe miejsce przechowywania papierów było nieważne.

— To prawda — rzekł Fournier. — Pani rozumie, *mademoiselle* Grandier, że te dokumenty nie powinny były zostać spalone.

— Wypełniłam polecenie Madame — powiedziała zaszępiiona Elise.

— Działała pani w najlepszej wierze — rzekł Fournier uspokajająco. — A teraz chciałbym, aby pani wysłuchała mnie bardzo uważnie, *mademoiselle*: Madame została zamordowana. Jest całkiem możliwe, że zamordowała lub zamordowały ją osoby, o których za dużo wiedziała. Te informacje zawarte były w papierach, które pani spaliła. Teraz muszę zadać pani pytanie, *mademoiselle*, i proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie. Możliwe — a według mnie prawdopodobne i zupełnie zrozumiałe — że przed wrzuceniem ich do ognia zerknęła pani w te papiery. Jeżeli tak było, nie będziemy pani za to winić. Przeciwnie, wszystko czego się pani z nich dowiedziała, może przydać się policji i może stać się przydatne do zaprowadzenia mordercy przed sąd. Dlatego, *mademoiselle*, proszę się nie bać i powiedzieć prawdę. Czy pani przejrzała te dokumenty przed spaleniem?

Elise oddychała ciężko. Pochyliła się ku niemu i powiedziała z naciskiem:

— Nie, *monsieur*. Niczego nie przeglądałam. Nic nie czytałam. Kopertę spaliłam nie zrywając pieczęci.

# Rozdział dziesiąty

## Mała czarna książeczka

Fournier patrzył na nią przez chwilę badawczo, potem nabrawszy przekonania, że powiedziała prawdę, odwrócił się zniechęcony.

— Szkoda — rzekł. — Zachowała się pani honorowo, *mademoiselle*, ale to naprawdę szkoda.

— Nie mogę pomóc, *monsieur*. Przykro mi.

Fournier usiadł i wyjął z kieszeni notes.

— Kiedy ostatnio panią pytałem, powiedziała pani, *mademoiselle*, że nie zna pani nazwisk klientów Madame. Jednak teraz mówi pani, że miauczeli i błagali o litość, a zatem oznacza to, że jednak wiedziała coś pani o klientach Madame Giselle?

— Proszę pozwolić, że to wytłumaczę, *monsieur*. Madame nigdy nie wymieniała nazwisk. Nigdy nie mówiła o interesach. Niemniej człowiek jest tylko człowiekiem, prawda? Są pewne okrzyki... komentarze. Czasem Madame mówiła do mnie tak, jakby mówiła do siebie.

Poirot pochylił się.

— Może pani podać nam jakiś przykład, *mademoiselle*? — zapytał.

— Chwileczkę... ach, tak... no, powiedzmy przychodzi list. Madame otwiera go. Śmieje się krótkim, suchym śmiechem. Mówi: „Skamlesz i płaczesz, moja wielka damo. Jednak musisz płacić”. Albo czasami mówiła do mnie: „Co za idioci! Co za idioci! Pomyśl, czy pożyczalabym duże sumy bez odpowiedniego zabezpieczenia? Wiedza to bezpieczeństwo, Elise. Wiedza to siła”. Czasem mówiła coś podobnego.

— Czy kiedyś widziała pani jakiegoś klienta, który przyszedł tu do domu?

— Nie, *monsieur*... Nawet trudno byłoby mi go zauważyć. Przychodzili tylko na pierwsze piętro i bardzo często dopiero, gdy było ciemno.

— Czy Madame Giselle wróciła do Paryża przed wyjazdem do Anglii?

— Wróciła tylko na jedno popołudnie.

— Gdzie była?

— Wyjechała na dwa tygodnie do Deauville, Le Pinet, Paris-Plage i Wimcreux — to jej zwykła wrześniowa trasa.



— Teraz niech się pani skupi, *mademoiselle*. czy może pani cokolwiek powiedzieć — cokolwiek — o czymś, co mogłoby nam się przydać?

Elise zastanawiała się przez dłuższą chwilę. Potem potrząsnęła głową.

— Nie, *monsieur* — rzekła. — Nic takiego nie przypominam sobie. Madame była w dobrym humorze. Mówiła, że interesy idą dobrze. Wyjazd przyniósł jej korzyści. Potem poleciła, abym zadzwoniła do Universal Airlines i zarezerwowała na następny dzień miejsce na samolot do Anglii. Poranny lot był już zajęty, ale dostała miejsce na lot o dwunastej.

— Powiedziała, po co leci do Anglii? Istniał jakiś powód do pośpiechu?

— O nie, *monsieur*, Madame często latała do Anglii. Zwykle informowała mnie o tym dzień wcześniej.

— Czy tego wieczora Madame miała jakichś klientów?

— Wydaje mi się, że przyszedł jeden klient, *monsieur*, ale nie jestem pewna. Może lepiej wie Georges. Madame nic mi nie powiedziała. Fournier wyjął z kieszeni różne fotografie świadków — przeważnie migawkowe, wykonane przez reporterów. Fotografie te zrobiono, kiedy świadkowie opuszczali rozprawę śledczą.

— Rozpoznaje pani kogoś z nich, *mademoiselle*? Elise wzięła fotografie i zaczęła im się przyglądać.

Potem potrząsnęła głową.

— Nie, *monsieur*.

— Musimy więc spróbować z Georgesem.

— Tak, *monsieur*. Na nieszczęście Georges nie ma zbyt dobrego wzroku. Szkoda.

Fournier wstał.

— No dobrze, *mademoiselle*, musimy już iść... o ile jest pani zupełnie pewna, że o niczym... absolutnie o niczym pani nie zapomniała.

— Ja? Co... o czym miałabym zapomnieć? Elise wydawała się być zmartwiona.

— Wobec tego wszystko jasne. Chodźmy, *monsieur* Poirot. Przepraszam... pan czegoś szuka?

Poirot chodził niepewnie po pokoju, jakby czegoś szukał.

— To prawda — rzekł Poirot. — Szukam czegoś, czego nie widzę.

— Co to jest?

— Fotografie. Fotografie krewnych Madame Giselle, jej rodziny.

Elise potrząsnęła głową.

— Madame nie miała rodziny. Była sama na świecie.

— Miała córkę — rzekł szybko Poirot.

— Tak, istotnie. Miała córkę.

Elise westchnęła.

— Ale tu nie ma żadnego zdjęcia córki? — upierał się Poirot.

— O. *monsieur*, pan tego nie rozumie. To prawda, że miała córkę, ale — widzi pan — to było bardzo dawno temu. O ile ja wiem, Madame nie widziała córki od dzieciństwa.

— Dlaczego? — zapytał ostro Fournier.

Elise rozłożyła ręce.

— Nie wiem. Madame wtedy była młoda. Słyszałam, że była ładna... Ładna i biedna. Może była mężatką, a może nie. Ja osobiście myślę, że nie. Niewątpliwie zawarto jakiś układ w sprawie dziecka. Sama Madame zaraziła się ospą, ciężko chorowała... i była bliska śmierci. Kiedy wyzdrowiała, cała uroda znikła. Nie było więcej szaleństw, żadnych romansów. Madame stała się kobietą interesu.

— Jednak swoje pieniądze zapisała córce?

— Tak powinno być — odparła Elise. — Czy nie powinno się zostawiać pieniędzy komuś z własnej krwi i kości? Krew jest gęstsza niż woda, a Madame nie miała przyjaciół. Zawsze była sama. Jej pasją były pieniądze — pragnęła mieć ich więcej i więcej. Bardzo mało wydawała. Luksus jej nie bawił.

— Pozostawiła pani zapis. Czy pani o tym wie?

— Tak, wiem. Madame zawsze była hojna. Poza zwykłym wynagrodzeniem, co roku dawała mi pieniądze ekstra. Jestem bardzo wdzięczna Madame.

— Dobrze — rzekł Fournier — idziemy już. Po drodze chcę jeszcze zamienić słówko ze starym Georgesem.

— Pozwoli pan, że za chwilę dołączę do pana, przyjacielu — rzekł Poirot.

— Jak pan sobie życzy.

Fournier wyszedł.

Poirot jeszcze raz okrążył pokój, potem usiadł i wbił oczy w Elise.

Pod wpływem jego wzroku Francuzka stała się trochę niespokojna.

— Czy pan chce jeszcze coś wiedzieć, *monsieur*?

— *Mademoiselle* Grandier — rzekł Poirot — wie pani, kto zamordował Madame Giselle?

— Nie, *monsieur* Poirot. Przysięgam na Boga, że nie wiem.

Powiedziała to bardzo poważnie i szczerze. Poirot spojrział na nią uważnie, następnie skinął głową.

— *Bien* — rzekł. — Przyjmuję to. Ale wiedzieć to jedno, a podejrzewać to drugie. Ma pani jakieś domysły — tylko domysły — kto mógł to zrobić?

— Niczego się nie domyślam, *monsieur*. Już mówiłam to temu policjantowi.

— Jemu mogła pani powiedzieć jedno, a mnie może pani powiedzieć coś innego.

— Dlaczego pan tak mówi, *monsieur*? Dlaczego miałabym to zrobić?

— Ponieważ informować policję to co innego niż rozmawiać prywatnie.

— Tak — odparta Elise — ma pan rację.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niezdecydowania. Wydawało się, że zastanawia się nad tym. Obserwując ją dokładnie Poirot przysunął się do niej i powiedział:

— Pozwoli pani, że coś powiem, *mademoiselle* Grandier? Do mojego zawodu należy w nic nie wierzyć, to znaczy w nic, co nie zostało dowiedzione. Nie mam w zwyczaju podejrzewać wpierv jednej osoby, a potem drugiej. Ja podejrzewam wszystkich. Każdy, kto jest związany z tą zbrodnią, jest tak długo podejrzany, aż udowodni swoją niewinność.

Elise Grandier skrzywiła się gniewnie.

— Chce pan przez to powiedzieć, że pan podejrzewa mnie... mnie... o zamordowanie Madame? To już stanowczo przesada! Taka myśl jest nikczemna i wprost trudno w to uwierzyć!

Obfite piersi unosiły się w przyspieszonym oddechu.

— Nie, Elise — rzekł Poirot. — Ja pani nie podejrzewam o zamordowanie Madame. Ten, kto zamordował Madame, był pasażerem samolotu. Dlatego też nie mogę przyjąć, że zamordowała ją pani osobiście. Jednak mogła pani być współniczką przed popełnieniem tego czynu. Mogła pani przekazać komuś szczegóły... o planowanej podróży Madame.

— Nie zrobiłam tego. Przysięgam, że tego nie zrobiłam.

Poirot znowu patrzył na nią przez kilka minut w milczeniu. Potem skinął głową.

— Wierzę pani — rzekł. — Ale niemniej jest coś, co pani ukrywa. Tak, jest! Proszę posłuchać, coś pani powiem. W każdej sprawie dotyczącej zbrodni w czasie wypytywania świadków spotykamy się zawsze z tym samym zjawiskiem. Wszyscy coś ukrywają. Czasami — i to bardzo często — jest to coś zupełnie niewinnego, nie związanego ze zbrodnią, ale — jeszcze raz to powtarzam — zawsze jest coś. Tak samo jest z panią. Och, proszę nie przeczyć! Ja jestem Herkulesem Poirotem i ja wiem! Kiedy mój przyjaciel, *monsieur* Fournier, zapytał panią, czy jest pani pewna, że nic nie pominęła w swojej relacji, była pani zakłopotana. Odpowiedziała pani bez zastanowienia, lecz wykrętnie. I teraz znowu, właśnie teraz, gdy zasugerowałem, że mogłaby mi pani powiedzieć to, czego nie chciała pani powiedzieć policji, najwyraźniej zastanawiała się pani nad tym. To znaczy, że coś jest. Chciałbym wiedzieć, co to jest.

— To nic ważnego.

— Możliwe, że nic. Ale czy powie mi pani, co to jest? Proszę pamiętać — mówił dalej, kiedy zaczęła się wahać — że ja nie jestem z policji.

— To prawda — powiedziała Elise Grandier. Zawahała się i kontynuowała: — *Monsieur*, jestem w kłopotcie. Nie wiem, czy Madame chciałaby, żebym o tym mówiła.

— Mówi się, że dwie głowy to nie jedna. Nie chciałaby pani poradzić się mnie? Zbadajmy ten problem razem.

Kobieta ciągle patrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Jest pani dobrym stróżem, Elise — powiedział z uśmiechem. — Sądzę, że problem dotyczy pani lojalności względem Madame, prawda?

— Ma pan zupełną rację, *monsieur*. Madame ufała mi. Od chwili gdy podjęłam u niej pracę, zawsze dokładnie wypełniałam jej polecenia.

— Była jej pani wdzięczna, prawda? Za pewną wielką przysługę, jaką pani wyświadczyła?

— Pan jest bardzo bystry, *monsieur*. Istotnie, to prawda. Nie waham się do tego przyznać. Oszukano mnie, *monsieur*. ograbiono z oszczędności... i było też dziecko. Madame była dla mnie dobra. Tak wszystko zorganizowała, że dziecko dostało się w ręce dobrych ludzi na farmie. Na dobrej farmie, *monsieur*. zajęli się nim uczciwi ludzie. Wtedy właśnie wspomniała, że i ona jest matką.

— Czy powiedziała pani, w jakim wieku jest dziecko, gdzie było, i inne szczegóły?

— Nie, *monsieur*, mówiła o tym jak o etapie życia, który skończył się i o którym już zapomniała. Powiedziała, że tak będzie lepiej. Dużo łożyła na jego wychowanie, wykształcenie i zdobycie zawodu. Miało też po jej śmierci odziedziczyć cały majątek.

— Madame nie powiedziała pani nic więcej o tym dziecku albo o jego ojcu?

— Nie, *monsieur*, ale domyślam się. że...

— Proszę mówić, *mademoiselle* Elise.

— No, rozumie pan, ja się tylko domyślam...

— Oczywiście, oczywiście...

— Domyślam się, że ojcem tego dziecka był Anglik.

— Co dokładnie pozwala pani tak przypuszczać?

— Dokładnie to nic. Była jakaś gorycz w głosie Madame, kiedy mówiła o Anglikach. Przypuszczam też, że prowadząc swoje interesy cieszyła się, kiedy miała w rękach Anglików. To tylko takie wrażenie...

— Tak, ale to może być bardzo ważne. Otwiera to pewne możliwości... A pani dziecko, *mademoiselle* Elise? To była dziewczynka czy chłopiec?

— Dziewczynka, *monsieur*. Ale ona nie żyje... Teraz będzie już pięć lat, jak zmarła...

— Ach... proszę przyjąć wyrazy współczucia. Zapadło milczenie.

— A teraz, *mademoiselle* Elise — powiedział Poirot — co to jest, o czym pani do tej pory nie wspomniała? Elise wstała i wyszła z pokoju. Wróciła po pani minutach z małą podniszczoną czarną książeczką w ręku.

— Ta mała książeczka należała do Madame. Wszędzie zabierała ją ze sobą. Ale wtedy, kiedy miała wyjechać do Anglii, nie mogła jej znaleźć. Nie leżała na swoim miejscu. Znalazłam ją po jej wyjeździe. Wpadła za łóżko. Położyłam ją u siebie w pokoju, aby oddać po powrocie Madame. Kiedy usłyszałam o śmierci Madame, wszystkie papiery spaliłam, za wyjątkiem tej książeczki. W sprawie tej książeczki nie było żadnych poleceń.

— Kiedy dowiedziała się pani o śmierci Madame?

Elise zawahała się przez chwilę.

— Dowiedziała się pani od policji, prawda? — zapytał Poirot. — Przyszli tu, aby przejrzeć papiery Madame. Stwierdzili, że sejf jest pusty, i pani powiedziała im, że spaliła papiery. W istocie spaliła je pani dopiero później,

— Tak, to prawda, *monsieur* — przyznała Elise.

— Kiedy oni przeglądali sejf, ja usunęłam papiery z kufra. Powiedziałam, że je spaliłam. Było to bliskie prawdy, bowiem spaliłam je przy pierwszej okazji. Musiałam wykonać polecenie Madame. Rozumie pan już moje problemy, *monsieur*. prawda? Poinformuje pan o tym policję? To mogłoby mieć dla mnie bardzo poważne konsekwencje.

— Wiem, że działała pani, *mademoiselle*, w dobrej wierze. Niemniej, rozumie pani, że to szkoda... wielka szkoda. Nie ma co żałować tego, co się już stało, i nie widzę konieczności przekazania naszemu wspaniałemu przyjacielowi Fournierowi dokładnej godziny ich zniszczenia. A teraz niech mi pani pozwoli zobaczyć, czy jest coś takiego w tej małej książeczce, co by nam mogło pomóc.

— Nie sądzę, żeby tam coś było, *monsieur* — powiedziała Elise, potrząsając głową. — To prywatne zapiski Madame. Tak, tam są tylko cyfry. Bez dokumentacji i akt te notatki nic panu nie powiedzą.

Niechętnie podała książeczkę Poirotowi. Wziął ją i zaczął przewracać strony. Uwagi zapisane były nieznanym, pochyłym pismem. Wydawało się, że wszystkie były do siebie podobne. Litery i cyfry, po których następowały krótkie uwagi, takie jak:

„CX 256. Żona pułkownika. Stacjonuje w Syrii. Fundusze pułkowe.

GF 342. Francuski deputowany. Powiązany ze Staviskym”.

Wszystkie notatki wydawały się być tego samego rodzaju. Razem mogło ich być około dwunastu. Na końcu książeczki widniały zapisane ołówkiem krótkie informacje w rodzaju:

„Le Pinet, poniedziałek. Kasyno 10.30. Hotel Savoy. godzina 5.00, ABC Flect Street, godzina 11.00”.

Żadne notatki nie były kompletne. Wydawało się, że stanowią tylko informacje pomagające zapamiętać terminy spotkań Giselle.

Elise patrzyła na Poirota z niepokojem.

— Nic nie znaczą, *monsieur*, a przynajmniej tak mi się zdaje. Były zrozumiałe tylko dla Madame, a nie dla postronnego czytelnika.

Poirot zamknął książeczkę i schował ją do kieszeni.

— To może być bardzo cenne, *mademoiselle*. Mądrze pani postąpiła dając mi to. Pani sumienie może być zupełnie spokojne. Madame nigdy nie prosiła, aby pani spaliła tę książeczkę, prawda?

— Tak, to prawda — odparła Elise i jej twarz trochę pojaśniała.

— A zatem, nie posiadając takich poleceń, pani obowiązkiem było oddać ją policji. Załatwię z *monsieur* Fournierem, że nie będzie pani winił za to, iż nie zrobiła pani tego wcześniej.

— Pan jest bardzo uprzejmy. Poirot wstał.

— Muszę dołączyć do mojego kolegi. Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Kiedy pani rezerwowała dla Madame Giselle miejsce w samolocie, czy dzwoniła pani na lotnisko Le Bourget, czy do biura towarzystwa?

— Zadzwońłam do biura Universal Airlines, *monsieur*.

— Zdaje mi się, że to przy Boulevard des Capucines?

— Tak, *monsieur*. Boulevard des Capucines dwieście pięćdziesiąt cztery.

Poirot zapisał numer w notesiku, a potem z przyjaznym ukłonem opuścił pokój.

# Rozdział jedenasty

## Amerykanin

Fournier pograżony był w rozmowie ze starym Georgesem.

Detektyw był podniecony i zagniewany.

— Jak to zwykle policja — mruczał stary głębokim zachrypniętym głosem. — Zadają w kółko te same pytania. I czego się spodziewają? Że wcześniej czy później ktoś zacznie mówić kłamstwa zamiast prawdy? Oczywiście, sympatyczne kłamstwa, kłamstwa które pasują tym panom?

— Ja nie chce kłamstw, lecz prawdy.

— Bardzo dobrze, no więc to, co panu powiedziałem, jest prawdą. Tak, ta kobieta przyszła zobaczyć się z Madame przed jej wyjazdem do Londynu. Pokazywał mi pan te fotografie i pytał mnie, czy na któreś rozpoznaję te kobietę. I teraz powtarzam to, co przez cały czas panu mówiłem: mam słaby wzrok, było ciemno i dokładnie się nie przyglądałem. Nie rozpoznałem tej pani. Nawet gdybym widział jej twarz z bliska, pewnie bym jej i tak nie poznał. No widzi pan! Usłyszał pan to samo po raz czwarty czy piąty.

— I nawet nie możecie sobie przypomnieć, czy była wysoka czy niska, ciemna czy blondynka, młoda czy stara? Po prostu trudno w to uwierzyć.

Fournier mówił to z gniewnym sarkazmem.

— No to niech pan nie wierzy. Co mnie to obchodzi? To cholernie miło... zadawać się z policją! Wstyd mi. Gdyby Madame nie zabito tam gdzieś wysoko w powietrzu, pan na pewno starałby się mi wmówić, że to ja, Georges, otrujęm ją. Policja tak zawsze. — Poirot zapobiegł gniewnej odpowiedzi Fourniera wsuwając delikatnie rękę pod ramię przyjaciela.

— Chodźmy, *mon vieux* — rzekł. — Żołądek wzywa. Trzeba mu zaaplikować prosty, lecz wystarczający posiłek. Powiedzmy *omlette aux champignons, sole à la Norrnande\**, ser z Port Salut z czerwonym winem. Ale z jakim?

Fournier spojrział na zegarek.

— Masz rację — rzekł. — Jest już pierwsza. Rozmawiając z tym bydlakiem... — spojrział ze złością na Georgesę.

Poirot uśmiechnął się, dodając odwagi staremu.

— To jasne — powiedział. — Ta dama bez nazwiska nie była ani wysoka, ani niska, ani ciemna,



ani jasna, ani szczupła, ani gruba, ale moglibyście chociaż powiedzieć, czy była elegancka?

— Elegancka? — spytał Georges trochę zaskoczony.

— Otrzymałem odpowiedź — stwierdził Poirot. — Była elegancka. I wydaje mi się, przyjacielu, że wyglądałaby bardzo dobrze w kostiumie kąpielowym.

Georges spojrział na niego.

— W kostiumie kąpielowym? Co ma znaczyć ten kostium kąpielowy?

— To taka moja mała dygresja. Czarująca kobieta wygląda jeszcze bardziej uroczo w kostiumie kąpielowym. Zgadzacie się ze mną? Spójrzcie no tutaj.

I podsunął staremu stronę wyrwaną ze „Sketcha”. Przez chwilę panowała cisza. Stary lekko drgnął.

— Zgadzacie się ze mną czy nie? — zapytał Poirot.

— Oni oboje dobrze wyglądają — rzucił stary oddając stronę. — Gdyby nic na sobie nie mieli, pewnie wyglądaliby tak samo dobrze.

— Ach — rzekł Poirot. — To pewnie dlatego, że teraz odkryliśmy dobroczynne działanie słońca na skórę. A poza tym to jest bardzo wygodne.

Georges zachichotał potwierdzająco i odszedł, a Poirot i Fournier wyszli na słoneczną ulicę.

Podczas posiłku zapowiedzianego przez Poirota mały Belg pokazał czarną książeczkę z notatkami.

Fournier był bardzo podniecony, chociaż wyraźnie wściekły na Elise. Poirot ujął się za nią:

— Naturalne... bardzo naturalne. Policja? To słowo zawsze wzbudza strach u ludzi z jej klasy. Wydaje im się, że wplątują się w nie wiadomo co. Wszędzie tak jest, w każdym kraju.

— W tym wypadku ma pan przewagę — przyznał Fournier. — Prywatne śledztwo może więcej wyciągnąć ze świadków niż gdyby pan działał w sposób oficjalny. Ale istnieje jeszcze druga strona medalu. My mamy urzędowe archiwa, cały system wielkiej organizacji stoi do naszej dyspozycji.

— . . .A zatem współpracujemy z sobą po przyjacielsku — powiedział z uśmiechem Poirot. — Ten omlet jest wspaniały.

W przerwie między omletem i solą Fournier wertował kartki czarnej książeczki. Potem coś zanotował ołówkiem w swoim notatniku.

Spojrział na Poirota.

— Czytał pan to?

— Nie. Tylko przejrzałem. Pozwoli pan?

Wziął książeczkę od Fourniera.

Kiedy postawiono przed nim ser. Poirot położył książeczkę na stoliku i oczy obu mężczyzn spotkały się.

— Jest tu kilka punktów... — zaczął Fournier.

— Pięć — rzekł Poirot.

— Zgadza się... pięć.

Odczytał ze swojego notesu: „CL 52. Angielska lady. Mąż. RT 362. Lekarz. Harley Street. MR 24. Falszywe antyki. XVB 724. Anglik. Defraudacja. GF 45. Próba morderstwa. Anglik”.

— Wspaniale, przyjacielu — rzekł Poirot. — Nasze myśli cudownie idą w jednym kierunku. Wydaje mi się, że wśród wszystkich notatek w tej małej książeczce, tylko te pięć punktów może się wiązać z osobami podróżującymi tym samolotem. Zastanówmy się nad nimi po kolei.

— Angielska lady. Mąż. — rzekł Fournier. — To prawdopodobnie dotyczy lady Horbury. Jak zrozumiałem, ona jest zapaloną hazardzistką. Bardzo prawdopodobne, że pożyczła pieniądze od Giselle. Giselle zwykle miała takich właśnie klientów. Słowo „mąż” może mieć podwójne znaczenie. Albo Giselle spodziewała się, że mąż spłaci jej dług, albo miała coś na lady Horbury, znała jakąś jej tajemnicę i groziła, że wyjawia ją mężowi.

— Właśnie — zgodził się Poirot. — Mogła tu mieć zastosowanie jedna z tych dwóch możliwości. Ja osobiście przychyliam się do tej drugiej. Mógłbym założyć się, iż kobietą, która odwiedziła Giselle w wieczór poprzedzający jej podróż samolotem, była lady Horbury.

— Ach, więc tak pan myśli?

— Tak, i mam wrażenie, że pan również jest o tym przekonany. Nasz *concierge*\* zachował się, w pewnym sensie, po rycersku. Jego upór i dotycząca tej osoby utrata pamięci wydają się na to wskazywać. Lady Horbury jest bardzo piękną kobietą. Ponadto zauważyłem jego zdziwienie — och, takie ledwo dostrzegalne zdziwienie — kiedy pokazałem mu jej fotografię w kostiumie kąpielowym wyrwaną ze „Sketcha”. Tak, tego wieczoru to lady Horbury złożyła wizytę Giselle.

— Z Le Pinet podążyła za nią do Paryża — rzekł Fournier wolno. — Wygląda na to, że była bardzo zdesperowana.

— Tak, tak, sędzę, że to może być prawdą. Fournier patrzył na niego z zaciekawieniem.

— Ale jednak nie zgadza się z pańskimi założeniami, co?

— Przyjacielu, mogę panu powiedzieć, że znalazłem właściwy ślad, tylko że ten ślad... wskazuje na niewłaściwą osobę... Poruszam się po omacku. Trop nie może być zły, a jednak...

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, co to jest? — zaproponował Fournier.

— Nie, ponieważ, widzi pan, mogę się mylić — całkowicie i skrajnie mylić. Dziękując się moimi podejrzeniami, mógłbym i pana również zaprowadzić na fałszywy trop. Niech każdy z nas pracuje zgodnie z własnymi hipotezami. Ale kontynuujmy przegląd wybranych zapisków z tej małej książeczki.

— „RT 362. Lekarz. Harley Street” — przeczytał Fournier.

— Może to trop prowadzący do doktora Bryanta. Niewiele, ale nie możemy zaniedbać tej linii śledztwa.

— To, oczywiście, należy do inspektora Jappa.

— I do mnie — rzekł Poirot. — Ja również maczam w tym palce.

— „MR 24. Fałszywe antyki” — czytał Fournier. — Daleki strzał, ale jednak to może odnosić się do Dupontów. Trudno w to uwierzyć. *Monsieur Dupont* to archeolog o światowej sławie. Cieszy się doskonałą reputacją.

— Co niewątpliwie bardzo by mu ułatwiło sprawy — zauważył Poirot. — Niech pan nie zapomina, drogi Fournier, jaką doskonałą reputacją cieszyli się wielcy przestępcy... zanim ich nakryto!

— To prawda, niestety, wielka prawda — zgodził się z westchnieniem Francuz.

— Dobra reputacja — rzekł Poirot — jest pierwszym i niezbędnym warunkiem dla oszusta. To interesująca myśl. Wracajmy jednak do naszych notatek.

— „XVB 724” jest bardzo dwuznaczne. „Anglik. Defraudacja”.

— Niezbyt pomocne — zgodził się Poirot. — Kto popełnia defraudacje? Prawnik? Urzędnik bankowy? Ktoś, kto cieszy się zaufaniem w jakiejś handlowej firmie. Chyba nie pisarz, dentysta ani lekarz. Ten ktoś mógł zdefraudować pieniądze i potem pożyczyć od Giselle, aby zatuszować kradzież, a przez to uniemożliwić jej wykrycie. No i ostatnia notatka: „GF 45. Próba morderstwa. Anglik”. — To daje nam bardzo duże pole do popisu. Pisarz, dentysta, lekarz, biznesmen, steward, fryzjerka, dama z urodzenia i wychowania — każdy z nich może być GF 45. W istocie tylko Dupontowie są wykluczeni ze względu na narodowość.

Kiwnął na kelnera i poprosił o rachunek.

— Co dalej, drogi przyjacielu? — zapytał.

— Do Sûreté. Może są dla mnie jakieś wiadomości.

— Dobrze. Mogę panu towarzyszyć. Potem zrobię sobie moje małe własne śledztwo, w którym, być może, będzie mógł pan mi asystować.

W Sûreté Poirot odnowił znajomość z szefem Służby Śledczej, którego spotkał przed kilku laty w czasie jakiejś sprawy. *Monsieur* Gilles był bardzo uprzejmy i kulturalny.

— Z zachwytem dowiaduję się, że osobiście interesuje się pan tą sprawą, *monsieur* Poirot.

— Na Boga, drogi *monsieur* Gilles, przecież wydarzyło się to pod moim nosem. Chyba zgodzi się pan ze mną, że to nie w porządku, aby Herkules Poirot spał w czasie, gdy popełniono morderstwo.

*Monsieur* Gilles pokiwał głową ze współczuciem.

— Te latające maszyny! Kiedy jest zła pogoda, zachowują się tak niespokojnie. Kilka razy naprawdę poczułem się bardzo źle.

— Mówią, że armia maszeruje na żołądkach — rzekł Poirot. — A jaki wpływ ma nasz system trawienny na pracę mózgu? Kiedy *mal de mer*\* daje znać o sobie, ja, Herkules Poirot, staję się stworzeniem pozbawionym szarych komórek, nieorganizowanym, bez rozsądku i metod — jestem tylko zwykłym przedstawicielem ludzkiej rasy, z inteligencją daleko poniżej średniej! Godne pożałowania, ale to prawda! A skoro już o tym mówimy, jak się czuje mój wspaniały przyjaciel Giraud?

Roztropnie ignorując znaczenie słów „skoro już o tym mówimy”, *monsieur* Gilles odparł, że Giraud cały czas awansuje.

— . Jest bardzo gorliwy. Ma niespożyta energię.

— Zawsze był taki — rzekł Poirot. — Biega tam i z powrotem. Czołga się na czworakach. Był tu, był tam, wszędzie. Ani na chwilę nie przystaje, żeby się zastanowić.

— Ach, *monsieur* Poirot, to pańska słabość. Bardziej panu odpowiada taki człowiek jak Fournier. On jest z tej najnowszej szkoły, wszystko opiera na psychologii. Powinno się to panu podobać.

— I podoba się, podoba.

— Bardzo dobrze zna angielski. I dlatego wysłaliśmy go do Croydon, aby zajął się tą sprawą. A to bardzo interesująca sprawa, *monsieur* Poirot. Madame Giselle była jedną z najbardziej znanych osób w Paryżu. I sposób, w jaki umarła — to niezwykle! Zatruta strzałka wydmuchana z dmuchawki w samolocie. Pytam pana, czy w ogóle taka rzecz może się wydarzyć?

— Właśnie — wykrzyknął Poirot — właśnie! Trafił pan w sedno. Nieomylnie wskazał pan na coś... Ach, otóż i nasz miły Fournier. Widzę, że ma pan nowiny.

Melancholijna twarz Poumiera wyrażała entuzjazm i podniecenie.

— Tak, istotnie. Grecki handlarz antyków, Zeropoulos, doniósł, że trzy dni przed morderstwem sprzedał dmuchawkę i strzałki. Proponuję teraz, *monsieur* — skłonił się z szacunkiem przed szefem — aby przesłuchać tego człowieka.

— Ależ naturalnie — odparł Gilles. — Czy *monsieur* Poirot będzie panu towarzyszył?

— Jeśli pan pozwoli — rzekł Poirot. — To interesujące... bardzo interesujące.

Sklep Zeropoulosa znajdował się przy me St Honore. Był to elegancki sklep z antykami. Zapchany był wyrobami z Rhages i inną perską ceramiką. Kilka brązów z Louristanu, sporo nienadzwyczajnej indyjskiej biżuterii, bele jedwabów i haftów z wielu krajów oraz duża ilość koralików i tanich egipskich wyrobów. Był to sklep, w którym można było zapłacić milion franków za przedmiot wartości pół miliona albo dziesięć franków za przedmiot o wartości pięćdziesięciu centymów. Był nastawiony przede wszystkim na turystów amerykańskich i na koneserów.

Sam *monsieur* Zeropoulos był niskim, tęgim, małym człowieczkiem, z oczkami jak czarne koraliki. Był wylewny i mówił rozwlekle.

Panowie są z policji? Jest zachwycony ich widokiem. Może zechcą wejść do jego prywatnego biura. Tak, sprzedał dmuchawkę i strzałki — takie kuriozum południowoamerykańskie.

— Panowie rozumieją, sprzedaję wszystkiego po trochu! Mam swoje specjalności. Moją specjalnością jest Persja. Może to poświadczyć *monsieur* Dupont, wielce szanowny *monsieur* Dupont. On sam przychodzi oglądać moją kolekcję, zobaczyć, co nowego kupiłem, i aby wydać sąd o autentyczności niektórych wątpliwych egzemplarzy. Co to za człowiek! Jaki uczony! Jakie oko! Jakie wyczucie! Ale odbiegam od tematu. Mam kolekcję — bardzo wartościową kolekcję — znaną wszystkim koneserom. Ale mam też... no. mówiąc szczerze, panowie, mam również i śmieci! Takie śmieci z całego świata, no rozumiecie, wszystkiego po trochu: z mórz południowych, z Indii, Japonii i z Borneo. Wszystko jedno! Zwykle nie mam ustalonej ceny na te przedmioty. Jeżeli ktoś się nimi zainteresuje, robię kalkulację i wymieniani cenę. a potem oczywiście spuszcza tak, że na koniec wypada połowa. Ale nawet wtedy, mogę się do tego przyznać, robię dobry interes! Te artykuły kupuję przeważnie od marynarzy za bardzo niską cenę.

*Monsieur* Zeropoulos odetchnął i radośnie kontynuował, zachwycony samym sobą, swoją ważnością i płynnością narracji.

— Tę dmuchawkę ze strzałkami miałem u siebie długo... może nawet dwa lata. Leżały na tej tacce, z naszymi porcelanek, pióropuszem indiańskim, kilkoma pokracznymi drewnianymi bożkami i z tanimi koralikami z nefrytu. Nikt na nią nie zwracał uwagi, aż wreszcie przyszedł Amerykanin i pyta mnie, co to jest.

— Amerykanin? — zapytał szybko Fournier.

— Tak, tak, Amerykanin, na pewno Amerykanin. Chociaż nie najlepszy typ Amerykanina: nie taki, który na niczym się nie zna i po prostu chce do domu kupić jakieś kuriozum. Taki facet nabija kabzę kupcom sprzedającym paciorki w Egipcie — kupuje jakieś koszarne skarabeusze, robione przeważnie w Czechosłowacji. No, ja go szybko oceniłem i opowiedziałem o zwyczajach różnych plemion i o truciznach, jakich używają. Wytłumaczyłem, jak niezwykle rzadko można na rynku znaleźć coś w tym rodzaju. Podałem mu cenę dla Amerykanów, nie tak wysoką jak dawniej (niestety! Oni tam teraz mają kryzys). Czekałem, aż zacznie się targować, ale zapłacił bez słowa. Byłem

z dumionym. Szkoda, mogłem zażądać więcej! Zapakowałem mu tę dmuchawkę razem ze strzałkami i zabrał je ze sobą. Tak się skończyło. A kiedy przeczytałem w gazetach o tym zdumiewającym morderstwie, zacząłem się zastanawiać — tak, dużo się nad tym zastanawiałem. A potem skontaktowałem się z policją.

— Jesteśmy bardzo panu zobowiązani, *monsieur* Zeropoulos — rzekł uprzejmie Fournier. — Ta dmuchawka i strzałka... przypuszcza pan, że mógłby je pan zidentyfikować? Teraz są w Londynie, ale damy panu okazję do ich zidentyfikowania.

— Dmuchałka była mniej więcej taka długa — *monsieur* Zeropoulos odmierzył długość na biurku — i taka gruba... jak pan widzi, prawie jak moje pióro. Jasnego koloni. Do tego cztery strzałki. Takie długie ostre kolce z kępką czerwonego jedwabiu.

— Czerwonego jedwabiu? — zapytał z zaciekawieniem Poirot.

— Tak, *monsieur*. Czeresniowoczerwonego... trochę spłowiałego.

— To ciekawe — powiedział Fournier. — Czy jest pan pewien, że któraś z nich nie miała przypadkiem jedwabiu w kolorze czarnym i żółtym?

— Czarnym i żółtym? Nie, *monsieur*. Sprzedawca potrząsnął głową.

Fournier spojrzał na Poirota, na którego twarzy pojawił się dziwny uśmiech zadowolenia.

Fournier zastanawiał się dlaczego. Czy to dlatego, że Zeropoulos kłamał? Czy też może z jakiegoś innego powodu?

Fournier powiedział z powątpiewaniem:

— Jest jedna szansa na pięćdziesiąt, że ta dmuchawka i strzałka mają coś wspólnego z naszą sprawą. Niemniej, jeśli to możliwe, chciałbym pana prosić o dokładny opis tego Amerykanina.

Zeropoulos rozłożył swoje orientalne ręce.

— Wyglądał jak każdy Amerykanin. Mówił przez nos. Nie znał francuskiego. Żuł gumę. Nosił okulary w rogowej oprawie. Był wysoki i sądzę, że niezbyt stary.

— Blondyn czy brunet?

— Trudno powiedzieć. Miał na głowie kapelusz,

— Czy teraz poznałby go pan? Zeropoulos wydawał się w to wątpić.

— Tego nie wiem. Tu przychodzi wielu Amerykanów i wszyscy oni wyglądają podobnie. Niczym specjalnym się nie wyróżniał.

Fournier pokazał mu zdjęcia, ale bez rezultatu. Według Zeropoulosa żaden z nich nie był tym

człowiekiem.

— Beznadziejne przedsięwzięcie — powiedział Fournier, kiedy opuszczali sklep.

— Być może — zgodził się Poirot. — Ale niekoniecznie. Nalepki z ceną miały w sklepie ten sam format i w tej opowieści było kilka interesujących punktów, a także *monsieur* Zeropoulos uczynił kilka ciekawych uwag. A teraz, przyjacielu, zrób mi tę przyjemność i zwróćmy nasze kroki w innym kierunku.

— W jakim?

— W kierunku Boulevard des Capucines.

— Chwileczkę, to znaczy?...

— Do biura Universal Airlines.

— Oczywiście. Ale my już przeprowadziliśmy tam pobieżne śledztwo. Nie powiedzieli nic interesującego.

Poirot stuknął go delikatnie w ramię.

— Ach, ale widzi pan, odpowiedzi zależą od zadawanych pytań. Nie wiedzieliście, jakie zadawać pytania.

— A pan wie?

— Tak, mam pewien mały pomysł.

Nic więcej nie chciał powiedzieć i bez przeszkód dotarli na Boulevard des Capucines.

Biuro Universal Airlines było bardzo małe. Za wypolerowanym na wysoki połysk kontuarem stał elegancki młody mężczyzna, a przy maszynie do pisania siedział chłopak, mniej więcej piętnastoletni.

Fournier pokazał legitymację i mężczyzna, który nazywał się Jules Perrot, zadeklarował pełną pomoc.

Na prośbę Poirota chłopak przy maszynie został odesłany w najdalszy kąt biura.

— To, o czym będziemy mówić, jest ściśle poufne — wyjaśnił.

Jules Perrot wydawał się być przyjemnie podekscytowany.

— Słucham panów?

— Dotyczy to zamordowania Madame Giselle.

— Ach tak, przypominam sobie. Wydaje mi się, że już odpowiadałem w tej sprawie na jakieś

pytania.

— Zgadza się. zgadza się. Ale istnieje konieczność bardzo precyzyjnego ustalenia faktów. No więc Madame Giselle zarezerwowała miejsce... Kiedy?

— Myślę, że to już zostało ustalone. Telefonicznie zarezerwowała miejsce na siedemnastego.

— To znaczy na godzinę dwunastą następnego dnia?

— Tak, *monsieur*.

— A ja dowiedziałem się od jej służącej, że Madame zarezerwowała miejsce na ósmą czterdzieści pięć.

— Nie, nie... w końcu wypadło inaczej. Służąca Madame prosiła o miejsce na ósmą czterdzieści pięć, ale wszystkie miejsca były już zarezerwowane, więc zamiast tego daliśmy jej miejsce na lot o godzinie dwunastej.

— Ach tak, rozumiem, rozumiem.

— Tak, *monsieur*.

— Tak... tak... jednak to ciekawe... bardzo ciekawe.

Urzędnik spojrzał pytająco.

— Widzi pan, mój przyjaciel w ostatniej chwili zdecydował się lecieć do Londynu o ósmej czterdzieści pięć rano, i samolot był prawie pusty.

*Monsieur* Perrot zaczął przewracać jakieś papiery. Wytarł nos.

— Być może pański przyjaciel pomylił dzień. Może to było dzień przedtem albo potem...

— Bynajmniej. Było to w dzień morderstwa, ponieważ mój przyjaciel powiedział, że gdyby nie zdążył na ten lot, co prawie się stało, wówczas prawdopodobnie leciałby właśnie *Prometeuszem*.

— No tak, rzeczywiście. Tak, to bardzo ciekawe. Czasami ludzie nie przychodzą aż do ostatniej chwili i wtedy oczywiście są wolne miejsca... a czasami też zdarzają się pomyłki. Muszę się porozumieć z Le Bourget; oni nie zawsze są dokładni...

Łagodnie pytające spojrzenie Poirota wydawało się drażnić Julesa Perrota. Przerwał. Uciekł w bok wzrokiem. Na jego czole pojawiła się kropelka potu.

— Dwa zupełnie prawdopodobne wyjaśnienia — rzekł Poirot — ale jakoś wydaje mi się, że oba nie są prawdziwe. Nie sądzi pan, że lepiej po prostu uczciwie wszystko powiedzieć w tej sprawie?

— Uczciwie? Nie rozumiem pana.



— Ależ, ależ. Doskonale mnie pan rozumie. To sprawa o morderstwo... o morderstwo, *monsieur* Perrot. Niech pan o tym nie zapomina, jeśli łaska. Jeżeli coś pan zatai, to konsekwencje mogą dla pana okazać się bardzo poważne... naprawdę bardzo poważne. Policja nie będzie tego lekceważyć. Przeszkadza pan w działaniu przedstawicieli prawa.

Jules Perrot spojrział na niego uważnie. Jego usta pozostały otwarte, ręce drżały.

— No, dalej — ponaglał Poirot. Jego głos brzmiał autorytatywnie, władczo. — Żądamy od pana dokładnej informacji. Kto panu zapłacił i ile?

— Nie wiedziałem, że będzie jakieś nieszczęście... Nie miałem pojęcia... Nawet przez myśl mi nie przeszło...

— Ile i kto?

— P... pięć tysięcy franków. Nigdy przedtem nie widziałem tego człowieka. Ja... to mnie zrujnuje.

— Zrujnuje pana wtedy, gdy nie będzie pan mówił. No dalej, wiemy już najgorsze. Teraz proszę dokładnie powiedzieć, co się stało.

Na czoło Julesa Perrota wystąpił pot. Mówił szybko, lekko się jękając.

— Nie wiedziałem, że będzie jakieś nieszczęście... Na honor, nie wiedziałem. Ten człowiek wszedł, powiedział, że następnego dnia leci do Anglii. Chciał zaciągnąć pożyczkę od... od Madame Giselle, ale pragnął, aby ich spotkanie odbyło się przypadkowo. Powiedział, że wtedy miałby większą szansę. Mówił też, że wie, iż ona następnego dnia leci do Anglii. Miałem ją poinformować, że ranny lot jest zajęty i dać jej miejsce numer dwa na *Prometeuszu*. Przysięgam, panowie, że nie widziałem w tym nic złego. Cóż mogło się stać? Wtedy tak myślałem. Tacy są Amerykanie... zawsze robią interesy w niekonwencjonalny sposób... — Amerykanie? — przerwał ostro Fournier.

— Tak, ten człowiek był Amerykaninem.

— Proszę go opisać.

— Wysoki, przygarbiony, miał siwe włosy, okulary w rogowej oprawie i kozią bródkę.

— Zarezerwował też dla siebie miejsce?

— Tak, *monsieur*. miejsce numer jeden, obok tego, które zarezerwowała Madame Giselle.

— Jak się nazywał?

— Silas... Silas Harper.

— Nikt taki nie zajmował miejsca numer jeden ani nie leciał tym samolotem.

Poirot potrząsnął głową.

— Widziałem, że na liście nie było nikogo o takim nazwisku, więc nie uważałem za celowe wspominać o całej sprawie. Byłem przekonany, że ten człowiek zrezygnował z podróży...

Fournier spojrzał na niego zimno.

— Niemniej zataił pan przed policją bardzo ważną informację — rzekł. — To bardzo poważna sprawa.

Gdy wychodzili z biura, Jules Perrot patrzył za nimi z wyrazem przerażenia na twarzy.

Na chodniku Fournier zdjął kapelusz i uklonił się detektywowi.

— Proszę przyjąć wyrazy szacunku, *monsieur* Poirot. Co panu podsunęło ten pomysł?

— Dwa zdania. Dziś w samolocie usłyszałem, jak jeden z pasażerów mówił, że rano w dzień morderstwa leciał prawie pustym samolotem. A Elise powiedziała, że zadzwoniła do biura Universal Airlines i nie było żadnego wolnego miejsca na poranny lot. Te dwa zdania nie zgadzały się ze sobą. Pamiętam, że steward z *Prometeusza* mówił, iż przedtem widywał Madame Giselle na wcześniejszym locie — z tego wniosek, że miała zwyczaj latać o ósmej czterdzieści pięć. Jednak ktoś koniecznie chciał, żeby leciała o dwunastej — ktoś, kto już miał zarezerwowane miejsce na *Prometeuszu*. Dlaczego urzędnik mówił, że na wcześniejszy lot nie ma już miejsc? Pomyłka czy celowe kłamstwo? Pomyślałem, że raczej kłamstwo... i miałem rację.

— Z każdą minutą ta sprawa staje się coraz bardziej zagadkowa — wykrzyknął Fournier. — Wpierw wydawało nam się, że jesteśmy na tropie kobiety. A teraz mężczyzna. Ten Amerykanin...

Przerwał i spojrzał na Poirota. Poirot skinął łagodnie głową.

— Tak, mój przyjacielu — rzekł. — Tak łatwo być Amerykaninem... w Paryżu! Nosowy głos, zucie gumy, mała kozia bródka, okulary w rogowej oprawie — cechy charakterystyczne dla Amerykanina...

Wyjął z kieszeni stronę wyrwaną ze „Sketcha”.

— Na co pan patrzy?

— Na hrabinę w stroju kąpielowym.

— Myśli pan, że?... Ależ nie, przecież ona jest drobna, czarująca, delikatna... nie mogłaby się wcielić w wysokiego, lekko przygarbionego Amerykanina. Wiem, że była aktorką, ale to chyba niemożliwe, żeby zagrała taką rolę. Nie, przyjacielu, ten pomysł nie ma sensu.

— Nigdy nie mówiłem, że to ma sens — rzekł Herkules Poirot.

I ciągle wpatrywał się z powagą w zadrukowaną stronę.

# Rozdział dwunasty

## W Horbury Chase

Lord Horbury stał przy bufecie i bezmyślnie nakładał na talerz cynaderki.

Stephen Horbury miał dwadzieścia siedem lat. Jego pociągła twarz zakończona była długim podbródkiem. Patrząc na niego, wiedziało się od razu, że był typem sportowca, lubił przebywać na świeżym powietrzu. Bez wielkich zalet umysłu, miał dobre serce, był trochę drobnomieszczański, niezwykle lojalny i przesadnie uparty.

Zabrał pełen talerz do stołu i zaczął jeść. Natychmiast otworzył gazetę, ale zaraz zmarszczył się i odrzucił ją na bok. Odsunął nie dokończone jedzenie, łyknął trochę kawy i wstał. Przez chwilę stał niepewnie, po czym lekko skinąwszy głową opuścił jadalnię, przeszedł przez obszerny hali i wspiął się na schody. Na górze zastukał do drzwi i czekał przez chwilę. Z pokoju odezwał się czysty, wysoki głos: „proszę wejść!”

Lord Horbury wszedł.

Znalazł się w pięknej, obszernej sypialni z oknami wychodzącymi na południe. Cicely Horbury leżała w wielkim dębowym rzeźbionym łożu w stylu elżbietańskim. I ona również prezentowała się pięknie ze swoimi kręconymi złotymi włosami, w różowym fałdzistym stroju z szyfonu. Obok niej stała taca śniadaniowa z resztką soku pomarańczowego i kawą. Lady Horbury właśnie otwierała listy. Po pokoju kręciła się służąca.

Każdemu mężczyźnie zaparłoby dech w piersiach na widok takiej piękności, ale ten czarujący obraz żony absolutnie nie działał na lorda Horbury.

Był czas, jakieś trzy lata temu, kiedy uroda Cicely powodowała, że w młodym mężczyźnie burzyły się wszystkie zmysły. Był w niej szaleńczo, dziko, namiętnie zakochany. Wszystko minęło. Wtedy był szalony. Teraz był rozsądny.

Lady Horbury odezwała się z pewnym zdziwieniem:

— O, Stephen!

— Chciałbym z tobą porozmawiać w cztery oczy — powiedział gwałtownie.

— Madeleine — lady Horbury zwróciła się do służącej. — Zostaw to wszystko i wyjdź.

Francuzka zamruczała: „*Tres bien*0 milady,” rzuciła zaciekawione spojrzenie na lorda Horbury i wyszła z pokoju.

Lord Horbury czekał, aż zniknie za sobą drzwi, i rzekł:

— Chciałbym wiedzieć, Cicely, co dokładnie kryje się za tym pomysłem przyjazdu tutaj.

Lady Horbury wzruszyła pięknymi szczupłymi ramionami.

— Ostatecznie... dlaczego nie?

— Dlaczego nie? Wydaje się, że są istotne ku temu powody.

Żona mruknęła:

— Och, powody...

— Tak, powody. Chyba pamiętasz. Uzgodniliśmy, że ze względu na nasze stosunki byłoby lepiej, abyśmy przestali grać tę farsę, że żyjemy ze sobą. Miałaś zająć dom w mieście i otrzymałaś hojną — naprawdę hojną — pensję. W pewnych granicach mogłaś robić, co tylko chcesz. Skąd ten nagły powrót?

Cicely znowu wzruszyła ramionami.

— Myślałam... że tak będzie lepiej.

— Myślałaś, jak sądzę, o pieniądzach?

Lady Horbury odparła:

— Mój Boże, jak ja ciebie nienawidzę. Jesteś najpodlejszą z żyjących istot.

— Podły? Powiedziałaś: podły, chociaż przez ciebie i przez twoje bezmyślne ekstrawagancje mam obciążoną hipotekę na Horbury.

— Horbury... Horbury... Tylko to cię obchodzi! Konie, polowania, strzelanie, zbiory i ci nudni starzy farmerzy. Boże, cóż to za życie dla kobiety.

— Są kobiety, którym to się podoba.

— Tak, takim kobietom jak Venetia Kerr, która sama jest na pół koniem. Powinieneś ożenić się z kimś takim jak ona.

Lord Horbury podszedł do okna.

— Teraz trochę za późno o tym mówić. Poślubiłem ciebie.

— I nie możesz się ode mnie uwolnić — rzekła Cicely. Jej uśmiech był ironiczny i triumfujący. — Chciałbyś się mnie pozbyć, ale nie możesz.

— Czy znowu musimy o tym mówić? — spytał.

— Nie pozwala ci na to Pan Bóg i ta twoja Stara Szkoła, prawda? Większość moich przyjaciół ryczy ze śmiechu, gdy opowiadam im, jakie wygadujesz bzdury.

— Niech się śmieją. Może jednak wrócimy do zasadniczego tematu rozmowy — dlaczego tu przyjechałaś?

Ale żona nie odpowiedziała na jego pytanie. Rzekała:

— Ogłosiłeś w prasie, że nie będziesz odpowiadał za moje długi. Uważasz, że takie zachowanie godne jest dżentelmena?

— Przykro mi, że musiałem uczynić taki krok. Ostrzegałem cię, chyba pamiętasz. Dwa razy zapłaciłem. Ale istnieją pewne granice. Twoja bezsensowna pasja do hazardu... zresztą po co mamy o tym dyskutować? Chciałbym jednak wiedzieć, co spowodowało, że przyjechałaś do Horbury. Zawsze nienawidziłaś to miejsce, nudziłaś się tu śmiertelnie.

Cicely Horbury powiedziała krzywiąc się:

— Uważałam, że tak będzie lepiej... właśnie teraz.

— Lepiej... właśnie teraz? — powtórzył jej słowa w zamyśleniu.

Potem szybko spytał:

— Cicely, pożyczłaś pieniądze od tej starej francuskiej lichwiarki?

— Jakiej lichwiarki? Nie wiem, o czym mówisz.

— Doskonale wiesz, o czym mówię. O tej kobiecie, którą zamordowano w samolocie z Paryża... w samolocie, którym ty też leciałaś do domu. Pożyczłaś od niej pieniądze?

— Nie, oczywiście, że nie. Co za pomysł!

— No, Cicely, nie zachowuj się teraz jak idiotka. Jeżeli ta kobieta pożyczła ci pieniądze, to lepiej od razu mi powiedz. Pamiętaj, że ta sprawa nie jest jeszcze skończona. Werdykt sądu przysięgłych określił ją jako morderstwo z premedytacją dokonane przez osobę lub osoby nieznane. Wykrycie prawdy jest tylko kwestią czasu: pracuje policja obu krajów. Ta kobieta z pewnością pozostawiła różne dokumenty dotyczące jej interesów. Jeśli coś ciebie z nią łączyło, powinniśmy się z góry przygotować, że może wyjść to na jaw. Musimy poradzić się Wilbrahamów. (Wilbrahamowie byli prawnikami, którzy od pokoleń zajmowali się sprawami Horbury.)

— Przecież złożyłam już zeznania w tym przeklętym sądzie i powiedziałam, że nigdy nie słyszałam o tej kobiecie.

— Nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie — powiedział jej mąż sucho. — Jeżeli miałaś coś wspólnego z tą Giselle, możesz być pewna, że policja to wykryje.

Cicely usiadła z gniewem na łóżku.

— Może myślisz, że to ja ją zabiłam... że stanęłam w tym samolocie i wycelowałam w nią strzałkę z dmuchawki. Co za idiotyczna historia!

— Tak, to wszystko brzmi kretyńsko — zgodził się w zamyśleniu Stephen. — Jednak chcę, żebyś sobie zdała sprawę z sytuacji, w jakiej się znajdujesz.

— Z jakiej sytuacji? Nie ma żadnej sytuacji. Nie wierzysz w to, co mówię. To cholernie denerwujące. Dlaczego tak nagle się o mnie martwisz? Akurat obchodzi cię, co się ze mną stanie. Nie lubisz mnie. Nawet mnie nienawidzisz. Byłbyś szczęśliwy, gdybym jutro umarła. Dlaczego udajesz?

— Czy nie przesadzasz trochę? Pewnie myślisz, że jestem staromodny, bo dbam o dobre imię rodziny... Przypuszczam, że pogardzasz tym uczuciem, ale taki już jestem.

Odwrócił się szybko na pięcie i wyszedł z pokoju.

Krew tętniła mu w skroniach. Przez mózg przebiegały szybko myśli.

„Nie lubię? Nienawidzę? Tak, jednak jest w tym dużo prawdy. Czy cieszyłbym się, gdyby jutro umarła? Mój Boże, tak! Czuję się jak człowiek wypuszczony z więzienia. Jakie dziwne i ohydne jest życie! Kiedy pierwszy raz widziałem ją w *Zrób to teraz*, wyglądała jak dziecko, jak rozkoszne dziecko! Taka delikatna, taka piękna... Przeklęty głupiec! Szalałem za nią... Wydawało mi się, że jest samą słodyczą, a przecież przez cały czas była taka jak teraz — wulgarna, złośliwa, zawzięta, próżna... Teraz nawet nie zauważam, że jest piękna.”

Gwizdnął. Przybiegł spaniel, patrząc na niego pełnymi uwielbienia smutnymi oczami.

— Dobra stara Betsy — powiedział i pogłaskał długie, włochate, frędzlowate uszy.

Pomyślał: „Nie powinno kobiecie ubliżać nazywanie jej suką. Taka suka jak ty, Betsy, jest więcej warta od wszystkich kobiet, które kiedykolwiek spotkałem.”

Wcisnął na głowę rybacką czapkę i razem z psem wyszedł z domu. Bezelowa włóczęga po posiadłości powoli uspokajała rozdygotane nerwy. Poklepał szyję ulubionego konia, zamienił kilka słów ze stajennym, a potem skierował kroki na farmę, gdzie uciął sobie pogawędkę z żoną farmera. Idąc wąską ścieżką, z Betsy przy nodze, spotkał jadącą na klaczy Venetię Kerr.

Venetia najlepiej wyglądała na koniu. Lord Horbury spojrział na nią z podziwem. Lubił ją i nagle poczuł się swojsko w jej towarzystwie.

— Cześć, Venetio — powitał ją.

— Cześć, Stephen.

— Gdzie byłaś? Na przejażdżce?

— Tak. Dobrze chodzi, prawda?

— Pierwszorzędnie. Widziałaś tego mojego dwulatka, którego kupiłem u Chattisley'a?

Przez kilka minut rozmawiali o koniach, wreszcie powiedział:

— A tak przy okazji, Cicely jest tutaj.

— Tutaj, w Horbury?

Okazywanie zdumienia było wbrew zwyczajom Venetii, jednak teraz nie mogła się powstrzymać.

— Tak. Zjawiała się nagle wczoraj wieczorem.

Zapadło milczenie. Nagle Stephen powiedział:

— Byłaś na przesłuchaniu, Venetio. Jak... jak... hm... tam było?

Przez chwilę zastanawiała się.

— Nikt nie mówił wiele, jeżeli o to ci chodzi.

— Policja nic nie zdradziła?

— Nie. — To musiało być dla ciebie raczej niemile — stwierdził.

— No, nie mogę powiedzieć żeby mnie ubawiło, chociaż też się nie załamalam. Ten koroner był całkiem miły.

Stephen bezmyślnie skubał żywopłot.

— Posłuchaj, Venetio, domyślasz się... Czy masz jakieś podejrzenie... kto to zrobił?

Venetia Kerr wolno pokręciła głową.

— Nic... — przerwała na chwilę, szukając odpowiednich słów. Wreszcie podjęła z nikłym uśmiechem: — W każdym razie to nie była ani Cicely, ani ja. Wiem na pewno. Ona zauważyłaby mnie, a ja ją.

Stephen również zaśmiał się.

— A więc wszystko w porządku — powiedział wesoło.

Próbował potraktować to jak dowcip, ale w jego głosie usłyszała ulgę. Więc jednak miał wątpliwości...

— Venctio — rzekł Stephen. — Znamy się już długo, prawda...?

— Hm... no tak. Pamiętasz te okropne lekcje tańca, na które chodziliśmy będąc dziećmi?

— Czy pamiętam? Czuję, że mogę z tobą mówić szczerze...

— Oczywiście, że możesz — zawahała się, a potem dodała tonem spokojniejszym i oficjalnym: — Chodzi ci o Ciccly, jak sądzę?

— Tak. Pomyśl, Venetio. Czy Ciccly mogła mieć coś do czynienia z tą kobietą?

Venetia odpowiedziała wolno:

— Nie wiem. Pamiętasz, że byłam na południu Francji. Jeszcze nie słyszałam żadnych plotek z Le Pinet.

— Co masz na myśli?

— Uczciwie mówiąc, nie byłabym zdziwiona.

Stephen skinął głową w zamyśleniu.

— Martwi cię to? — zapytała łagodnie Venetia.

— Przecież wy teraz żyjecie oddzielnie, prawda? To jej sprawa, jej problem, a nie twój.

— Jak długo jest moją żoną, tak długo to również jest moja sprawa.

— Czy nie możecie... hm... się rozwieść?

— Masz na myśli rozwód na podstawie fałszywych dowodów? Wątpię, czy by się zgodziła.

— A rozwiódłbyś się z nią, gdybyś miał okazję?

— Gdyby tylko istniał jakiś powód, oczywiście, że bym się z nią rozwiódł — odrzekł ponuro.

— Sądzę — powiedziała z zamyśleniem Venetia — że ona wie o tym.

— Tak.

Oboje zamilkli. Venetia pomyślała: „Ona ma moralność kota! Wiem o tym bardzo dobrze. Ale jest ostrożna. I niezwykle przebiegła”. Głośno powiedziała:

— A zatem nic nie można zrobić? Potrząsnął głową i zapytał:

— Gdybym był wolny, Venetio, czy wówczas wyszłabyś za mnie?

Spoglądając ponad uszami konia, Venetia odparła głosem ostrożnym, pozbawionym emocji:

— Sądzę, że tak.



Stephen! Zawsze kochała Stephena, zawsze od kiedy razem chodzili na lekcje tańca i wybierali pisklęta z gniazd. A Stephen zawsze ją lubił, jednak nie na tyle, aby nie zakochać się desperacko, dziko i głupio w tej wyrachowanej chórzystce...

— Moglibyśmy razem pędzić wspaniałe życie — rzekł Stephen.

Przed oczami stanęły mu obrazy polowań... herbatek z babeczkami... zapach mokrej ziemi i liści... dzieci... wszystkie te rzeczy, których Cicely nigdy by mu nie dała, których nie mogła z nim dzielić. Poczul łyzy w oczach. Potem usłyszał, jak Venetia mówi spokojnym, pozbawionym emocji głosem:

— Stephen, jeśli zależy ci na tym... co myślisz o tym, żebyśmy razem wyjechali? Wtedy Cicely musiałaby się z tobą rozwieść.

Przerwał jej ostro:

— Na Boga, myślisz, że pozwoliłbym, abyś zrobiła coś podobnego?

— Mnie nie zależy.

— Ale mnie tak — odparł stanowczo.

Venetia pomyślała: „No właśnie. Naprawdę szkoda. Jest beznadziejnie przewrażliwiony, ale mimo to kochany. Nie chciałabym, żeby był inny.”

Głośno powiedziała:

— Lepiej będzie, Stephen, jak już sobie pojedę.

Delikatnie dotknęła piętami boków klaczy. Kiedy odwróciła się, żeby kiwnąć mu na pożegnanie, ich oczy spotkały się i w tym spojrzeniu zawarte były wszystkie uczucia, których nie wyrażali słowami.

Mijając zakręt ścieżki, Venetia upuściła pejcz. Przechodzący mężczyzna podniósł go i podał z przesadnym ukłonem.

„Obcokrajowiec — pomyślała dziękując mu. — Wydaje mi się, że skądś znam jego twarz.” Przypominając sobie letnie dni w Juan le Pins, równocześnie cały czas myślała o Stephenie.

Dojeżdżając do domu przypomniawszy sobie nagle, skąd zna tego człowieka.

„To ten mały mężczyzna, który odstąpił mi swoje miejsce w samolocie. Na przesłuchaniu mówili, że jest detektywem.” I natychmiast zaświtała jej druga myśl: „Co on tutaj robi?”

# Rozdział trzynasty

## U Antoine'a

Następnego ranka po przesłuchaniu Jane zjawiała się u Antoine'a z pewną dozą przygnębienia i niepewności.

Osobnik zwany zwykle *monsieur* Antoine, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Andrew Leech, a roszczenia do bycia obcokrajowcem opierały się na tym, że miał matkę Żydówkę, powitał ją złowrogim zmarszczeniem brwi.

Mówienie łamaną angielszczyzną, kiedy tylko przekroczył drzwi przy Burton Street, stało się już jego drugą naturą.

Nawymyślał Jane, że jest kompletną *imbecile*. Dlaczego właściwie leciała samolotem? Co to za pomysł! Ta jej eskapada sprawi teraz firmie nieskończoną ilość zmartwień. Kiedy wreszcie wyładował całą złość, pozwolił Jane czmychnąć. Gdy wychodziła, zauważyła, jak mrugnęła do niej przyjaciółka. Gladys.

Gladys była eteryczną blondynką. Zachowywała się wyniośle i mówiła łagodnym, zawodowo bezosobowym głosem. Prywatnie głos ten stawał się szorstki i żartobliwy.

— Nie martw się. kochanie — powiedziała do Jane. — Ten stary cham czeka, jaka będzie reakcja. Jestem przekonana, że nie będzie tak strasznie, jak się spodziewa. Pa, pa, kochanie, idzie już ta stara wiedźma. Przypuszczam, że jak zwykle ma już dzisiaj swój siedemnasty napad złości. Mam nadzieję, że nie przywlekła ze sobą tego głupiego psa, którego stale trzyma na kolanach. W chwilę później można było usłyszeć dochodzący jakby z daleka głos Gladys, łagodny i delikatny...

— Dzień dobry, nie przyniosła pani dzisiaj swojego słodkiego pekińczyka? Umyjemy głowę i przygotujemy się dla *monsieur* Henriego?

Jane właśnie wchodziła do sąsiedniej kabinki, gdzie czekała kobieta z nałożoną henną i oglądając swoją twarz w lustrze mówiła do przyjaciółki:

— Kochanie, moja twarz dziś rano jest naprawdę okropna, naprawdę...

Przyjaciółka, która ze znużeniem przewracała strony „Sketcha” sprzed trzech tygodni, odparła bez zainteresowania:

— Tak sądzisz, moja droga? Zdaje mi się, że wyglądasz tak jak zwykle.

Wraz z pojawieniem się Jane znudzona przyjaciółka przerwała leniwe przerzucanie gazety i poddała dziewczynę przenikliwym oględzinom. Potem powiedziała:

— Tak, kochanie, jestem tego pewna.

— Dzień dobry pani — powiedziała raźnie Jane. Wymagano od niej wesołości i mogła to teraz robić automatycznie, bez żadnego wysiłku. — Już dawno nie widzieliśmy pani u nas. Zapewne była pani za granicą.

— W Antibes — odparła kobieta z henną, wpatrując się w Jane z nieukrywanym zainteresowaniem.

— To cudownie — powiedziała Jane z fałszywym entuzjazmem. — Dzisiaj myjemy i układamy włosy, prawda? A może też farbowanie?

Chwilowo wytrącona ze swych badawczych oględzin kobieta z henną nachyliła się i zaczęła uważnie przyglądać się swoim włosom.

— Myślę, że mogą poczekać jeszcze tydzień. O Boże, jak ja okropnie wyglądam!

— A czego spodziewałaś się, kochanie, o tej porze dnia? — skomentowała przyjaciółka.

— Ale proszę tylko poczekać, aż Georges z panią skończy — rzekła Jane.

— Powiedz mi — kobieta znów zaczęła się w nią wpatrywać — czy to ty wczoraj składałaś zeznania w sądzie... i leciałaś tym samolotem?

— Tak, proszę pani.

— Jakie to podniecające! Proszę mi o tym opowiedzieć.

Jane zrobiła wszystko, co tylko było możliwe, aby ją zadowolić.

— To było raczej przerażające. Naprawdę — zagłębiła się w opowieść i odpowiadała na zadawane pytania. Jak ta stara kobieta wyglądała? Czy to prawda, że w samolocie było dwóch francuskich detektywów i czy ta sprawa ma związek ze skandalami rządu francuskiego? Czy w samolocie była lady Horbury? Czy ona rzeczywiście jest taka piękna, jak wszyscy mówią? Kto, według Jane, mógł popełnić to morderstwo? Wszyscy mówią, że tą sprawę wyciszono z powodu nacisków rządu, i tak dalej, i tak dalej...

Ta pierwsza męczarnia była tylko zwiastunem następnych, które miały nastąpić. Wszystkie kobiety chciały, żeby ich włosy robiła „ta dziewczyna, która leciała samolotem”. Każda pragnęła powiedzieć przyjaciółkom: „Moja droga, to stanowczo wspaniałe, dziewczyna, która układała mi włosy, jest właśnie tą dziewczyną, która... Na twoim miejscu poszłabym do niej... Oni tam naprawdę dobrze czeszą... Ma na imię Jeanne... Taka mała, ma duże oczy... Jeżeli ją grzecznie poprosisz, to wszystko ci o tym opowie...”

Pod koniec tygodnia Jane była nerwowo wykończona. Czasem czuła, że gdyby miała jeszcze raz opowiedzieć wszystko od początku, zaczęłaby po prostu krzyczeć albo uderzyłaby pytającą kobietę suszarką do włosów.

W końcu wpadła na lepszy sposób uwolnienia się od napięcia nerwowego. Podeszła do *monsieur Antoine*'a i zażądała podwyżki.

— Jak możesz! Jesteś bezczelna. Trzymam tu ciebie tylko z dobroci serca. Po tym, jak zostałam wplątana w morderstwo? Wielu innych, którzy nie mają tak dobrego serca, natychmiast wyrzuciłoby cię.

— To nonsens — odparła spokojnie Jane. — Przyciągam panu klientki i pan o tym dobrze wie. Jeżeli pan chce, abym odeszła, odejdę. Bardzo łatwo dostanę to, co chcę, u Henriego albo w Maison Richet.

— A kto się o tym dowie, że tam poszłaś? Wyobrażasz sobie, że jesteś taka ważna?

— W czasie śledztwa spotkałam kilku reporterów — wyjaśniła Jane. — Jeden z nich bardzo chętnie opublikowałby informację, dokąd się przenieśliśmy, gdybym potrzebowała jakiejś reklamy.

*Monsieur Antoine* zgodził się na żądanie Jane, ponieważ bał się, że istotnie może się tak stać. Gladys szczerze pogratulowała przyjaciółce.

— Dobrze zrobiłaś, kochanie — powiedziała. — Tym razem przechytrzyłaś Icka. Gdybyśmy my, dziewczyny, nie potrafiły walczyć o swoje, to nie wiem, gdzie byśmy teraz były. Bądź twarda, kochanie, walcz o swoje. Duża buźka.

— Jak chcę, to bardzo dobrze potrafię zadbać o własne interesy — powiedziała Jane unosząc wojowniczo brodę. — Musiałam to robić przez całe życie.

— Jest ciężko, moja droga — mówiła Gladys — ale nie daj się temu Ickowi. Będzie cię za to bardziej cenił. Naprawdę! Pokora w tym życiu nie popłaca. Chociaż i tak żadna z nas nie ma z tym większego problemu.

Opowieści Jane, powtarzane każdego dnia w różnych wariantach, powoli zamieniły się w coś w rodzaju roli granej na scenie.

Obiecany obiad i wyjście do teatru z Normanem Gale'em doszły wreszcie do skutku. Był to jeden z tych czarujących wieczorów, kiedy każde słowo i każda wymiana zwierzeń wydają się ujawniać wzajemną sympatię i wspólne zainteresowania.

Lubili psy, nie lubili kotów. Oboje nienawidzili ostryg i przepadali za wędzonym łososiem. Lubili Gretę Garbo, a nie lubili Katherine Hepburn. Nie lubili grubych kobiet, ale obojgu podobały się kruczoczarne włosy. Nie podobały im się bardzo czerwone paznokcie. Nie lubili, gdy ktoś za głośno mówi, nie lubili hałaśliwych restauracji i Murzynów. Woleli podróżować autobusem niż metrem.

Wydawało się wprost cudowne, że dwoje ludzi ma tyle wspólnych upodobań.

Pewnego dnia u *Antoine*'a Janet wypadł z torebki list od Normana. Kiedy podnosiła go lekko

zaczerwieniona, Gladys podskoczyła ku niej.

— Kto jest twoim chłopakiem, kochanie?

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć — odparła Jane. jeszcze bardziej się czerwieniąc.

— No. Nie powiesz mi chyba, że to list od dziadka twojej mamy. Nie urodziłam się wczoraj. Kim on jest, Jane?

— To ktoś... człowiek... którego spotkałam w Le Pinet. Jest dentystą.

— Dentystą — powtórzyła z nieukrywanym niesmakiem Gladys. — Sądzę, że kiedy się uśmiecha, prezentuje śnieżnobiałe zęby.

Jane musiała przyznać jej rację.

— Jest opalony na brązowo — mówiła Gladys. — Może dlatego, że przebywał nad morzem, a może dlatego, że używał roztworu 2/11 z drogerii. „Przystojni mężczyźni zawsze są lekko opaleni”. Oczywiście w porządku. Ale dentysta? Gdyby chciał cię pocałować, pomyślałabyś, że chce powiedzieć: „Proszę otworzyć trochę szerzej!”

— Nie bądź idiotką, Gladys.

— A ty nie bądź taka wrażliwa, moja droga. Widzę, że naprawdę wpadłaś. Tak, panie Henry, idę już, idę!... Cholerny Henry! Rządzi nami, tak jakby był Wszechmocnym Bogiem.

List zawierał zaproszenie na obiad w sobotę wieczorem. A właśnie w sobotę Jane otrzymała podwyżkę i w czasie lunchu była we wspaniałym humorze.

„I pomyśleć — powiedziała do siebie Jane — że tak się martwiłam w tym dniu, gdy wylądował samolot. Wszystko się dobrze ułożyło. Życie doprawdy jest takie cudowne”.

Czuła się tak wspaniale, że zdecydowała się na ekstrawagancki lunch przy muzyce w Corner House.

Przysiadła się do czteroosobowego stolika, gdzie siedziała już kobieta w średnim wieku i młody mężczyzna. Kobieta w średnim wieku właśnie kończyła lunch. Poprosiła o rachunek, pozbierała całą kolekcję paczek i odeszła.

Jane, zgodnie ze swoim zwyczajem, czytała w czasie jedzenia — książkę. Podnosząc wzrok znad stronic dostrzegła, że młody mężczyzna, z naprzeciwka wpatruje się w nią intensywnie i w tym momencie zdała sobie sprawę, że jego twarz jest jej jakby trochę znajoma.

Kiedy dokonała tego odkrycia, młodzieniec pochwycił jej wzrok i skłonił się.

— Proszę mi wybaczyć, *mademoiselle*, ale czy nie poznaje mnie pani?

Jane spojrzała na niego uważniej. Miał jasną chłopięcą twarz, bardziej atrakcyjną przez jej ruchliwość niż z powodu urody.

— To prawda, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni — kontynuował młody człowiek. — Chyba, że morderstwo i fakt, że oboje składaliśmy zeznania na rozprawie u koronera moglibyśmy uznać za równoznaczne z przedstawieniem się.

— Oczywiście — powiedziała. — Ależ ja jestem głupia! Myślę, że znam pańską twarz. Pan jest...?

— Jean Dupont — rzekł uśmiechając się i trochę śmiesznie lekko się skłonił.

Nagle przemknęły jej przez myśl słowa Gladys: „Jeżeli podobasz się jednemu chłopcu, z pewnością znajdzie się i drugi. Wydaje się, że to takie prawo natury. Czasami będzie ich jednocześnie trzech albo czterech”.

Jane zawsze prowadziła surowy, samotny tryb życia osoby ciężko pracującej. Całkowicie pasowały do niej opisy zaginionych dziewcząt: „Była miłą, wesołą dziewczyną, nie miała przyjaciół wśród mężczyzn”, itp. Jane naprawdę była miłą, wesołą dziewczyną, która nie miała przyjaciół wśród mężczyzn. Teraz wydawało się, że przyjaźnie nastawieni mężczyźni wprost kotłowali się wokół niej. Nie było co do tego żadnej wątpliwości, że pochylona nad stołem twarz Jeana Duponta wyrażała więcej aniżeli uprzejme zainteresowanie. Był bardzo zadowolony, że siedzi naprzeciwko niej. Nawet więcej niż zadowolony — był zachwycony.

Jane pomyślała z niedobrym przeczuciem: „On jest przecież Francuzem. Wszyscy mówią, że trzeba uważać na Francuzów”.

— Pan ciągle jeszcze jest w Anglii — powiedziała Jane i jednocześnie w duchu przeklęła siebie za tę idiotyczną uwagę. — Tak. Mój ojciec miał wykład w Edynburgu, a także odwiedziliśmy naszych przyjaciół. Jednak teraz... jutro... wracamy do Francji.

— Rozumiem,

— Policja jeszcze nikogo nie aresztowała? — spytał Jean Dupont.

— Nie, ostatnio nie nawet nie pisano w gazetach. Może już zaniechali śledztwa.

Jean Dupont potrząsnął głową przecząco.

— Nie. Nie, tego nie zrobili. Teraz pracują w ukryciu — uczynił znaczący ruch ręką. — W cieniu.

— Niech pan tak nie mówi — Jane wzdrygnęła się.

— Dostaję gęsiej skórki.

— Istotnie, to niezbyt miłe uczucie znajdować się tak blisko miejsca, w którym popełniono morderstwo...

— I dodał: — A ja byłem nawet bliżej niż pani. Tak, tak, byłem zupełnie blisko. Czasem nawet nie chcę o tym myśleć...

— Jak pan sądzi, kto to zrobił? — zapytała Jane.

— Cały czas się zastanawiam.

Jean Dupont wzruszył ramionami.

— Nie ja. Ona była zbyt brzydka!

— Ale — powiedziała Jane — przypuszczam, że pan raczej zabiłby brzydką niż ładną, prawda?

— Absolutnie nie. Jeżeli kobieta jest ładna, mężczyźni zachwycają się nią. A gdy ona źle ich traktuje, stają się wściekle zazdrośni, wprost szaleją z zazdrości. „Dobrze — mówią wtedy — zabiję ją! Da to mi satysfakcję”.

— I daje to satysfakcję?

— Tego, *mademoiselle*, nie wiem, ponieważ jeszcze nie próbowałem — zaśmiał się i potrząsnął głową. — Ale taka brzydka kobieta jak Giselle... Kto w ogóle chciałby się wysilać, aby ją zabić?

— Można i tak na to patrzeć — powiedziała Jane i zmarszczyła brwi. — To jakoś okropne pomyśleć, że kiedyś była młodą i być może piękną dziewczyną.

— Wiem, wiem. — Nagle spowaźniał. — To wielka tragedia życia, że kobiety się starzeją.

— Wydaje się, że pan dużo myśli o kobietach i ich wyglądzie — stwierdziła Jane.

— Oczywiście. To z wszystkich możliwych najbardziej interesujący temat. Pani wydaje się to dziwne, ponieważ pani jest Angielką. Anglik w pierwszym rzędzie myśli o swojej pracy, potem o sporcie, a na końcu — na samym końcu — o swojej żonie. Tak, tak, właśnie tak. Proszę sobie wyobrazić, że w małym hoteliku w Syrii był Anglik, którego żona nagle zachorowała. Tymczasem on musiał pewnego określonego dnia stawić się gdzieś w Iraku. *Eh bien*, czy może pani w to uwierzyć, ale zostawił ją i pojechał, aby stawić się na czas „na służbę”? I oboje, on i jego żona, byli przekonani, że było to zupełnie naturalne, zupełnie szlachetne i pozbawione egoizmu. Jednak lekarz, który nie był Anglikiem, uważał, że to było barbarzyństwo. Żona — istota ludzka — powinna znajdować się na pierwszym miejscu. Wypełnienie obowiązku służbowego jest czymś mniej ważnym.

— Nie wiem — powiedziała Jane. — Sądzę, że praca musi być ważniejsza.

— Dlaczego? No widzi pani, pani też tak myśli. Wykonując jakąś pracę otrzymuje się wynagrodzenie — a zarobione pieniądze wydaje się po to, aby zaspokoić zachcianki kobiety. Jestem przekonany, że to drugie jest bardziej honorowe i idealistyczne.

Jane zaśmiała się.

— No tak — powiedziała — myślę, że osobiście wolałabym być uważana za coś luksusowego i sprawiającego komuś przyjemność; aniżeli za Pierwszy Obowiązek. Raczej chciałabym, żeby mężczyzna czuł, że cieszy się opiekując się mną, niż żeby uważał, że to jest jego obowiązkiem, do którego wypełniania jest zmuszony.

— Nikt, *mademoiselle*, nie czułby się z panią w ten sposób.

Słyszając nutę szczerości w tonie głosu tego młodego człowieka, Jane lekko się zarumieniła. A on tymczasem mówił dalej szybko:

— Przedtem tylko raz byłem w Anglii. Tamten dzień był dla mnie bardzo interesujący — myślę o tym dniu, w którym odbyło się przesłuchanie. Tak to nazywacie, prawda? Mogłem wtedy obserwować trzy kobiety — młode, czarujące, ale jakże różniące się między sobą.

— Co pan wtedy o nas myślał? — zapytała Jane rozbawiona.

— Ta lady Horbury — ba, znam dobrze takie typy. Bardzo egzotyczne, ale bardzo, bardzo kosztowne. Widzi się takie kobiety obsiadujące stoły do bakaratu. Łagodne twarze, ale o twardym wyrazie oczu, i dobrze się wie... jak to będzie wyglądało za jakieś piętnaście lat. Taka kobieta żyje dla sensacji. Dla zabawy, dla narkotyków... *Au fond*\* ona jest zupełnie nieciekawa!

— A panna Kerr?

— Ach, ona jest bardzo, bardzo angielska. To kobieta, której każdy sklepikarz na Riwierze dalby kredyt: ci nasi sklepikarze zawsze mają dobre wyczucie. Ubrana była dobrze, tylko tak jakoś po męsku. Porusza się, jakby należała do niej cała ziemia. Nie jest z tego powodu zarozumiała — ona jest po prostu tylko Angielką. Wie, kto pochodzi z jakiej części Anglii. To prawda. Znałem podobną do niej w Egipcie. „Co? Ci Tacy Owacy są tutaj? Tacy Owacy z Yorkshire? O, to Tacy Owacy z Shropshire?” Dobrze naśladował. Jane śmiała się z tego, jak przeciągał słowa i wypowiadał je tonem ludzi z wyższych sfer.

— A ja... co pan sądzi o mnie? — zapytała.

— A teraz pani. Powiedziałem wtedy do siebie: „Jak to by było miło, jak bardzo byłoby miło zobaczyć ją znowu pewnego dnia”. I teraz, tu, siedzę naprzeciwko pani. Czasem bogowie dobrze wszystkim pokierują.

— Pan jest archeologiem, prawda? — zapytała Jane. — Kopie pan w ziemi?

I słuchała z prawdziwym zainteresowaniem, jak Jean Dupont opowiadał o swojej pracy. Wreszcie Jane słabo westchnęła.

— Był pan w tylu rozmaitych krajach. Tyle pan widział. To brzmi tak fascynująco. A ja nigdy już nigdzie nie wyjadę i niczego nie zobaczę.

— Chciałaby pani... wyjechać za granicę... zobaczyć niedostępne części świata? Proszę pamiętać, że wtedy nie mogłaby pani układać włosów w fale.



— One same się falują — odparła ze śmiechem Jane. Spojrzała na zegarek i szybko przywołała kelnerkę, żeby zapłacić rachunek.

Jean Dupont powiedział lekko zaambarasowany:

— *Mademoiselle*, zastanawiam się, czy pani pozwoliłaby mi... Tak jak już mówiłem, jutro wracam do Francji... Czy zjadłaby pani dzisiaj wieczorem ze mną obiad?

— Przykro mi, ale nie mogę. Jestem już z kimś umówiona.

— Ach! Mnie też przykro, bardzo przykro. Odwiedzi pani wkrótce Paryż?

— Nie sędzę. — Ja też... ja też nie wiem, kiedy znów będę w Londynie! To smutne.

Przez chwilę stał, trzymając rękę Jane.

— Mam wielką nadzieję, że jeszcze kiedyś panią zobaczę — rzeki, a zabrzmiało to szczerze.

# Rozdział czternasty

## W Muswell Hill

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Jane wychodziła od Antoine'a. Norman Gale mówił swoim serdecznym profesjonalnym głosem:

— Obawiam się, że tu właśnie jest wrażliwe miejsce... Proszę mi dać znać, kiedy zaboli...

Prowadził wiertło wprawną ręką.

— No, już po wszystkim. Panno Ross?

Panna Ross stała tuż obok jego łokcia, mieszając na szklanej płytce małą porcję białej mikstury. Norman Gale skończył plombę i powiedział:

— Proszę sprawdzić. Z innymi przyjdzie pani we wtorek, dobrze?

Jego pacjentka, płucząc z zapalem usta, rzuciła się w wir gwałtownych wymówek. Wyjeżdża... bardzo jej przykro... będzie trzeba skreślić następną wizytę. Tak, da mu znać, kiedy wróci.

I szybko uciekła z gabinetu.

— No — rzekł Gale — to tyle na dzisiaj. Panna Ross rzekła:

— Lady Higgins dzwoniła — i powiedziała, że musi zrezygnować z wizyty w następnym tygodniu. I że następnych wizyt już nie będzie. A... i pułkownik Blunt nie może przyjść w czwartek.

Norman Gale skinął głową. Jego twarz przybrała ponury wyraz.

Codziennie było to samo. Pacjenci dzwonili. Skreślali wizyty. Różnorodne wymówki... gdzieś wyjeżdżali... udawali się za granicę... zaziębiali się... akurat byli nieobecni...

Powody, jakie podawali, były bez znaczenia, prawdziwy powód Norman widział zupełnie wyraźnie w oczach ostatniej pacjentki, kiedy sięgał po wiertło... ten wzrok wyrażał nagłe przerażenie...

Mógł był wtedy zapisać jej myśli na papierze: „Och, mój Boże, przecież on był w tym samolocie, w którym zamordowano tę kobietę... Ciekawe... Słyszysz się przecież o ludziach, którzy nagle tracą zmysły i popełniają najbardziej bezsensowne zbrodnie. To naprawdę nie jest bezpieczne. Ten człowiek może być mordercą-maniakiem. Oni wyglądają tak samo jak inni ludzie, słyszałam o tym... Wydaje mi się, że zawsze widziałam jakiś dziwny wyraz w jego oczach...”

— No — rzekł Gale — wygląda na to, że następny tydzień będzie spokojny, panno Ross.

— Tak, wypadło wielu pacjentów. Ale wystarczy tych, którzy pozostali. Latem pracował pan tak ciężko.

— Ale nie wydaje się, żebym miał ciężko pracować jesienią, prawda?

Panna Ross nie odpowiedziała. Uratował ją dzwonek telefonu. Wyszła z pokoju odebrać.

Norman wrzucił narzędzia do sterylizatora i pomyślał ze smutkiem: „Zobaczmy, na czym stoimy. Ta sprawa naprawdę wykończyła mnie zawodowo. Zabawne, ale bardzo pomogła Jane. Ludzie przychodzą specjalnie po to, aby się na nią gapić. Prawdę mówiąc, w moim wypadku jest odwrotnie — kiedy tu przychodzą, muszą się na mnie gapić, i dlatego właśnie nie chcą! Niemiłe uczucie bezradności na fotelu dentystycznym. Gdyby dentysta dostał fioła...

Ach, jaka to dziwna rzecz morderstwo! Wydawać by się mogło, że to coś zwykłego, ale wcale tak nie jest.

Ma wpływ na różne rzeczy, o których przedtem nigdy się nie myślało... Ale wróćmy do faktów. Wydaje się, że jako dentysta jestem skończony... Zastanawiam się, co by się stało, gdyby areztowano tę Horbury? Czy wtedy pacjenci wróciliby do mnie? Trudno wyczuć... Jak już raz coś się załęgło... chociaż to i tak bez znaczenia... Nie dbam o to. Ale jednak chyba tak — ze względu na Jane... Jane jest cudowna. Pragnę jej. Jednak nie mogę jej mieć... jeszcze... Cholerna sytuacja!”

Uśmiechnął się.

„Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży... Ona mnie lubi... Zaczeka... Do diabła! Wyjadę do Kanady — właśnie, to jest to — i tam zrobię pieniądze”. Zaśmiał się.

Panna Ross wróciła do pokoju.

— Dzwoniła pani Lorrie. Przepraszała, ale...

— ...ale musi wyjechać do Timbaktu — dokończył Norman. *Vive les rats!*\* Lepiej niech pani poszuka innej posady, panno Ross. Ten okręt tonie.

— Och, proszę pana, nie chciałabym pana opuszczać...

— Dobra dziewczynka. W każdym razie nie należy pani do tego szczurzego plemienia. Ale ja mówię poważnie. Jeżeli nie stanie się coś, co mnie wyciągnie z tego bigosu, to będę skończony.

— Coś w tej sprawie powinno zostać zrobione! — powiedziała stanowczo panna Ross. — Myślę, że policja postępuje haniebnie. Oni nie próbują nie zrobić.

Norman zaśmiał się.

— Sądzę, że jednak próbują.

— Ktoś powinien coś zrobić.

— Zupełna racja. Właśnie pomyślałem, że to ja powinienem coś zrobić... chociaż niezupełnie wiem co.

— Och, tak. Jest pan taki bystry.

„Dla tej dziewczyny jestem prawdziwym bohaterem — pomyślał Norman Gale. — Pewnie chciałyby mi pomóc w tym całym pasztecie, ale ja mam na widoku inną partnerkę”.

Było to tego samego wieczoru, kiedy jadł obiad z Jane. Podświadomie udawał, że jest w dobrym nastroju, ale Jane była zbyt bystra, żeby dać się oszukać. Zauważyła chwile roztargnienia, lekkie zmarszczki między brwiami i nagle zagryzanie warg.

— Normanie — powiedziała wreszcie — czy sprawy źle idą?

Rzucił jej szybkie spojrzenie, potem spuścił wzrok.

— Musze przyznać, że nie jest najlepiej. Ale to najgorsza pora roku.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała ostro Jane.

— Jane!

— Mówię poważnie. Myślisz, że nie widzę, iż się naprawdę martwisz?

— Nie jestem poważnie zmartwiony. Jestem po prostu zdenerwowany.

— Myślisz o tych ludziach, którzy tchórzliwie uciekają...

— Wyobrażając sobie, że leczy im zęby ktoś, kto może być mordercą.

— Ależ to strasznie niesprawiedliwe!

— Tak, chyba tak. Ponieważ, mówiąc szczerze, Jane, ja jestem naprawdę dobrym dentystą i nie jestem mordercą.

— To niktzemne. Ktoś powinien coś zrobić.

— Tak też dziś rano powiedziała moja sekretarka, panna Ross.

— Jaka ona jest?

— Panna Ross?

— Tak.

— Nie wiem. Duża... koścista... nos przypomina konia na biegunach... ale bardzo kompetentna.

— Wygląda na to, że jest całkiem miła — powiedziała Jane łaskawie.

Norman przyjął to jako hołd dla jego dyplomacji, Panna Ross nie była taka koścista, jak powiedział, i miała kształtną główkę z rudymi włosami; jednak czuł — i miał rację — że lepiej o tym nie mówić Jane.

— Chciałbym coś zrobić — powiedział. — Gdybym był bohaterem powieści, znalazłbym jakiś ślad lub zacząłbym kogoś śledzić.

Jane nagle pociągnęła go za rękaw.

— Patrz, tam siedzi pan Clancy... No wiesz, ten pisarz... Siedzi tam pod ścianą sam. Możemy jego śledzić.

— Ale przecież mieliśmy iść do kina?

— Mniejsza o kino. Coś czuję, że tak się właśnie miało stać. Powiedziałaś, że kogoś chcesz śledzić. Nigdy nie wiadomo. Może coś znajdziemy.

Entuzjazm Jane był zaraźliwy. Norman dość łatwo zgodził się na ten plan.

— Tak jak powiedziałaś, nigdy nie wiadomo — zgodził się. — A jak daleko jest ze swoim obiadem? Nie zobaczę go bez odwracania głowy, a nie chciałbym ciągle się oglądać i gapić na niego.

— Jest mniej więcej na naszym etapie — wyjaśniła Jane. — Lepiej się pospieszmy. Musimy przed nim zapłacić rachunek, żebyśmy byli gotowi do wyjścia, kiedy skończy.

Przyjęli ten plan. Kiedy wreszcie mały Clancy wstał i wyszedł na Dean Street. Norman i Jane prawie nadeptywali mu na pięty.

— To w razie, gdyby wziął taksówkę — wyjaśniła Jane. Ale pan Clancy nie wziął taksówki. Trzymając płaszcz przewieszony przez ramię (czasem ciągnąc go po ziemi) włókł się londyńskimi ulicami. Sprawiał wrażenie, jakby błąkał się bez celu. To szedł szybko, to wolno, prawie stawał. Raz, tuż przed przejściem na drugą stronę ulicy, nagle zatrzymał się w miejscu. Stał tak z jedną nogą uniesioną nad krawężnikiem wyglądając jak zatrzymana klatka w filmie.

Kierunek jego wędrówki również był dziwny. Zdarzyło się nawet, że tyle razy skręcał w prawo, iż dwukrotnie przeszedł tymi samymi ulicami.

Jane czuła, że wzbiera w niej podniecenie.

— Widzisz? — powiedziała podekscytowana. — Boi się, że ktoś go śledzi. Próbuje nas zgubić.

— Tak myślisz?

— Oczywiście. Inaczej nie łąziłby tak w kółko.

— Och!

Skręcili szybko za róg i prawie wpadli na śledzonego. Stał wpatrując się w wystawę rzeźnika. Sklep był oczywiście zamknięty, ale wydawało się, że na wysokości pierwszego piętra było coś, co zwróciło uwagę pana Clancy'ego.

Powiedział głośno:

— Świetnie! Właśnie to. Jakie szczęście!

Wyjął małą książeczkę i uważnie coś w niej zapisał. Potem ruszył dalej szybkim krokiem, podśpiewując pod nosem.

Teraz wyraźnie kierował się w stronę Bloomsbury. Czasem, kiedy odwracał głowę, idący za nim mogli dostrzec, że poruszał ustami.

— Coś się dzieje — powiedziała Jane. — Stan jego umysłu nie jest najlepszy. Mówi do siebie i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Kiedy czekał na światłach, Norman i Jane stanęli tuż przy nim.

To była prawda: pan Clancy mówił do siebie. Jego twarz była blada i spięta. Norman i Jane pochwycili kilka słów:

— Dlaczego ona nie mówi? Dlaczego? Musi być jakaś tego przyczyna...

Zapaliły się zielone światła. Kiedy doszli do przeciwległego chodnika, pan Clancy powiedział:

— Teraz rozumiem. Oczywiście. To dlatego musi milczeć!

Jane uszczypnęła dziko Normana.

Teraz pan Clancy szedł szybko, beznadziejnie wlokąc za sobą płaszcz. Maty pisarz sadył długimi krokami, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że jest śledzony.

Wreszcie, jakby zakłopotany, zatrzymał się przed jakimś domem, otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka.

Norman i Jane spojrzeli na siebie.

— On tu mieszka — powiedział Norman. — Cardington Square czterdzieści siedem. Taki adres podał w czasie śledztwa.

— Ale może za chwilę wyjdzie — rzekła Jane. — W każdym razie coś usłyszeliśmy. Ktoś — jakaś kobieta — nie mówi, a jakaś inna kobieta nie chce mówić. O Boże, to brzmi tak strasznie jak w powieści detektywistycznej.

Z ciemności doszedł ich głos:

— Dobry wieczór.

Mówiący podszedł bliżej. W świetle latarni ukazała się para wspaniałych wąsów.

— *Eh bien* — rzekł Herkules Poirot. — Wspaniały wieczór na polowanie, prawda?

# Rozdział piętnasty

## W Bloomsbury

Po zaskoczeniu wywołanym pojawieniem się detektywa, pierwszy przyszedł do siebie Norman Gale.

— Oczywiście — powiedział — to *monsieur... monsieur* Poirot. Ciągłe jeszcze próbuje pan oczyścić się z podejrzeń, panie Poirot?

— Ach, pamięta pan naszą małą pogawędkę? I podejrzewa pan tego biednego Clancy'ego?

— Tak jak i pan — wtrąciła rezolutnie Jane — inaczej nie byłoby tu pana.

Przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu.

— Myślała pani kiedyś o morderstwie, *mademoiselle!* Myślała pani — oczywiście abstrakcyjnie, beznamiętnie?

— Nie sądzę, abym do niedawna myślała o tym.

Herkules Poirot skinął głową.

— Tak. teraz myśli pani o morderstwie, ponieważ dotyczy ono pani osobiście. Ale ja, ja mam do czynienia z przestępstwami od wielu lat. Mani własny sposób patrzenia na rzeczy. Co by pani uważała za najważniejsze, gdyby próbowała pani rozwiązać zagadkę morderstwa?

— Znaleźć mordercę — odparła Jane.

— Sprawiedliwość — rzekł Norman Gale. Poirot potrząsnął głową.

— Są ważniejsze rzeczy od znalezienia mordercy. A sprawiedliwość to wspaniałe słowo, ale czasem trudno określić dokładnie, co ono oznacza. Według mnie, najważniejszą rzeczą jest oczyszczenie z podejrzeń niewinnego.

— O, naturalnie — przyznała Jane. — To zrozumiale. Jeżeli ktoś został fałszywie oskarżony...

— Nawet nie to. Może nawet nie być oskarżony. Ale dopóki nie udowodniono komuś winy ponad wszelką wątpliwość, dopóty wszyscy, którzy są związani ze zbrodnią, mogą w różnym stopniu uciepieć.

Norman Gale powiedział z naciskiem:

— Jakie to prawdziwe.



— Wiemy o tym, wiemy! — uzupełniła Jane.

Poirot przeniósł wzrok z Normana na Jane.

— Wiem. Oboje osobiście przekonaliście się o tym. Nagle ożywił się.

— Posłuchajcie, mam pewne sprawy, którymi muszę się zająć. Ponieważ nasze cele są te same, możemy coś działać we troje. Mam zamiar złożyć wizytę naszemu wspaniałemu przyjacielowi, Clancy'emu. Proponuję, żeby poszła ze mną *mademoiselle* w roli mojej sekretarki. Tutaj, *mademoiselle*... jest notes i ołówek do stenografowania.

— Ale ja nie umiem stenografować — westchnęła Jane.

— Oczywiście, że nie. Jednak jest pani bystra, inteligentna, i chyba może pani coś tam szybko bazgrać ołówkiem w notesie, prawda? Świetnie. Jeżeli chodzi o pana Gale'a, to proponuję, żeby pan spotkał się z nami za godzinę. Powiedzmy, na piętrze u Monseigneura? *Boiń* Wtedy będziemy mogli porównać nasze spostrzeżenia.

I natychmiast ruszył do drzwi i nacisnął dzwonek.

Jane, trochę oszołomiona, podążyła za nim, ściskając w ręku notes.

Gale otworzył usta, jak gdyby chciał zaprotestować, jednak powstrzymał się.

— Dobrze — rzekł. — Za godzinę u Monseigneura.

Drzwi otworzyła odpychająca kobieta ubrana w surową czerń.

— Pan Clancy? — zapytał Poirot. Odsunęła się i Poirot wszedł wraz z Jane.

— Jakie nazwisko, sir?

— Herkules Poirot.

Ponura kobieta zaprowadziła ich do pokoju na pierwszym piętrze.

— Pan Her Kule Prott — oznajmiła.

Poirot natychmiast zrozumiał, co miał na myśli Clancy, gdy stwierdził, że jest trochę bałaganiarzem. W całym pokoju z trzema oknami na dłuższej ścianie, na półkach i w szafach z książkami panował wszechwładny bałagan. Dookoła leżały porozrzucane papiery, tekturowe teczki, poduszki na kanapę, poniewierał się puzon, chińska porcelana, rysunki i ogromny asortyment wiecznych piór.

Pośrodku tego bałaganu pan Clancy walczył z aparatem fotograficznym i rolką filmu.

— Wielki Boże — powiedział pan Clancy, patrząc na wprowadzanych gości. Odłożył aparat, a

rolka filmu spadła rozwijając się na podłogę. Podeszedł z wyciągniętą ręką.

— Bardzo mi miło państwa widzieć, bardzo mi miło.

— Sądzę, że przypomina mnie pan sobie? — zapytał Poirot. — A to moja sekretarka, panna Grey.

— Jak się pani ma. panno Grey. — Podał jej rękę i znów zwrócił się do Poirota: — Tak, oczywiście, przypominam sobie pana... przynajmniej... A gdzie to było dokładnie? Czy to było w Klubie Trupiej Czaszki?

— Lecieliśmy razem samolotem z Paryża w czasie, kiedy nastąpiło pewne fatalne wydarzenie.

— O, rzeczywiście — przypomniał sobie pan Clancy. — I panna Grey także! Tylko ja nie wiedziałem, że ona jest pańską sekretarką. Tak naprawdę, to wydawało mi się, że pracuje w salonie fryzjerskim... czy coś w tym rodzaju.

Jane spojrzała z przestraszeniem na Poirota.

Ale ten wydawał się nie zmieszany.

— Całkowicie się zgadza — rzekł. — Jednak będąc doskonałą sekretarką, panna Grey musi od czasu do czasu podjąć inną pracę... rozumie pan?

— Oczywiście — rzekł pan Clancy. — Zapomniałem. Pan jest detektywem... prawdziwym detektywem. Nie ze Scotland Yardu. Detektyw prywatny. Proszę siadać, panno Grey. Nie, nie tutaj, na tym krześle jest chyba sok pomarańczowy. Jeżeli przełożę te papiery... O, Boże, teraz wszystko spadło! Nie szkodzi. Pan tutaj, *monsieur* Poirot... nie mylę się, prawda?... Poirot? To oparcie nie jest złamane. Tylko trochę trzeszczy, kiedy się o nie opiera. Ale może lepiej zbytnio się nie opierać. Tak, detektyw prywatny, jak mój Wilbraham Rice. Czytelnikom bardzo podoba się Wilbraham Rice. Obgryza paznokcie i je mnóstwo bananów. Nie wiem, dlaczego kazałem mu obgryzać paznokcie — to raczej obrzydliwe — ale tak już jest. Jak już zaczął obgryzać paznokcie, teraz musi to robić w każdej następnej książce. To strasznie monotonne. Banany nie są takie złe; można z nimi trochę pożartować — przestępcy, którzy ślizgają się na skórkach. Ja też jem banany — dlatego przyszło mi to do głowy. Ale nie obgryzam paznokci. Chciałby się pan napić piwa?

— Dziękuję, nie.

Clancy westchnął, usiadł i spojrzał poważnie na Poirota.

— Chyba wiem, dlaczego pan tu przyszedł... morderstwo Giselle. Wiele myślałem o tej całej sprawie. Może pan mówić, co się panu podoba, ale to jest zdumiewające — zatrącenie strzałki i dmuchawka w samolocie. Sam zastosowałem taki pomysł. Mówiłem już o tym... W książce i w opowiadaniu. Oczywiście, to był bardzo szokujący przypadek i muszę wyznać, *monsieur* Poirot, że byłem wstrząśnięty — zdecydowanie wstrząśnięty.

— Mogę sobie wyobrazić — rzeki Poirot — że takie morderstwo musiało się panu podobać profesjonalnie, panie Clancy.

Clancy promieniał.

— Zgadza się. Wydawałoby się, że każdy — nawet policjanci — powinni to zrozumieć! Ale nie. Spotkałem się tylko z podejrzliwością, zarówno ze strony inspektora, jak i ze strony sądu. Robię co mogę, aby pomóc sprawiedliwości, a za moje wysiłki otrzymuję tylko niedwuznaczną, idiotyczną porcję podejrzeń!

— Niemniej — powiedział Poirot uśmiechając się — nie wydaje się to pana za bardzo przygnębiać.

— Ach — odparł Clancy — widzi pan, ja mam swoje metody, drogi Watsonie. Jeśli wybaczy mi pan, że nazwę pana Watsonem. Nie zamierzam pana obrażać. A tak przy okazji, to bardzo interesujące, jak technika tego głupkowatego przyjaciela ma teraz swój ciąg dalszy. Osobiście sądzę, że opowiadania z Sherlockiem Holmesem są przeceniane. Błędy — naprawdę, są tam zdumiewające błędy... Ale o czym to ja mówiłem?

— Mówił pan, że ma swoje metody.

— Ach, tak — pan Clancy przysunął się bliżej gości. — Włączam tego inspektora... jak on się nazywa? Japp?... tak, włączam go do mojej następnej książki. Zobaczysz pan, jak go potraktuje Wilbraham Rice.

— Można by powiedzieć, tak między bananami.

— Tak, między bananami... to dobry pomysł — pan Clancy roześmiał się.

— Pan, jako pisarz, ma dużą przewagę, *monsieur* — rzekł Poirot. — Może pan wyładować się pisząc. Ma pan przeciw swoim wrogom siłę pióra.

Clancy kołysał się lekko na krześle.

— Wie pan — powiedział — zaczynam myśleć, że to morderstwo było dla mnie naprawdę szczęśliwym wydarzeniem. Opiszę to wszystko dokładnie tak, jak się stało — oczywiście będzie to powieść i zatytułuję ją *Tajemnica poczty lotniczej*. Wspaniałe opisy pasażerów. Powinna sprzedawać się jak świeże bułki — gdybym tylko mógł to wydać na czas.

— A nie zaskarżą pana o zniesławienie czy coś w tym rodzaju? — zapytała Jane.

Pan Clancy zwrócił ku Jane rozpromienioną twarz.

— Nie, nie, droga pani. Oczywiście, gdybym zrobił jednego z pasażerów mordercą, wtedy można by mnie oskarżyć o złośliwe pomówienie. Ale mocną częścią książki jest zupełnie niespodziane rozwiązanie przedstawione w ostatnim rozdziale.

Poirot nachylił się niecierpliwie ku rozmówcy.

— A to rozwiązanie... jakie ono jest?

Pan Clancy znów się roześmiał.

— Genialne — rzeki. — Genialne i sensacyjne. Dziewczyna przebrana za pilota wsiada do samolotu w Le Bourget i z powodzeniem chowa się pod fotelem Madame Giselle. Ma przy sobie ampulkę z najnowszym gazem. Wypuszcza go — wszyscy na trzy minuty tracą przytomność — wydmuchuje zatrutą strzałkę i tylnymi drzwiami na spadochronie opuszcza samolot.

Jane i Poirot zamrugali oczami.

— A dlaczego i ona nie straciła przytomności? — spytała Jane.

— Respirator — odparł pan Clancy.

— I ląduje w kanale La Manche? — Niekoniecznie w kanale. Może nad francuskim wybrzeżem.

— Ale przecież nikt nie może schować się pod fotelem, nie ma tyle miejsca.

— W moim samolocie będzie wystarczająco dużo miejsca — wyjaśnił pan Clancy stanowczo.

— *Epatant*\* — rzekł Poirot. — A motyw, jakim kierowała się ta dama?

— Jeszcze całkiem się nie zdecydowałem — odparł z zadumą pan Clancy. — Prawdopodobnie Giselle doprowadziła do ruiny jej kochanka, a on na skutek tego popełnił samobójstwo.

— A w jaki sposób zdobyła truciznę?

— To jest naprawdę doskonała część tej historii — wyjaśnił pan Clancy. — Dziewczyna jest zaklinaczką węży. Uzyskała jad z zęba swego ulubionego pytona.

— *Mon Dieu!*\* — powiedział Herkulcs Poirot i dodał: — Nie sądzi pan, że to trochę zbyt sensacyjne?

— Niczego nie można napisać zbyt sensacyjnie — odparł pan Clancy pewnym tonem. — Szczególnie, kiedy chodzi o zatrutą strzałkę Indian południowoamerykańskich. Wiem, że w istocie był to jad żmii, ale zasada jest ta sama. Poza tym. Nikt nie chce, aby powieść detektywistyczna opisywała prawdziwe życie. Proszę spojrzeć na to wszystko, co wypisują w gazetach — nudne jak flaki z olejem.

— No, *monsieur*, chyba nie twierdzi pan, że ta nasza mała sprawa jest nudna jak flaki z olejem?

— Nie — przyznał Clancy. — Czasami, wie pan, nie mogę wprost uwierzyć, że to się wydarzyło naprawdę.

Poirot przysunął skrzypiące krzesło trochę bliżej gospodarza. Konfidencko zniżył głos.

— *Monsieur* Clancy, ma pan bystry umysł i dużą wyobraźnię. Policja, jak pan powiedział, obserwuje nas podejrzliwie. Oni pana nie poprosili o pomoc. Ale ja, Herkules Poirot, chciałbym

skonsultować się z panem.

Clancy poczerwieniał z zachwytu.

— Oczywiście, to bardzo miłe z pańskiej strony.

Był bardzo zadowolony i podniecony.

— Pan studiuje kryminologię. Pańskie pomysły mogą okazać się cenne. Bardzo chciałbym dowiedzieć się, kto według pana popełnił tę zbrodnię?

— No cóż... — pan Clancy zawahał się, sięgnął automatycznie po banana i zaczął go jeść. Potem, gdy wyraz podniecenia wygasł na jego twarzy, potrząsnął głową. — Widzi pan, *monsieur* Poirot, to zupełnie inna sprawa. Kiedy pisze się powieść, można wskazać na kogo się chce; ale, oczywiście, w życiu jest inaczej. Nie można kierować faktami. Wie pan, obawiam się, że absolutnie nie byłbym dobry jako prawdziwy detektyw.

Potrząsnął głową ze smutkiem i rzucił skórkę do kominka.

— Jednak mogłoby być zabawne wszystko zebrać razem, prawda? — podsunął Poirot.

— O, tak, tak.

— Na początek przypuśćmy, że pan będzie tak dla żartów zgadywał. Kogo by pan wybrał?

— Och, no... powiedzmy, jednego z tych dwóch Francuzów.

— A teraz, dlaczego?

— Hm... ona była Francuzką. I dlatego wydaje się to jakoś bardziej prawdopodobne. A poza tym siedzieli blisko niej, po drugiej stronie przejścia. Ale tak naprawdę, to nie wiem. — Wszystko zależy — powiedział w zamyśleniu Poirot — od motywu.

— Oczywiście... oczywiście. Przypuszczam, że posegregował pan wszystkie motywy w bardzo naukowy sposób?

— Moje metody są staromodne. Postępuję według dawnej dewizy: „Szukaj tego, komu zbrodnia przyniesie korzyść”.

— Wszystko pięknie — rzekł pan Clancy — ale przypuszczam, że w naszej sprawie będzie to trochę trudne. Jak słyszałem, jest przecież córka, która otrzyma pieniądze. Z tego, co wiemy, wynika, że kilka osób znajdujących się na pokładzie samolotu mogło też odnieść korzyść z jej śmierci — mam na myśli, że nie będą musieli oddawać pieniędzy, które byli jej winni.

— To prawda — przyznał Poirot. — Ale może też być inne rozwiązanie. Powiedzmy, że Madame Giselle o czymś wiedziała — na przykład o próbie popełnienia morderstwa, prawda? — morderstwa, które chciał popełnić ktoś, kto leciał tym samolotem.

— O próbie dokonania morderstwa? — zdziwił się Clancy. — Ale skąd ta próba dokonania morderstwa? Bardzo ciekawa sugestia.

— W takich sprawach jak ta — rzekł Poirot — należy myśleć o wszystkim.

— Ach! — wykrzyknął pan Clancy. — Ale nie wystarczy tylko o tym myśleć. Trzeba wiedzieć.

— Ma pan rację... ma pan rację. Bardzo trafne stwierdzenie. I dodał: — Proszę mi wybaczyć, ale ta dmuchawka, którą pan kupił...

— Przeklęta dmuchawka — obruszył się Clancy. — Wolałbym nigdy o niej nie wspominać.

— Powiedział pan, że kupił ją w sklepie przy Charing Cross Road? Czy przypadkowo pamięta pan, jak się ten sklep nazywa?

— Hm — odparł pan Clancy — to mogło być u Absaloma... a może u Mitchella i Smitha. Nie wiem. Wszystko już powiedziałem temu niezdolnemu inspektorowi. Z pewnością zdążył już sprawdzić.

— Ale ja — rzekł Poirot — pytam z innego powodu. Chciałbym również kupić coś takiego i zrobić mały eksperyment.

— Ach, rozumiem. Ale nie wiem, czy znajdzie pan identyczną. Chyba pan orientuje się, że nie mają wielu.

— Mimo to spróbuję. Panno Grey, może będzie pani tak uprzejma i zanotuje te dwa nazwiska?

Jane otworzyła notes i szybko wykonała serię zakrętasów, które — jak miała nadzieję — naśladowały stenografowanie. Potem skrycie, na odwrotnej stronie, zapisała normalnym pismem oba nazwiska, w razie gdyby polecenie Poirota okazało się poważne.

— A teraz — rzekł Poirot — ponieważ nieproszony zabrałem panu zbyt wiele czasu, oddalę się tysięcznie dziękując za pańską uprzejmość.

— Nie ma o czym mówić. Nie ma o czym mówić — rzekł Clancy. — Szkoda, że nie wziął pan banana.

— Pan jest nadzwyczajnie uprzejmy.

— Nie ma o czym mówić. Prawdę mówiąc, czuję się dzisiaj bardzo szczęśliwy. Zagmatwałem się w pewne opowiadanie, które pisałem — po prostu ta rzecz jakoś mi się nie układała i nie mogłem znaleźć odpowiedniego nazwiska dla mojego przestępcy. Chciałem mieć coś ze specjalnym smaczkiem. Miałem szczęście: zobaczyłem dobre nazwisko nad sklepem rzeźnickim. Pargiter. Takiego właśnie szukałem. Kryje się w nim jakieś specjalne, oryginalne brzmienie. A potem, jakieś pięć minut później, zdobyłem następną rzecz. W opowiadaniach zawsze jest coś, przez co nie można dalej ruszyć: dlaczego dziewczyna nie chce mówić? Młody człowiek próbuje zmusić ją, żeby mówiła, ale ona oświadcza, że ma usta zapieczętowane. Oczywiście nie ma żadnego powodu, aby nie

mogła wszystkiego z siebie wyrzucić i należy spróbować wymyślić przyczynę, która nie byłaby kompletnie idiotyczna. Niestety, za każdym razem musi to być coś innego!

Uśmiechnął się miło do Jane.

— Ot, takie kłopoty autora!

Podbiegł do stojącej obok niej szafy z książkami.

— Pozwoli pani, że coś jej wręczę. Wrócił z książką w ręce.

— *Tajemnica szkarłatnego płotka*. Wydaje mi się, że wspomniałem już w Croydon, iż w tej mojej książce opisałem truciznę do strzał i tubylcze strzałki.

— Tysiącrotnie dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

— Nie ma o czym mówić. Widzę — Clancy nagle zwrócił się do Jane — widzę, że nie używa pani systemu stenografii Pitmana.

Jane spłonęła rumieńcem. Poirot pospieszył na ratunek.

— Panna Grey jest bardzo nowoczesna. Używa najnowszego systemu wynalezionej w Czechosłowacji.

— Doprawdy? Jakże to musi być zdumiewające miejsce ta Czechosłowacja. Wszystko wydaje się stamtąd pochodzić: buty, szkło, rękawiczki, a teraz i system stenografii. Zdumiewające.

Podał obojgu ręce.

— Chciałbym móc być bardziej pomocny. Zostawili go w zaśmieconym pokoju uśmiechającego się trochę ze smutkiem.

# Rozdział szesnasty

## Plan kampanii

Spod domu pana Clancy'ego wzięli taksówkę do Monseigneur, gdzie znaleźli czekającego na nich Normana Gale'a.

Poirot zamówił *consommé* i kurczaka *chaud-froid*\*.

— I co? — zapytał Norman. — Jak poszło?

— Panna Grey — odparł Poirot — okazała się super-sekretarką.

— Chyba nie poszło mi aż tak dobrze — powiedziała Jane. — Zauważył moje bazgroły, gdy przechodził za mną. Myślę, że jest bystrym obserwatorem.

— Ach, więc zwróciła pani na to uwagę? Ten nasz poczciwy Clancy nie jest znów takim bałaganiarzem, jak się na pozór wydaje.

— Czy pan naprawdę chciał znać te adresy? — zapytała Jane.

— Sądziłem, że mogą się przydać... tak.

— Ale jeżeli policja...

— Ach, policja! Ja nie zadaję tych samych pytań co policja. Chociaż, jeśli chodzi o ścisłość, to wątpię, czy policja w ogóle zadała jakiegokolwiek pytania. Widzi pani, oni wiedzą, że dmuchawka znaleziona w samolocie została kupiona w Paryżu przez Amerykanina.

— W Paryżu? Przez Amerykanina? Ale przecież w samolocie nie było żadnego Amerykanina.

Poirot uśmiechnął się do niej uprzejmie.

— Zgadza się. Ten Amerykanin wszystko jeszcze bardziej zagmatwał. *Voilà tout!*

— Kupił ją mężczyzna? — spytał Norman.

Poirot spojrział na niego trochę zaskoczony.

— Tak — odrzekł. — Kupił ją mężczyzna.

Norman był zdziwiony.

— W każdym razie — wtrąciła Jane — nie był to pan Clancy. On już miał jedną dmuchawkę, więc



nie potrzebowałby drugiej.

Poirot skinął głową.

— Tak, w ten właśnie sposób musimy postępować. Musimy podejrzewać wszystkich po kolei, a potem wymazywać ich z naszej listy.

— Ilu pan już do tej pory wymazał? — zapytała Jane.

— Nie tak wielu, jak się pani wydaje, *mademoiselle* — powiedział Poirot z mrugnięciem oka. — To. widzi pani, zależy od motywu.

— A są jakieś... — Norman Gale przerwał i dodał przeproszająco: — Nie chcę być nachalny żądając ujawnienia oficjalnych tajemnic, ale czy istnieją jakieś dowody dotyczące spraw, które prowadziła ta kobieta?

Poirot potrząsnął przecząco głową.

— Wszystkie notatki zostały spalone.

— To pech.

— *Evidemment!* Ale wydaje się, że Madame Giselle łączyła lichwę z szantażem. Otwiera nam to szersze pole do działania. Przypuśćmy na przykład, że Madame Giselle wiedziała o jakimś przestępstwie... powiedzmy o morderstwie planowanym przez któregoś z pasażerów.

— Czy istnieje przyczyna, aby tak przypuszczać?

— To jest — powiedział Poirot wolno — jeden z kilku dowodów, jakie mamy w tej sprawie.

Powiódł wzrokiem po ich zaciekawionych twarzach i lekko westchnął.

— No, więc — rzekł — tak to wygląda. Pomówmy teraz o czymś innym — na przykład o tym, jak ta tragedia wpłynęła na życie dwojga młodych ludzi.

— Może to zabrzmie okropnie, ale ja na niej skorzystałam — stwierdziła Jane i opowiedziała historię swojej podwyżki.

— Według pani, *mademoiselle*, poszło pani dobrze, ale sądzę, że tylko na pewien czas. Nawet największe sensacje kiedyś umierają, prawda?

Jane zaśmiała się.

— Tak, to prawda.

— Obawiam się, że w moim wypadku będzie to trwało długo — rzekł Norman.

I wyjaśnił swoją sytuację. Poirot słuchał ze współczuciem.

— Tak jak pan powiedział — zauważył w zamyśleniu — to będzie trwało dłużej, może tygodnie, a nawet miesiące. Sensacja umiera szybko; strach żyje długo.

— Myśli pan, że powinienem zaprzecić się i wytrzymać?

— Ma pan jakiś inny plan?

— Tak... rzucić to wszystko. Wyjechać do Kanady albo gdzieś indziej i zacząć od nowa.

— Jestem pewna, że byłaby to wielka strata — wtrąciła gorąco Jane.

Norman spojrział na nią.

Poirot taktownie zaczął zajmować się swoim kurczakiem.

— Ja nie chcę wyjeżdżać — powiedział Norman.

— Jeżeli odkryję, kto zamordował Madame Giselle, to nie będzie pan musiał wyjeżdżać — rzekł pocieszająco Poirot.

— Pan jest naprawdę przekonany, że to się panu uda? — zapytała Jane.

Poirot rzucił jej spojrzenie pełne nagany.

— Jeżeli podejdziesz się do problemu metodycznie i skrupulatnie, wówczas nie powinno być żadnej trudności z rozwiązaniem. Absolutnie żadnej — rzeki Poirot surowo.

— Rozumiem — powiedziała Jane, nic nie rozumiejąc.

— Mógłbym jednak ten problem rozwiązać szybciej, gdybym miał pomoc — stwierdził Poirot.

— Jakiego rodzaju pomoc?

Poirot przez chwilę milczał, po czym rzekł:

— Pomoc pana Gale'a. A potem być może i pani.

— Co mogę zrobić? — zapytał Norman.

Poirot rzucił mu ukośne spojrzenie.

— Może się to panu nie spodobać — ostrzegł.

— Co to jest? — spytał niecierpliwie młody człowiek. Bardzo ostrożnie, tak aby nie urazić angielskiej wrażliwości, Poirot użył wykałaczkii, a potem powiedział:

— Prawdę mówiąc, potrzebny mi jest szantażysta.

— Szantażysta? — wykrzyknął Norman. Patrzył na Poirota tak, jakby nie wierzył własnym uszom.

Poirot skinął głową.

— Tak jest — rzekł. — Szantażysta.

— Ale po co?

— *Parbleu!* Żeby szantażował.

— No tak, ale chciałem powiedzieć, kogo? Dlaczego?

— Dlaczego — odparł Poirot — to moja sprawa. Jeśli chodzi o to kogo... — przerwał na chwilę, następnie kontynuował spokojnym, oficjalnym tonem:

— A teraz przedstawię wam mój plan. Pan napisze list — to znaczy ja napiszę list, a pan go skopiuje — do hrabiny Horbury. Zaznaczy pan, że jest prywatny. W tym liście poprosi pan ją o rozmowę, przedstawiając się jako ktoś, z kim przy pewnej okazji podróżowała samolotem do Anglii. Nawiąże pan również do tego, że działalność Madame Giselle przeszła w pana ręce.

— A potem?

— Uzyska pan zgodę na rozmowę. Pojedzie pan do niej i powie jej o pewnych rzeczach (poinstruję pana o tym, co ma pan mówić). Poprosi ją pan... no, powiedzmy... o dziesięć tysięcy funtów.

— Pan oszalał!

— Absolutnie nie — rzekł Poirot. — Może jestem ekscentryczny, ale nie szalony.

— A przypuścimy, że lady Horbury wezwie policję? Mogą mnie aresztować.

— Nie wezwie policji.

— Skąd pan może wiedzieć!

— *Mon cher*, praktycznie, to ja wiem wszystko.

— Jednak to mi się nie podoba.

— Pan nie otrzyma tych dziesięciu tysięcy... może to trochę ulży pańskiemu sumieniu... — Poirot mrugnął.

— Tak, ale niech pan weźmie pod uwagę, *monsieur* Poirot, że ten zwariowany plan może zrujnować moje życie.

— Ta... ta... ta... hrabina nie wezwie policji. Zapewniam pana.

— Ale może powiedzieć mężowi.

— Nic nie powie mężowi.

— Nie podoba mi się to.

— Woli pan tracić pacjentów i rujnować swoją karierę zawodową?

— Nie, ale...

Poirot uśmiechnął się do niego uprzejmie.

— Ma pan wrodzony wstręt do szantażu? Rozumiem, to naturalne. Ma pan w sobie rycerskiego ducha. Jednak zapewniam pana, że lady Horbury nie warta jest żadnych delikatnych uczuć, jest wyrachowaną egoistką.

— Niemniej ona nie może być morderczynią.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Ponieważ widzieliśmy ją. Ja i Jane siedzieliśmy naprzeciw niej.

— Ma pan za dużo z góry wyrobionych sądów. A ja, ja pragnę wszystko wyjaśnić i, aby to zrobić, muszę wiedzieć.

— Nie podoba mi się ten pomysł z szantażowaniem kobiety.

— Ach, *mon Dieu* — ileż znaczenia mieści się w tym słowie! Nie będzie żadnego szantażu. Pan musi tylko spowodować pewien efekt. Potem, kiedy teren zostanie przygotowany, ja wkroczę do akcji.

— I wpakuje mnie pan do więzienia... — wtrącił Norman.

— Nie, nie, nie, znają mnie dobrze w Scotland Yardzie. Jeżeli zdarzyłoby się coś, ja biorę za to odpowiedzialność. Ale zdarzy się tylko to, co panu przepowiedziałem.

Norman poddał się z westchnieniem.

— W porządku. Zgadzam się. Ale nawet w połowie to mi się nie podoba.

— Dobrze. Teraz podyktuję panu, co ma pan napisać. Proszę wyjąć ołówek.

Zaczął powoli dyktować

— *Voilà* — rzekł, gdy list był gotów. — Potem poinstruuje pana, co ma pan jej powiedzieć. Niech mi pani zdradzi, *mademoiselle*, czy chodzi pani do teatru?

— Tak, dosyć często — odpowiedziała Jane.

— Dobrze. Widziała pani sztukę zatytułowaną *Tam pod spodem*?

— Tak, widziałam ją jakiś miesiąc temu. Raczej dobra.

— To sztuka amerykańska, prawda?

— Tak.

— Pamięta pani rolę Harry'ego, graną przez pana Raymonda Barraclougha?

— Tak. Był świetny.

— Uważa pani, że jest atrakcyjny?

— Bardzo atrakcyjny.

— Ach, *il a sex appeal*?\*

— Zdecydowanie — powiedziała Jane, śmiejąc się.

— Właśnie tak... ale czy jest również dobrym aktorem?

— Myślę, że chyba gra dobrze.

— Muszę go zobaczyć — stwierdził Poirot.

Jane wpatrywała się w niego z zaciekawieniem. Jaki to dziwny człowieczek... skacze z tematu na temat jak ptaszek z gałązki na gałązkę!

Być może odczytał jej myśli. Uśmiechnął się.

— Pani mnie nie pochwała, *mademoiselle*? Moich metod?

— Przeskakuje pan z tematu na temat.

— Niezupełnie. Ja tylko idę logicznie wytyczonym kursem, w sposób metodyczny i uporządkowany. Do wniosków nie można dojść w sposób chaotyczny. Należy eliminować.

— Eliminować? — zdziwiła się Jane. — I to właśnie pan robi? — Zastanowiła się przez chwilę.

— Rozumiem. Pan wyeliminował pana Clancy'ego...

— Może... — rzeki Poirot.

— Wyeliminował pan również i nas; i teraz prawdopodobnie chce pan wyeliminować lady Horbury. Och!

Przerwała, nagle uderzyła ją pewna myśl.

— O co chodzi, *mademoiselle*?

— Przyszła mi na myśl ta „próba morderstwa”. Czy to był test?

— Pani jest bardzo bystra, *mademoiselle*. Tak, to był fragment wytyczonego kursu. Wspomniałem o próbie popełnienia morderstwa i obserwowałem pana Clancy’ego, obserwuję panią i pana Gale’a... i żadne z was trojga nie daje znaku — ani nawet mrugnięcia okiem. A mnie pod tym względem nie da się oszukać. Morderca może być przygotowany na każdy przewidziany atak. Ale ten wpis z małej czarnej książeczki nie mógł być znany żadnemu z was. Tak więc, jak pani widzi, jestem zadowolony.

— Jest pan strasznie podstępna osobą, *monsieur Poirot* — stwierdziła Jane prostując się. — Nigdy nie wiadomo, w jakim celu mówi pan o różnych rzeczach.

— To proste. Ponieważ chcę się dowiedzieć o różnych rzeczach.

— Sądzę, że ma pan równie chytre metody, aby uzyskać pożądane informacje.

— Jest tylko jedna metoda, naprawdę prosta.

— Jaka?

— Pozwolić ludziom mówić.

Jane zaśmiała się.

— A powiedzmy, że oni nie chcą tego zrobić?

— Każdy lubi mówić o sobie.

— Chyba tak — przyznała Jane.

— W ten sposób wielu szarlatanów zbija fortuny. Zachęcają pacjentów, aby przychodzili, siadali i mówili o różnych rzeczach. Na przykład o tym, jak wypadli w dzieciństwie z wózka, jak matka jedząc gruszkę, poplamiła sokiem pomarańczową sukienkę, jak mając półtora roczku pociągnęli ojca za brodę; a później lekarze oświadczają im, że od tej pory nie będą cierpieli na bezsenność, i każą sobie płacić dwie gwinee, a pacjenci odchodzą bardzo zadowoleni... o, tak, bardzo zadowoleni — i potem, prawdopodobnie, dobrze śpią.

— Jakie to zabawne — stwierdziła Jane.

— Nie, to nie jest takie zabawne, jak pani myśli. To bazuje na fundamentalnej potrzebie ludzkiej natury: potrzebie mówienia, potrzebie obnażania swojej osobowości. Pani sama, *mademoiselle*, czy pani nie lubi wspominać dzieciństwa? Matkę lub ojca?

— To akurat mnie nie dotyczy. Wychowywałam się w sierocińcu.

— A, to co innego. To niewesołe.

— Nie twierdzę, że byliśmy sierotami w zakładzie miłosierdzia, sierotami w czerwonych berecikach i płaszczkach. W moim sierocińcu było naprawdę wesoło.

— Było to w Anglii?

— Nie, w Irlandii... pod Dublinem.

— A więc pani jest Irlandką. To dlatego ma pani takie ciemne włosy i szaroniebieskie oczy, jak gdyby...

— Jak gdyby ktoś wetknął je do głowy palcami ubrudzonymi sadzą — zakończył Norman z rozbawieniem.

— *Comment?* Co pan powiedział?

— To takie powiedzonko o irlandzkich oczach: że wyglądają, jakby ktoś włożył je brudnymi od sadzy palcami.

— Doprawdy? Nie jest to eleganckie określenie, ale trafne — skłonił się w kierunku Jane. — Efekt jest piękny, *mademoiselle*.

Jane uśmiechnęła się wstając.

— Namieszał mi pan w głowie, *monsieur Poirot*. Dobranoc i dziękuję za kolację. Będzie pan musiał zafundować mi drugą, jeśli pošłą Normana do więzienia za szantaż. Jej słowa wywołały zmarszczkę na twarzy Normana.

Poirot pożegnał się z nimi, życząc dobrej nocy.

Po powrocie do domu wysunął szufladę i wyjął listę z jedenastoma nazwiskami.

Cztery z nich odfajkował. Potem pokiwał głową w zamyśleniu.

— Myślę, że wiem — mruknął. — Ale muszę się upewnić. Muszę dalej prowadzić dochodzenie.

# Rozdział siedemnasty

## W Wandsworth

Pan Henry Mitchell właśnie zasiadł do kolacji złożonej z kiełbasek i tłuczonych ziemniaków, gdy przyszedł do niego gość.

Nieco zdziwiony steward stwierdził, że jego gość nosi bujne wąsy i był jednym z pasażerów w czasie tego fatalnego lotu.

*Monsieur* Poirot zachowywał się bardzo uprzejmie i układnie. Upierał się, żeby pan Mitchell nie przerywał kolacji i powiedział komplement pani Mitchell, która stała wpatrując się w niego z otwartymi ustami.

Przyjął ofiarowane krzesło, zauważył, że jest bardzo ciepło jak na tę porę roku, a potem delikatnie przeszedł do tematu swojej wizyty.

— Obawiam się, że Scotland Yard nie poczynił wielkich postępów w tej sprawie — rzekł.

Mitchell potrząsnął głową.

— To było zdumiewające, sir... zdumiewające, nie mam pojęcia, na czym oni mogą się oprzeć. Przecież skoro nikt w samolocie niczego nie widział, to wszyscy będą mieć kłopoty.

— To prawda.

— Henry okropnie się tym martwi — wtrąciła żona. — Całe noce nie może spać.

Steward wyjaśnił:

— Strasznie mi to ciąży, sir. Moi pracodawcy postąpili bardzo fair. Muszę się przyznać, że początkowo bałem się, iż stracę robotę...

— Nie mogliby tak postąpić, Henry. To byłoby okrutne i niesprawiedliwe.

Powiedziała to z oburzeniem. Była czerstwą kobietą, o świeżej cerze i żywych ciemnych oczach.

— Nie zawsze wszystko układa się sprawiedliwie, Ruth. Ale jednak skończyło się lepiej niż myślałem. Rozgrzeszyli mnie. Ale i tak to czuję, rozumie pan? Przecież byłem tam i, jakby nie było, jestem jednym z podejrzanych.

— Domyślam się, co pan czuje — powiedział Poirot ze współczuciem. — Zapewniam pana, że za bardzo pan się przejmuje. Nie ponosi pan winy za to, co się stało.



— Tak właśnie mówię — wtrąciła pani Mitchell.

Mitchell potrząsnął głową.

— Powiniennem wcześniej zauważyć, że ta kobieta nie żyje. Gdybym próbował ją zbudzić, wtedy gdy robiłem pierwszą rundę z rachunkami...

— Nie zrobiliby to dużej różnicy. Podobno śmierć nastąpiła prawie natychmiast.

— On tak się martwi — rzekła pani Mitchell. — Mówiłam mu, żeby sobie tak tym nie zawracał głowy. Kto wie, z jakich powodów mordują się ci obcokrajowcy. Gdyby mnie pan spytał, to powiedziałabym, że to obrzydliwy dowcip robić coś takiego w brytyjskim samolocie.

Zdanie zakończyła pełnym patriotycznego uniesienia chrząknięciem.

Mitchell potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— A jednak to mi ciąży. Za każdym razem, gdy jestem na służbie, czuję się podenerwowany. A poza tym ten dżentelmen ze Scotland Yardu ciągle mnie wypytuje, czy w czasie lotu wydarzyło się coś niezwykłego lub nagłego. Dlatego mam ciągle wrażenie, że musiałem o czymś zapomnieć... chociaż wiem, że o niczym nie zapomniałem. To był pod każdym względem najzwyczajniejszy lot — aż do chwili, gdy to się stało.

— Dmuchawki i strzałki... to pogańskie. Tak bym to nazwała — stwierdziła pani Mitchell.

— Ma pani rację — odrzekł Poirot z uprzejmie schlebującą miną, jakby uderzyła go celność jej spostrzeżeń. — W ten sposób w Anglii nie popełnia się morderstwa.

— Racja.

— Wie pani, mógłbym nawet odgadnąć, z jakiej części Anglii pani pochodzi.

— Z Dorset. Niedaleko od Bridport. Stamtąd pochodzę.

— Zgadza się — rzekł Poirot. — To cudowny zakątek świata.

— Tak, rzeczywiście. Londyn nie może się nawet porównywać z Dorset. Moja rodzina mieszka w Dorset od ponad dwustu lat... Dorset, jeśli tak to można określić, płynie w moich żyłach.

— Tak, istotnie. — I znowu zwrócił się do stewarda: — Jest jedna rzecz, o którą chciałbym pana zapytać, Mitchell.

Steward zmarszczył brwi.

— Powiedziałem już wszystko, co wiem... naprawdę wszystko, sir.

— Tak, tak... ale to taki drobiazg. Zastanawiałem się tylko, czy coś na stoliku — to znaczy, na

stoliku Madame Giselle — zostało ruszone?

— Myśli pan o chwili, gdy ja... gdy ja odkryłem, że ona...?

— Tak. Łyżeczki, widelce... solniczka. Wszystko jedno co.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Na stoliku nic nie było. Wszystko zostało zabrane, poza filiżanką od kawy. Ja osobiście nic nie zauważyłem. Nie sądzę. Zresztą byłem zbyt przejęty. Ale powinna to wiedzieć policja, sir; oni bardzo dokładnie przeszukali samolot.

— No dobrze — rzeki Poirot. — To i tak nie ma znaczenia. Muszę kiedyś pomówić z pańskim kolegą, Davisem.

— On teraz lata o ósmej czterdzieści pięć, sir.

— Czy bardzo przejął się tą sprawą?

— Och... no, widzi pan, sir, on jest młody. Jeżeli już pan o to pyta, to muszę powiedzieć, że jego wszystko prawie bawiło. Ekscytowało. Każdy stawiał mu drinki, aby usłyszeć historię morderstwa.

— Czy on może ma jakąś przyjaciółkę? — zapytał Poirot. — Bez wątpienia ten jego związek ze zbrodnią musi być dla niej podniecający.

— Zaleca się do córki starego Johnsona z baru „Pod Koroną i Piórami” — wyjaśniła pani Mitchell. — Ale ona jest bardzo roztropną dziewczyną... ma głowę na karku. Jej się nie podoba, że jest wplątany w morderstwo.

— Bardzo rozsądny punkt widzenia — powiedział Poirot wstając. — Dziękuję panu, panie Mitchell, i pani. — Proszę również, drogi przyjacielu, żeby pan się tym specjalnie nie przejmował.

Kiedy wyszedł, Mitchell powiedział:

— Te głupki z ławy przysięgłych przekonane były, że on to zrobił. Ale według mnie on jest z Secret Service.

— A ja uważam, że tkwią w tym bolszewicy.

Z drugim stewardem, Davisem, Poirot spotkał się kilka godzin później w barze „Pod Koroną i Piórami”. Zadał mu te same pytania co Milchellowi.

— Zostało coś ruszone?... Nie, sir. Chodzi panu o to, czy coś przewrócono lub coś w tym sensie?

— No, powiedzmy, może czegoś brakowało albo coś zniknęło ze stolika... lub może znajdowało się na nim coś niezwykłego...

Davis odpowiedział wolno:

— Było tam coś — zauważyłem to, gdy sprzątałem po zakończeniu przeszukiwania samolotu przez policję — ale nie sądzę, aby to było coś, czego pan szuka. Zmarła miała na talerzyku dwie łyżeczki do kawy. Kiedy podajemy w pośpiechu, może się zdarzyć, że podamy dwie łyżeczki. Zauważyłem to, ponieważ jest taki przesąd, że dwie łyżeczki na spodeczku oznaczają wesele.

— A może na jakimś innym talerzyku brakowało łyżeczki?

— Nie, sir, tego nie zauważyłem. Mitchell, albo ja, musieliśmy zabrać ten talerzyk i filiżankę z dwiema łyżeczkami — jak już mówiłem, czasami w pośpiechu zdarzają się takie rzeczy. Właśnie przed tygodniem położyłem do ryb podwójne noże i widelce. Ale lepiej wziąć za dużo, niż o czymś zapomnieć, bo wtedy trzeba się wracać.

Poirot zadał jeszcze jedno pytanie, trochę żartobliwie:

— Co pan myśli o francuskich dziewczętach, Davis?

— Wystarczą mi angielskie, sir.

I uśmiechnął się do pulchniutkiej blondyneczki za barem.

# Rozdział osiemnasty

## Przy Queen Victoria Street

Pan James Ryder był raczej zdziwiony, kiedy doręczono mu wizytówkę z napisem: „*Monsieur* Herkules Poirot”.

Wiedział, że zna to nazwisko, ale w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć skąd.

— Och, to ten facet! — powiedział wreszcie do siebie i polecił urzędnikowi, aby wprowadził gościa.

*Monsieur* Herkules Poirot był bardzo elegancki, w ręce trzymał laskę, butonierkę zdobił kwiat.

— Mam nadzieję, iż wybaczy mi pan, że przeszkadzam — rzekł Poirot. — Przychodzę w związku ze sprawą śmierci Madame Giselle.

— Tak? — powiedział pan Ryder. — O cóż chodzi? Zechce pan usiąść? Może cygaro?

— Dziękuję, nie. Zawsze palę tylko swoje papierosy. Może przyjmie pan jednego?

Ryder spojrzał z powątpiewaniem na płaskie papierosy Poirota.

— Myślę, że jeśli to panu nie sprawi różnicy, raczej zapalę cygaro. Mógłbym jeszcze połknąć tego pańskiego papierosa przez nieuwagę — zaśmiał się wesoło.

— Kilka dni temu był tutaj inspektor — rzekł pan Ryder, kiedy wreszcie uruchomił zapalniczkę. — Wścibscy są ci faceci. Nie mogą zająć się własnymi sprawami?

— Mają za zadanie, jak sędzę, zdobyć informacje — rzekł spokojnie Poirot.

— Nie muszą z tego powodu zachowywać się obraźliwie — powiedział gorzko pan Ryder. — W końcu człowiek jest wrażliwy... i musi myśleć o swojej reputacji i interesach.

— Może jest pan trochę przewrażliwiony?

— Znajduję się w delikatnej sytuacji — rzekł pan Ryder. — Siedziałem tam... tuż przed nią — no i to, jak przypuszczam, wygląda trochę podejrzanie. Nie mogę nic na to poradzić, że tam właśnie siedziałem. Gdybym wiedział, że ta kobieta zostanie zamordowana, w ogóle nie poleciałbym tym samolotem. No, nie wiem, może jednak poleciałbym.

Namyślał się przez chwilę.

— Czyżby jednak ta nieszczęśliwa sytuacja miała swoje dobre strony? — zapytał Poirot,

uśmiechając się.

— Zabawne, że pan to powiedział. Tak i nie. Miałem z tego powodu mnóstwo kłopotów. Byłem prześladowany. Insynuowano mi różne rzeczy. Ciągle sobie powtarzam: dlaczego właśnie ja? Dlaczego nie idą męczyć i denerwować tego doktora Hubbarda... mam na myśli Bryanta. Lekarze mają dostęp do niewykrywalnych supertrucizn. Pytam pana, w jaki sposób ja mógłbym zdobyć ten jad węża?

— Mówił pan — rzekł Poirot — że chociaż spotkało pana mnóstwo nieprzyjemności, to...?

— Ach tak, bo była też i jasna strona tego wszystkiego. Udało mi się otrzymać niezłą sumkę od prasy. Historia naocznego świadka... chociaż było w niej więcej reporterskiej wyobraźni niż świadectwa moich oczu. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia.

— Interesujące — powiedział Poirot — jaki wielki wpływ ma zbrodnia na ludzi, którzy są zupełnie z nią nie związani. Niech pan na przykład weźmie siebie: nagle i zupełnie niespodzianie otrzymuje pan pieniądze — pieniądze, które być może akurat w tym momencie są panu bardzo potrzebne.

— Pieniądze zawsze są potrzebne — stwierdził pan Ryder.

Spojrzał ostro na Poirota.

— Czasami ta potrzeba jest koniecznością. I z tego powodu ludzie popełniają defraudacje... Prowadzą podwójną buchalterię... — zamachał rękoma. — Mogą powstać różne komplikacje.

— Ale nie załamujemy się z tego powodu — zauważył pan Ryder.

— Prawda. Dlaczego jednak mamy się rozwodzić nad ciemnymi stronami tego problemu? Pieniądze przydały się panu... ponieważ nie uzyskał pan pożyczki w Paryżu...

— Skąd, u diabła, pan o tym wie? — zapytał pan Ryder ze złością.

Herkulcs Poirot uśmiechnął się.

— W każdym razie to prawda.

— Tak, to prawda, ale nie ma potrzeby tego rozgłaszać.

— Zapewniam pana, że będę dyskretny.

— Ciekawe — mruzczał Ryder — jak czasem niewielka kwota może człowieka zapędzić w ślepej uliczce. Zupełnie niewielka ilość pieniędzy, potrzebna do wydobycia się z krytycznej sytuacji. A jeśli nie można zdobyć tej najmniejszej ilości, wtedy diabli biorą zaufanie. Tak, to jest cholernie dziwne. W ogóle pieniądze są dziwne. Zaufanie jest dziwne. Biorąc to wszystko razem, życie jest dziwne.

— Wielka prawda.

— Ale, tak przy okazji, co pana do mnie sprowadza?

— To trochę delikatna sprawa. Dotarło do moich uszu — w trakcie wykonywania czynności zawodowych, rozumie pan — że mimo pańskich zaprzeczeń, miał pan coś wspólnego z kobietą zwaną Giselle.

— Kto panu powiedział? To kłamstwo... cholerne kłamstwo! Nigdy jej nie widziałem!

— Mój Boże, to bardzo interesujące!

— Interesujące? Cholerne oszczerstwo.

Poirot patrzył na niego w zamyśleniu.

— Ach — powiedział — wobec tego muszę to sprawdzić.

— Co pan ma na myśli? Do czego pan zmierza?

Poirot potrząsnął głową.

— Niech się pan nie denerwuje... widocznie musiała zajść... pomyłka.

— Stanowczo tak. Niech pan sobie szpera i szuka, czy mam coś wspólnego z lichwiarzami obsługującymi wyższe sfery. Kobiety z wyższych sfer mające hazardowe długi — to ich klientki.

Poirot wstał.

— Muszę pana przeprosić. Najwyraźniej zostałem źle poinformowany. — Zatrzymał się przy drzwiach. — A przy okazji, tak z prostej ciekawości, dlaczego nazwał pan doktora Bryanta doktorem Hubbardem?

— Do diabła, nie wiem. Chwileczkę... tak. myślę, że z, powodu tego fletu. Wic pan, to taka piosenka śpiewana przez niańki: „Stara matka Hubbard miała psa... ale kiedy wróciła, on grał na flecie”. Ciekawe, jak łatwo można pomylić nazwiska.

— Ach tak. Het... Takie rzeczy interesują mnie, rozumie pan, ze względów psychologicznych.

Pan Ryder zachnął się słysząc słowo „psychologicznych”. Pachniało mu to — jak to nazywał — kretyńską psychoanalizą. Spojrzał podejrzliwie na Poirota.

# Rozdział dziewiętnasty

## Pan Robinson pojawia się i znika

Hrabina Horbury siedziała przed toaletką w swojej sypialni przy Grosvenor Square 315. Otaczał ją luksus — złote szczotki i pudełka, słoiczki z kremem do twarzy, puzderka z pudrem. A pośród tego wszystkiego Cicely Horbury siedziała ze spieczonymi ustami i z policzkami, na których róż tworzył niezdrowe plamy. Po raz czwarty czytała ten sam list.

„Hrabina Horbury

Szanowna Pani,

Dotyczy zmarłej Madame Giselle...

Posiadam pewne dokumenty, które kiedyś należały do zmarłej. Jeżeli pani lub pan Raymond Barraclough jesteście tym zainteresowani, byłbym bardzo zadowolony, gdybym mógł Pani złożyć wizytę i przedyskutować tę sprawę.

A może wolałaby Pani, żebym porozmawiał o tym z Pani mężem?

Z poważaniem.

John Robinson.”

Głupio tak w kółko to czytać i czytać... Tak jakby słowa mogły zmienić swoje znaczenie. Podniosła kopertę — dwie koperty, jedną z napisem „Osobisty” i drugą z napisem: „Prywatne i bardzo poufne”.

„Prywatne i bardzo poufne”...

Bestia... bestia...

I ta kłamliwa Francuzka, która przysięgła, że wszystko jest tak ułożone, aby ochronić klientów w wypadku jej nagłej śmierci...

„Niech będzie przeklęta... Życie jest piekłem...piekłem... O Boże, moje nerwy — pomyślała Cicely. — To nie jest w porządku. To nie w porządku...”

Drżącymi rękoma sięgnęła po buteleczkę ze złotą nakrętką...

„To mnie uspokoi, pomoże odzyskać równowagę...”

Wciągnęła proszek do nosa.

Nareszcie mogła myśleć! Co robić? Musi oczywiście zobaczyć się z tym człowiekiem. Gdzie mogłaby teraz zdobyć pieniądze... Może będzie miała fuksa w grze przy Carlos Street...

Ale jeszcze ma czas o tym pomyśleć. Musi zobaczyć się z tym człowiekiem, musi dowiedzieć się, o czym on wie.

Podeszła do biurka i szybko skreśliła kilka słów dużym, niewyrobnym pismem:

„Hrabina Horbury przesyła pozdrowienia panu Johnowi Robinsonowi i zgadza się na spotkanie, jeśli przyjdzie jutro przed południem o godzinie jedenastej...”

— Czy wystarczy? — spytał Norman. Zaczerwienił się trochę pod badawczym wzrokiem Poirota.

— O, Boże! — rzekł Poirot. — Jakiego rodzaju komedię zamierza pan zagrać?

Norman Gale jeszcze bardziej poczerwieniał. — Powiedział pan, że dobrze byłoby trochę się przebrać — zamruczał.

Poirot westchnął, potem wziął młodego człowieka pod ramię i pomaszerował z nim do lustra.

— Niech pan się przejrzy — rzekł. — Proszę się przejrzeć! Myśli pan, że kim pan jest... świętym Mikołajem zabawiającym dzieci? Wprawdzie pańska broda nie jest biała tylko czarna — kolor jak u łotra na scenie. Ale sama broda... woła o pomstę do nieba! Tandetna, przyjacielu, przytwierdzona prymitywnie i po amatorsku! A te brwi. Czy pan ma manię strojenia się w fałszywe włosy? Na kilometr można wyczuć klej... I jeśli myśli pan, że nikt nie zauważy tego kawałka plastra przyklepionego do zęba, to się pan myli. Mój przyjacielu, aktorstwo to nie pański *metier*\*.

— Kiedyś dużo grywałem w teatrzykach amatorskich — odparł sztywno Norman Gale.

— Trudno w to uwierzyć. W każdym razie mam nadzieję, że nie pozwalali, aby pan sam robił sobie charakteryzację. Nawet w światłach rampy pańskie przebranie byłoby wyjątkowo nieprzekonujące. A na Grosvenor Square, w pełnym świetle dnia...

Poirot nie kończąc zdania uczynił wymowny ruch ręką.



— Nie, *mon ami* — rzekł. — Pan jest szantażystą, a nie komediantem. Chcę, żeby jej hrabiowska mość bała się pana, a nie umarła ze śmiechu na pański widok. Widzę, że uraziłem pana tym, co powiedziałem. Przykro mi, ale w tej sytuacji nie możemy się oszukiwać. Proszę wziąć to... i to — podał mu kilka słoičzków. — A teraz pójdzie pan do łazienki i skończmy z tą błazenadą.

Zgnęiony Norman Gale posłuchał. Kiedy w kwadrans później wyszedł z łazienki, jego twarz miała ceglasty kolor. Poirot skinął głową z aprobatą.

— *Tres bien*\*. Farsa się skończyła. A teraz poważnie. Pozwolę panu na mały wąsik. Ale ja, jeśli pan pozwoli, sam go panu przykleję. Dobrze... a teraz inaczej zrobimy przedziałek... tak. To wystarczy. Zobaczmy teraz, czy pan wie, co robić.

Słuchał uważnie, po czym skinął głową.

— Dobrze. *En avant*\* ... i życzę dużo szczęścia.

— Mam nadzieję, że będę miał szczęście. Prawdopodobnie trafię na wściekłego męża i kilku policjantów.

Poirot uspokoił go:

— Niech się pan nie denerwuje. Wszystko się doskonale powiedzie.

— Łatwo panu tak mówić — mruknął buntowniczo Norman.

Przygnęiony Norman odszedł wypełnić swą niesmaczną misję. W domu przy Grosvenor Square wprowadzono go do małego pokoju na pierwszym piętrze. Po kilku minutach zjawiała się lady Horbury.

Norman zebrał się w sobie. Musi... koniecznie musi... opanować się i nie okazywać, że to dla niego nowa rola.

— Pan Robinson? — zapytała Cicely.

— Do pani usług — odrzekł Norman i skłonił się. „Do diabła... wygląda jak kapuś w domu towarowym — pomyślała zde gustowana. — To okropne”.

— Otrzymałam pański list — powiedziała Cicely. Norman sprężył się. „Ten stary głupiec powiedział, że nie potrafię grać” — pomyślał i uśmiechnął się w duchu. Głośno powiedział trochę bezczelnie:

— Zgadza się... no i jak będzie, lady Horbury?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Dobra, dobra. Czy naprawdę musimy mówić o detalach? Wszyscy wiedzą, jaki miły... no, nazwijmy to weekendem nad morzem... jaki może być miły taki weekend, ale mężowie nie

podzielają tej opinii. Myślę, że pani dokładnie wie, lady Horbury, jaki to dowód? Ta stara Giselle była wspaniałą kobietą. Zawsze miała to, co potrzebne. Dowody z hoteli były pierwszej klasy. Teraz pytanie, kto tego bardziej chce... pani, czy lord Horbury?

Stała drżąc.

— Ja sprzedaję — jego głos stawał się coraz bardziej prostacki i coraz więcej wściekał się na odgrywanie roli pana Robinsona. — Czy pani kupuje? I tak brzmi następne pytanie.

— W jaki sposób zdobył pan ten... dowód?

— No, doprawdy, lady Horbury, to chyba nie należy to tematu naszej rozmowy. Najważniejsze, że go mam.

— Nie wierzę panu. Chcę go zobaczyć.

— O, nie. — Norman potrząsnął głową z chytrym uśmieszkiem. — Niczego nie mam przy sobie. Nie jestem taki naiwny. Jeżeli dobijemy interesu, pokażę pani ten cały bigos, zanim wręczy mi pani pieniądze. Wszystko odbędzie się uczciwie.

— Ile... ile pan chce?

— Dziesięć tysięcy... funtów, nie dolarów.

— To niemożliwe. Nigdy nie uda mi się zdobyć takiej sumy.

— Jeśli się chce, to można działać cuda. Bizuteria teraz nie jest tyle warta co przed laty, ale perły ciągle jeszcze są perłami. No dobrze, pójdę pani na rękę, obniżam do ośmiu tysięcy. To moje ostatnie słowo. I daję pani dwa dni do namysłu.

— Powiedziałam już panu, że nie zdobędę tych pieniędzy.

Norman westchnął i potrząsnął głową.

— Może jednak lepiej będzie, żeby lord Horbury dowiedział się o tym, co się stało. Chyba nie myślę się sądząc, że kobieta rozwiedziona nie otrzymuje żadnych alimentów, a pan Barraclough, chociaż jest bardzo obiecującym młodym aktorem, jeszcze nie dorobił się grubszej forsy. Teraz już ani słowa. Zostawiam panią, niech się pani nad tym zastanowi i proszę pamiętać — ja nie żartuję.

Przerwał, a następnie dodał:

— Nie żartuję, jak nie żartowała Giselle...

Potem szybko, zanim zrozpaczona kobieta zdołała odpowiedzieć, wyszedł z pokoju.

— Ufff! — odetchnął Norman, gdy znalazł się na ulicy. Otarł czoło. — Dzięki Bogu, po wszystkim!

Niecałą godzinę później lady Horbury otrzymała wizytówkę.

— Pan Herkules Poirot.

Odrzuciła ją na bok.

— Kto to jest? Nie mogę go przyjąć!

— Ten pan powiedział, proszę pani, że przyszedł tu na polecenie pana Raymonda Barraclougha.

— O!... — przerwała. — Dobrze, proszę go wprowadzić.

Lokaj wrócił po chwili:

— *Monsieur* Herkules Poirot.

Kłaniając się, wszedł *monsieur* Poirot, ubrany elegancko jak dandys.

Lokaj zamknął drzwi. Cicely postąpiła krok do przodu.

— Przysłał pana pan Barraclough?...

— Proszę, niech pani usiadzie, *madamec* — jego głos był uprzejmy, lecz stanowczy.

Odruchowo usiadła. Poirot usadowił się na krześle obok niej. Jego zachowanie było po ojcowsku uspokajające. — *Madame*, proszę uważać mnie za swojego przyjaciela. Przyszedłem udzielić pani rady. Wiem, że ma pani poważny kłopot.

— Ja nie... — mruknęła niepewnie.

— *Ecoutez*\*, *madame*, nie będę wypytywał pani o tajemnice. To zbędne. Ja je już znam. Dobry detektyw zawsze... wie.

— Detektyw? — Rozszerzyła oczy ze zdumienia. — Przypominam sobie... Pan leciał tym samolotem. To był pan...

— Zgadza się, to byłem ja. Teraz, *madame*, zabierzmy się za naszą sprawę. Jak już wspomniałem, nie chcę pani zmuszać do zwierzeń. Pani nie musi mówić mi o różnych rzeczach. To ja powiem pani o nich. Dzisiaj rano, nie więcej jak przed godziną, miała pani gościa. Ten gość... nazywał się być może Brown?

— Robinson... — powiedziała Cicely słabym głosem.

— Wszystko jedno... Brown, Smith, Robinson... używa tych nazwisk na zmianę. Przyszedł tu, żeby panią szantażować, *madame*. Posiada pewne dowody... jak byśmy to określili... niedyskrecji? Te dowody były kiedyś w posiadaniu Madame Giselle. A teraz ma je ten człowiek. Ofiarowuje je pani za, powiedzmy, siedem tysięcy funtów.

— Osiem.

— A więc za osiem. Natomiast pani, *madame*, ma trudności w szybkim zebraniu takiej sumy, prawda?

— Nie mogę... Po prostu nie mogę jej zdobyć... Ja już tkwię w długach. Nie wiem, co robić...

— Proszę się uspokoić, *madame*. Przyszedłem pani pomóc.

Spojrzała na niego uważnie.

— Jak się pan o tym wszystkim dowiedział?

— *Madame*, jestem przecież Herkulesem Poirotem. *Eh bien*, niech się pani nie boi, niech mi pani zaufa — załatwię tego Robinsona.

— Tak — powiedziała ostro Cicely. — Ale ile pan za to zechce?

Herkules Poirot skłonił się.

— Chcę tylko spytać o fotografię, podpisaną, fotografię niezwykle pięknej kobiety...

— O, Boże! — wykrzyknęła. — Nie wiem, co robić!... Moje nerwy... Ja oszaleję.

— Nie, nie, wszystko w porządku. Proszę zaufać Herkulesowi Poirotowi. Ja tylko, *madame*, chcę poznać prawdę... całą prawdę... Niech pani niczego nie tai, bo inaczej będę miał związane ręce.

— Wyciągnie mnie pan z tego bagna?

— Przysięgam pani solennie, że nigdy już nie usłyszysz pani o Robinsonie.

— Dobrze — zgodziła się. — Powiem panu wszystko.

— Świetnie. No więc pożyczyła pani pieniądze od Madame Giselle?

Lady Horbury skinęła głową.

— Przed osiemnastoma miesiącami. Znalazłam się w dołku.

— Hazard?

— Tak. I okropny brak szczęścia.

— Pożyczyła pani tyle, ile pani chciała?

— Wpierw nie. Na początku tylko małą sumę.

— Kto panią do niej posłał?

— Raymond... pan Barraclough powiedział mi, że słyszał, iż ona pożycza pieniądze kobietom z towarzystwa.

— Potem pożyczyła pani więcej?

— Tak... tyle ile chciałam. Wtedy wydawało mi się to cudem.

— Był to specjalny rodzaj cudu, cud Madame Giselle — rzekł sucho Poirot. — Sądzę, że tuż przedtem pani i pan Barraclough zostaliście... hm... przyjaciółmi?

— Tak.

— Ale pani bardzo się niepokoiła, że mąż mógłby dowiedzieć się o tym?

Cicely wykrzyknęła z gniewem:

— Stephen jest taki kołtuński. Jest mną zmęczony. Chce ożenić się z kimś innym. Podskoczyłby z radości na myśl, że może się ze mną rozwieść.

— A pani nie chce się... rozwieść?

— Nie. Ja... ja...

— Odpowiada pani pozycja jego żony... a także możliwość korzystania z dużych apanaży. To naturalne. *Les femines*<sup>\*</sup>, oczywiście, muszą dbać o siebie. Ale idźmy dalej. Wkrótce powstał problem spłacania długów?

— Tak, a ja... ja nie miałam na to pieniędzy. I wtedy ta stara czarownica stała się dla mnie okrutna. Wiedziała o mnie i o Raymondzie. Wykryła wszystkie miejsca, daty, w ogóle wszystko... Nie mam pojęcia, w jaki sposób.

— Miała swoje metody — rzekł sucho Poirot. — Groziła pani, jak sądę, że pośle wszystkie dowody lordowi Horbury?

— Tak, chyba że zapłacę.

— A pani nie mogła zapłacić?

— Nie.

— A zatem jej śmierć była dla pani zrzędzeniem losu?

Cicely Horbury odparła szczerze:

— To wydawało się zbyt... zbyt cudowne.

— Ach tak, właśnie tak... zbyt cudowne. Ale to trochę panią zdenerwowało, jak sądę?

— Zdenerwowało?

— *Madame*, przecież pani jedna jedyna w tym samolocie miała powód, aby życzyć jej śmierci.

Nabrała gwałtownie powietrza.

— Wiem. To było okropne. Zupełnie mnie to rozstroiło.

— A szczególnie dlatego, że poprzedniego wieczoru była pani u niej w Paryżu i rozegrała się między wami pewna scena.

— Stara diablica! nie chciała ustąpić ani o krok. Wydaje mi się, że ona szczerze się tym bawiła. Była bestią w każdym calu. Wyszłam od niej kompletnie wypompowana.

— A jednak powiedziała pani na przesłuchaniu, że nigdy przedtem jej nie widziała?

— No oczywiście, a co innego miałam powiedzieć?

Poirot patrzył na nią zamyślony.

— Pani, *madame*, nie mogła nic innego powiedzieć.

— To było takie upiorne... nic tylko kłamstwa... kłamstwa... kłamstwa. Ten okropny inspektor był tu znowu i zamęczał mnie swoimi pytaniami. Ale czułam się bezpieczna. Wiedziałam, że on tylko próbuje, czy czegoś ode mnie nie wydostanie, ale o niczym nie wie.

— Jeżeli już się zgaduje, to powinno się zgadywać z tupetem.

— A potem — mówiła dalej Cicely, podążając za tokiem własnych myśli — nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jeśli coś miałoby się wydać, to powinno być wydać się od razu. Czułam się więc bezpieczna do chwili, gdy wczoraj przyszedł ten okropny list.

— A przez ten cały czas nie bała się pani?

— Oczywiście, że się bałam!

— Ale czego? Że się wszystko wyda, czy też że aresztują panią pod zarzutem popełnienia morderstwa? Rumieńce znikły z jej policzków.

— Morderstwa?... Ależ ja nie zrobiłam tego... Och, chyba pan w to nie wierzy! Nie zabiłam jej. Nie!...

— Ale chciała pani, żeby umarła...

— Tak, jednak jej nie zabiłam... Och, musi mi pan uwierzyć, musi pan. Ja w ogóle nie ruszałam się z fotela. Ja...

Przerwała. Utkwiła w nim błagalnie piękne niebieskie oczy.

Herkules Poirot uspokajająco kiwnął głową.

— Wierzę pani, *madame*, z dwóch powodów: po pierwsze z uwagi na pani płęć, a po drugie... z powodu osy.

— Osy?

— Właśnie. Wiem, że to wydaje się pani bez sensu. Wobec tego zabierzmy się teraz za najważniejsze. Rozprawię się z tym Robinsonem. Daję pani moje słowo, że więcej już go pani nie zobaczy ani też o nim nie usłyszy. Zajdę mu za... — zapomniałem jak to się mówi — zajdę mu za skórę? A w zamian za moją usługę zadam pani tylko dwa małe pytania. Czy pan Barraclough był w Paryżu w przeddzień morderstwa?

— Tak, jedliśmy razem obiad. Ale on twierdził, że lepiej będzie, jeśli sama pójde porozmawiać z tą kobietą.

— Ach, więc to tak? A teraz, *madame*, drugie pytanie: zanim pani wyszła za mąż, pani nazwisko sceniczne brzmiało Cicely Bland. Czy to było pani prawdziwe nazwisko?

— Nie, naprawdę nazywałam się Martha Jebb. Ale tamto...

— Ale tamto lepiej brzmiało. Urodziła się pani... gdzie?

— W Doncaster. Dlaczego...

— Zwykła ciekawość. Proszę mi wybaczyć. A teraz, lady Horbury, pozwoli pani, że udzielę jej pewnej rady? Dlaczego nie weźmie pani cichego rozwodu z mężem?

— Żeby on się ożenił z tą kobietą?

— Żeby on się ożenił z tą kobietą. Ma pani szlachetne serce, *madame*; a poza tym będzie pani bezpieczna... tak. bardzo bezpieczna... i mąż będzie pani płacił alimenty.

— Nie będzie mi dużo płacił.

— *Eh bien*, ale kiedy już będzie pani wolna, może pani wyjść za mąż za jakiegoś milionera.

— Teraz już nie ma milionerów.

— Ach, niech pani w to nie wierzy, *madame*. Człowiek, który miał trzy miliony, może teraz ma dwa miliony... *eh bien*, ale to i tak dość dużo.

Cicely zaśmiała się.

— Pan mówi bardzo przekonująco, *monsieur* Poirot. I jest pan naprawdę pewien, że ten

przerażający człowiek nigdy już nie będzie mnie nachodził?

— Słowo Herkulesa Poirota — zapewnił ją uroczyście.



# Rozdział dwudziesty

## Przy Harley Street

Detektyw-inspektor Japp, idąc szybko wzdłuż Harley Street, zatrzymał się przed jednymi z drzwi. Zapytał o doktora Bryanta.

— Jest pan umówiony, sir?

— Nic, zaraz skreślę kilka stów.

I napisał na urzędowej wizytówce:

„Będę bardzo zobowiązany, jeśli poświęci mi pan kilka chwil. Nie zajmę dużo czasu.”

Włożył wizytówkę do koperty, zakleił ja i wręczył lokajowi.

Został wprowadzony do poczekalni. Były tam trzy kobiety i mężczyzna. Japp usiadł i wziął stary egzemplarz „Puncha”.

Znowu pojawił się lokaj, przeszedł przez pokój i powiedział cicho:

— Jeżeli pan chwilę zaczeka, sir, to pan doktor będzie mógł się z panem zobaczyć, ale dziś rano jest bardzo zajęty.

Japp skinął głową, nie zależało mu na pośpiechu, raczej był zadowolony, że będzie musiał czekać. Dwie kobiety zaczęły rozmawiać. Najwyraźniej miały dobre zdanie o umiejętnościach doktora Bryanta. Pacjentów przybyło. Widać było, iż doktor Bryant dobrze prosperował.

„Uciula sobie niezły grosz — pomyślał Japp. — Nie wygląda na to, żeby musiał pożyczać; chociaż mógł oczywiście pożyczać dawniej. W każdym razie ma dobrą praktykę. Każdy najmniejszy skandal rozwaliby mu ją na kawałki. To najgorsza strona bycia lekarzem”.

W kwadrans później lokaj znów się pojawił i powiedział:

— Pan doktor może teraz pana przyjąć, sir.

Japp wszedł do gabinetu Bryanta. Był to pokój z dużym oknem, położony na tyłach domu.

Doktor siedział przy biurku. Wstał i podał detektywowi rękę.

Jego twarz o łagodnych rysach była zmęczona, ale nie wydawał się zaniepokojony wizytą inspektora.

— Czym mogę panu służyć, inspektorze? — zapytał siadając i wskazując Jappowi krzesło naprzeciw siebie.

— Po pierwsze, muszę pana prosić o wybaczenie, że przychodzę w godzinach przyjęć, ale nie zabiorę panu dużo czasu, sir.

— W porządku. Przypuszczam, że chodzi o tę śmierć w samolocie?

— Zgadza się, sir. Ciągłe jeszcze nad tym pracujemy.

— Są jakieś wyniki?

— Nie wiemy tyle, ile byśmy chcieli. Prawdę mówiąc, przyszedłem zadać panu kilka pytań dotyczących zastosowanej metody. Nie mogę zrozumieć tej całej historii z jadem węża.

— Nie jestem toksykologiem — rzekł doktor Bryant uśmiechając się. — To nie moja specjalność. Lepiej to wyjaśni wasz człowiek, Winterspoon.

— Ach, widzi pan, sprawa wygląda następująco. Winterspoon jest ekspertem — a pan wie, jacy są eksperci. Oni tak tłumaczą, że normalny człowiek nic nie zrozumie. Jednak, o ile ja się orientuję, w tym całym interesie tkwi coś z medycyny. Czy to prawda, że jad węża czasami wstrzykuje się w przypadkach epilepsji?

— Nie jestem też specjalistą od epilepsji — odparł doktor Bryant — ale słyszałem, że epilepsje leczono jadem kobry, i to ze znakomitymi rezultatami. Jednak, jak już powiedziałem, to nie moja specjalność.

— Tak, wiem... wiem. Ale naprawdę chodzi mi o to, że pan, będąc tam w samolocie, mógł zainteresować się tym problemem. Sądziłem, że pańska opinia będzie dla mnie pożyteczna. Nie bardzo chcę iść do eksperta, nie wiedząc, o co mam go zapytać.

Doktor Bryant uśmiechnął się.

— W tym, co pan mówi, inspektorze, coś jest. Morderstwo prawdopodobnie wpływa na każdego, kto się z nim zetknął... Przyznaję, że to mnie interesuje. Dość dużo rozmyślałem o tym.

— I do jakiego wniosku pan doszedł?

Doktor Bryant potrząsnął głową.

— To mnie zadziwia... wszystko wydaje mi się prawie... nierealne, jeśli tak to mogę określić. To zdumiewający sposób popełnienia zbrodni. Wydaje się, że była jedna szansa na sto, że nikt nie zobaczy mordercy. On musi być ryzykantem.

— Wielka prawda, sir.

— A także zdumiewający był wybór trucizny. W jaki sposób potencjalny morderca zdobył coś

takiego?

— Tak. to istotnie wydaje się nieprawdopodobne. Ja osobiście nie sądzę, aby nawet jeden człowiek na tysiąc słyszał o czymś takim, a co dopiero żeby miał w ręku podobną truciznę. Nawet pan. który przecież jest lekarzem — pan sam, jak sądzę, nigdy nie miał tego w ręku.

— Istotnie, nie ma wielu okazji, aby mieć z tym do czynienia. Mam przyjaciela, który zajmuje się takimi badaniami. W jego laboratorium znajdują się próbki wysuszonych jadów węży — na przykład kobry — ale nie pamiętam, aby była tam interesująca nas trucizna.

— Może pan mi pomoże... — Japp wyjął z kieszeni kawałek papieru i wręczył go doktorowi. — Winterspoon zapisał tu trzy nazwiska... i powiedział, że tam uzyskam informacje. Zna pan któregoś z tych ludzi?

— Znam trochę profesora Kennedy'ego. Heidlera znam dobrze; proszę się na mnie powołać, jestem przekonany, że zrobi dla mnie wszystko, co tylko będzie w jego mocy. Carmichael pracuje w Edynburgu. Osobiście go nie znam... Sądzę, że jego zakład prowadzi interesujące badania w tej dziedzinie.

— Dziękuję, sir. Jestem bardzo zobowiązany. Nie będę już panu zabierał więcej czasu.

Kiedy Japp wyszedł na Harley Street, uśmiechał się z zadowoleniem.

— Nie ma to jak zręczność — rzekł do siebie. — Wszystko można zdziałać zręcznością. Jestem pewien, że nawet nie domyślił się, o co mi chodzi. No, załatwione.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

## Trzy tropy

Kiedy Japp wrócił do Scotland Yardu, powiedziano mu, że czeka na niego *monsieur* Herkules Poirot. Japp serdecznie przywitał przyjaciela.

— *Monsieur* Poirot, co pana sprowadza? Ma pan jakieś nowiny?

— To ja przyszedłem zapytać cię o nowiny.

— Cały Herkules Poirot. No cóż, nie jest tego za wiele. Sprzedawca z Paryża jednoznacznie zidentyfikował tę dmuchawkę. Fournier wypruwał mi flaki na temat tego momentu psychologicznego. Wypytywałem stewardów do utraty tchu, ale oni ciągle upierają się, że nie było żadnego momentu psychologicznego. W czasie podróży nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

— To mogło się wydarzyć wtedy, kiedy oni byli w przedniej części samolotu.

— Wypytywałem też pasażerów. Wszyscy nie mogliby kłamać.

— W jednej z prowadzonych przeze mnie spraw wszyscy kłamali!

— Ty i te twoje sprawy! Mówiąc prawdę, Poirot, nie jestem zadowolony. Im więcej się w to zagłębiani, tym mniej rozumiem. Szef patrzy na mnie zimnym wzrokiem. Ale co ja mogę zrobić? Na szczęście jest to jedna z tych półzagranicznych spraw. Możemy ją przekazać Francuzom, do Paryża — a w Paryżu powiedzą, że to zrobił Anglik i że to nasza sprawa.

— A ty naprawdę wierzysz, że to zrobił Francuz?

— Szczerze mówiąc, nie. Archeolog raczej nie pasuje. Stale grzebie w ziemi, plecie głupstwa o tym, co się działo tysiące lat temu... A ja chciałbym wiedzieć, skąd oni to wiedzą? Kto im może zaprzeczyć? Twierdzą, że jakieś przegniłe koraliki mają pięć tysięcy trzysta dwadzieścia dwa lata. i kto powie, że tak nie jest? Tacy właśnie są — może kłamcy — chociaż wydaje się, że sami w to wierzą. W każdym razie to nieszkodliwe. Pewnego dnia był u mnie jakiś starszy facet, któremu ktoś ukradł skarabeusza... był w okropnym stanie... taki miły podstarzały typek, ale bezradny jak dziecko przy piersi. Nie, mówiąc między nami, nawet przez minutę nie podejrzewałem tych dwóch francuskich archeologów.

— Wobec tego kto według ciebie to zrobił?

— No... oczywiście jest jeszcze ten Clancy. On jest dziwny. Chodzi mruczając do siebie. Ma coś na sumieniu.

— Pewnie układa intrygę nowej książki.

— Może tak... ale może nic; i choć staram się ze wszystkich sił, nie mogę znaleźć żadnego motywu. Ciągłe myślę, że to CL 52 w czarnej książeczce oznacza lady Horbury. jednak nie mogę nic z niej wyciągnąć. Zapewniam cię, że to twarda sztuka.

Poirot uśmiechnął się do siebie. Japp kontynuował:

— Stewardzi... tak, nie mogłem znaleźć nic, co by ich łączyło z Giselle.

— A doktor Bryant?

— Myślę, że w tym wypadku jestem na tropie. Krążą o nim plotki. O nim i o jego pacjentce. Piękna kobieta... obrzydliwy mąż... bierze narkotyki czy coś takiego. I jeżeli nie będzie uważał, skreślą go z listy lekarskiej. To by się dość dobrze zgadzało z RT 362. Muszę dodać, że mam podejrzenia, skąd mógł zdobyć ten jad węża. Poszedłem do niego i prawie wyraźnie wysypał się. Jednak, jak do tej pory, to są tylko przypuszczenia, a nie fakty. W tej sprawie niełatwo o fakty. Ryder wydaje się uczciwy... jest chyba poza podejrzeniem... Powiedział, że pojechał do Paryża po pożyczkę, ale jej nie otrzymał. Podał nam nazwiska, adresy i wszystko się zgadza. Dowiedziałem się, że jego firma prawie splajtowała jakiś tydzień czy dwa tygodnie temu, ale teraz wydaje się, że się z tego wykaraskają. I znowu fiasko. Cała ta sprawa jest pokręcona.

— Nie ma spraw pokręconych.. Niezrozumiałe, tak — ale sprawy pokręcone są tylko wytworem niezorganizowanego umysłu.

— Możesz to nazwać, jak chcesz. Wynik i tak jest ten sam. Fournier też utknął. Myślę, że ty już sobie wszystko nagrałeś, ale wolałbyś nam o tym nie mówić!

— Kpisz sobie ze mnie. Niczego sobie nie nagrałem. Posuwam się krok po kroku, w sposób metodyczny i uporządkowany, ale przede mną jeszcze daleka droga.

— Bardzo mnie to cieszy. A teraz powiedz mi o tych metodycznych krokach.

Poirot uśmiechnął się.

— Zrobiłem sobie małe zestawienie. — Wyjął z kieszeni papier. — Zakładam, że morderstwo to czyn, który ma przynieść jakąś korzyść.

— Powtórz to jeszcze raz, wolniej.

— To nie jest skomplikowane.

— Może nie... ale w twoim wydaniu staje się skomplikowane.

— Nie, nie. to bardzo proste. Powiedzmy, że potrzebujesz pieniędzy. Otrzymasz je po śmierci ciotki. *Bien* — podejmujesz więc pewne działanie i... czyli zabijasz ciotkę. Osiągasz przez to cel: dziedziczysz jej pieniądze.

— Chciałbym mieć taką ciotkę — westchnął Japp.

— Wal dalej, już coś kapuję. Chcesz przez to powiedzieć, że wpieryw trzeba znaleźć motyw.

— Wolę mój sposób rozumowania. Został wykonany czyn, którym jest morderstwo — a jakie są teraz skutki tego czynu? Badając rezultaty powinniśmy otrzymać odpowiedź na naszą zagadkową sprawę. Wyniki zwykłego, prostego czynu bywają bardzo różne. Ten nasz specyficzny czyn wpłynął na los różnych ludzi. *Eh bien*, dzisiaj zbadałem — w trzy tygodnie po dokonaniu morderstwa — wyniki tego czynu w jedenastu różnych przypadkach.

Podniósł papier.

Japp pochylił się z zainteresowaniem i zaczął czytać:

„Panna Grey. Wynik — chwilowa poprawa. Wyższa pensja.

Pan Gale. Wynik — zły. Upadek praktyki.

Lady Horbury. Wynik — dobry. Jeśli ona jest CL 52.

Panna Kerr. Wynik — zły. Od śmierci Giselle stało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne, że lord Horbury otrzyma dowód niezbędny do przeprowadzenia rozwodu z żoną”.

— Hmm... — Japp przerwał przeglądanie zapisków. — Więc sądzisz, że ona jest ciągle jeszcze zakochana w jego lordowskiej mości? Ty zawsze wszędzie wieszysz sprawy sercowe.

Poirot uśmiechnął się. Japp znów pochylił się nad arkuszem papieru.

„Pan Clancy. Wynik — dobry. Spodziewa się zrobić pieniądze na książce opartej na tym morderstwie.

Dr Bryant. Wynik — dobry. Jeśli jest RT 362.

Pan Ryder. Wynik — dobry. Dzięki dopływowi gotówki za artykuł o morderstwie jego firma mogła przetrwać trudności. Również dobry, jeśli Ryder jest XVB 724.

*Monsieur Dupont*. Wynik — sytuacja bez zmian.

*Monsieur Jean Dupont*. Wynik — jak wyżej.

Mitchell. Wynik — sytuacja bez zmian.

Davis. Wynik — sytuacja bez zmian”.

— I myślisz, że to ci pomoże? — zapytał Japp sceptycznie. — Nie wydaje mi się, żeby pisanie: „Nie wiem. Nie wiem. Nie mogę nic o tym powiedzieć” mogło w czymkolwiek pomóc.

— Jednak daje to jasną klasyfikację — wyjaśnił Poirot. — W czterech wypadkach: pana Clancy’ego, panny Grey, pana Rydera i, mogę chyba powiedzieć, że lady Horbury — wynik jest dobry. W wypadku pana Gale’a i panny Kerr — wynik jest zły. W czterech wypadkach, o ile wiemy, nie ma żadnego wyniku, a w jednym, doktora Bryanta, albo nie ma żadnego wyniku, albo jest wyraźny zysk.

— A więc?... — zapytał Japp.

— A więc musimy kontynuować poszukiwania.

— Nie mając na czym się oprzeć — stwierdził ponuro Japp. — Prawdą jest, że tkwimy w zawieszeniu do czasu otrzymania informacji z Paryża. Chodzi mi o śledztwo w sprawie Giselle. Założę się, że ja osobiście wyciągnąłbym z tej pokojówki więcej, niż udało się Fournierowi.

— Wątpię, mój przyjacielu. Najbardziej interesującą rzeczą w tej sprawie jest osobowość zmarłej kobiety. Kobiety bez przyjaciół, bez rodziny, bez — jak to się mówi — życia osobistego. Kobiety, która była kiedyś młoda, kochała i cierpiała, a potem nagle silną ręką zatrzęsła okiennice i... wszystko się skończyło; nie ma fotografii, nie ma pamiątek ani żadnych świecidełek. Marie Morisot stała się Madame Giselle — lichwiarką.

— Myślisz, że wskazówka tkwi w jej przeszłości?

— Może.

— No cóż, przydałoby się nam coś takiego. W tej sprawie nie mamy żadnych śladów.

— Ależ nie, są.

— Oczywiście, dmuchawka...

— Nie, nie, nie dmuchawka.

— No dobrze, więc posłuchajmy, co masz w tej sprawie do powiedzenia.

Poirot uśmiechnął się.

— Nadam tym śladom nazwy, jak tytuły książek Clancy’ego: *Tajemnicza osa*. *Tajemnica bagażu pasażerów*. *Tajemnica drugiej łyżeczki do kawy*.

— Dostałeś fioła — powiedział łagodnie Japp i dodał: — O co ci chodzi z tą łyżeczką do kawy?

— Madame Giselle miała dwie łyżeczki do kawy na swoim spodeczku.

— Jak sądzę, oznacza to rychłe wesele.

— W tym wypadku — rzekł Poirot — oznaczało to jednak rychły pogrzeb.



# Rozdział dwudziesty drugi

## Jane przyjmuje nową pracę

Kiedy Norman Gale, Jane i Poirot po „incydencie z szantażem” spotkali się wieczorem na obiedzie, Norman odetchnął usłyszawszy, że jego usługi jako pana Robinsona nie będą dłużej potrzebne.

— Nasz Robinson już nie żyje — oświadczył Poirot. Podniósł kieliszek. — Wypijmy na jego cześć.

— RIP\* — rzekł Norman ze śmiechem.

— Co się wydarzyło? — zapytała Jane Poirota. Uśmiechnął się do niej.

— Dowiedziałem się, czego chciałem.

— Była powiązana z Giselle?

— Tak.

— To zupełnie jasno wyniknęło z naszej rozmowy — zauważył Norman.

— Ma się rozumieć — odparł Poirot. — Ale ja chciałem znać wszystkie szczegóły.

— I otrzymał je pan?

— Tak, otrzymałem.

Spojrzeli na niego pytająco, ale Poirot w prowokujący sposób rozpoczął dyskusję na temat zależności między karierą i życiem.

— Nie ma zbyt wielu ludzi, którym nie odpowiada ich praca. W większości ludzie, bez względu na to co mówią, wybierają zawody, jakich w skrytości ducha pożądamy. Często się słyszy, jak urzędnik w biurze mówi: „Powiniennem zostać odkrywcą, poszukiwać czegoś w dalekich krajach”. Ale możecie przekonać się, że czyta tylko na ten temat książki, a sam woli pozostać na bezpiecznym, średniokomfortowym stołku biurowym.

— Według pana — powiedziała Jane — moje pragnienie dalekich podróży nie jest szczerze, a prawdziwym powołaniem jest grzebanie w babskich głowach. Ale ja mówię panu, że to nieprawda.

Poirot uśmiechnął się do niej.

— Pani jest jeszcze młoda. Może pani próbować i tego, i tamtego, ale kiedy człowiek się ustatkuje,

robi to. co lubi.

— A przypuścmy, że chciałabym być bogata?

— Cóż, to już jest trudniejsze.

— Nie zgadzam się z panem — wtrącił Gale. — Ja jestem dentystą z przypadku, a nie z wyboru. Mój wuj był dentystą i chciał, żebym z nim pracował, ja jednak marzyłem o przygodach i podróżach po świecie. Rzuciłem więc stomatologię i pojechałem na farmę w Południowej Afryce. Jednak nie udało mi się: brakowało mi doświadczenia. Musiałem przyjąć ofertę starego i przyłączyć się do jego interesu.

— A teraz znów myśli pan o rzuceniu stomatologii i o wyjeździe do Kanady. Ma pan kompleks dominium!

— Tym razem mogę być do tego zmuszony.

— Ach, to doprawdy nie do wiary, jak często sytuacje zmuszają ludzi do robienia tego, co chcieliby naprawdę robić.

— Mnie nic nie zmusza do podróżowania — powiedziała Jane ze smutkiem. — Ale chciałabym to robić.

W owych czasach Południowa Afryka i Kanada były dominiami brytyjskimi. — *Eli hien*, natychmiast mogę złożyć pani ofertę. W następnym tygodniu jadę do Paryża. Jeżeli pani chce, może pani przyjąć posadę mojej sekretarki. Dam pani dobra, pensję.

Jane potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogę odejść od Antoine'a. To dobra praca.

— U mnie też jest dobra praca.

— Tak, ale tylko tymczasowa.

— Postaram się dla pani o inną posadę tego samego rodzaju.

— Dziękuję, ale nie sędzę, abym chciała ryzykować.

Poirot spojrział na nią i uśmiechnął się zagadkowo.

W trzy dni później Poirot odebrał telefon.

— *Monsieur* Poirot — mówiła Jane — czy ta praca jest jeszcze aktualna?

— Ależ tak. W poniedziałek wyjeżdżam do Paryża.

— Mówił pan poważnie? Mogę z panem pojechać?

— Tak. Ale co się stało, że zmieniła pani zdanie?

— Miałam awanturę z Antoine'cm. Mówiąc szczerze, straciłam równowagę przy pewnej klientce. Ona była... absolutnie... no, nie mogę mówić o tym przez telefon. Byłam bardzo zdenerwowana i zamiast lać ten mój słodki syrop, wyrzuciłam jej wprost to, co o niej myślę.

— Ach. te myśli o wielkich otwartych przestrzeniach...

— O czym pan mówi?

— Wtrąciłem tylko, że pani umysł zajęty był pewnym konkretnym problemem.

— To nie mój umysł, tylko mój język to chlapnął. Ale mi się podobało... Jej oczy przypominały gały tego jej obrzydliwego pekińczyka. Jakby miały za chwilę wyskoczyć z orbit. A teraz jestem, że tak powiem, wylana na łeb na szyję. Wydaje mi się, że muszę teraz znaleźć jakąś inną pracę... ale wpierw chciałabym pojechać do Paryża.

— Dobrze, załatwione. Po drodze przekażę pani wytyczne.

Poirot i jego nowa sekretarka nie lecieli samolotem, za co Jane była mu skrycie wdzięczna. Niemiłe doświadczenie z ostatniej podróży nadszarpięło jej nerwy. Nie chciała sobie przypominać tej bezwładnej postaci w zrudziałej czerni...

W drodze z Calais do Paryża mieli cały przedział dla siebie i Poirot poinformował Jane o swoich planach.

— Chciałbym w Paryżu zobaczyć się z kilkoma osobami. Wśród nich jest prawnik — mecenas Thibault. Także *monsieur* Fournier z Sûreté — ospały, ale inteligentny — oraz obaj Dupontowie, ojciec i syn. I tak, *mademoiselle* Jane, ja wezmę się za ojca, a pani pozostawię syna. Pani jest bardzo czarująca i atrakcyjna; spodziewam się, że *monsieur* Dupont pamięta panią z rozprawy śledczej.

— Widziałam się z nim po rozprawie — powiedziała Jane i lekko się zarumieniła.

— Doprawdy? I jak to się odbyło?

Jane zarumieniła się jeszcze bardziej i opisała ich spotkanie w Corner House.

— Wspaniale... coraz lepiej. Ach, miałem naprawdę dobry pomysł, zabierając panią ze sobą do Paryża. Teraz niech pani uważnie słucha, *mademoiselle* Jane. Jeśli to tylko możliwe, niech pani nie rozmawia o sprawie Giselle. Ale jeżeli Jean Dupont zacznie o tym mówić, to niech pani nie unika tego tematu. Byłoby dobrze gdyby, nie mówiąc wprost, uczyniła pani aluzję, że lady Horbury jest podejrzana o popełnienie tej zbrodni. Prawdę mówiąc, celem mojego wyjazdu do Paryża jest naradzić się z Fournierem, a szczególnie dowiedzieć się wszystkiego o powiązaniach lady Horbury

ze zmarłą.

— Biedna lady Horbury... Pan używa jej jako pretekstu!

— To jest typ kobiety, którego nie... *Eh bien*, niech chociaż raz będzie użyteczna.

Jane wahala się przez chwilę, wreszcie powiedziała:

— Pan nie podejrzewa młodego *monsieur* Duponta o popełnienie tej zbrodni, prawda?

— Nie, nie, nie... potrzebuję tylko informacji. — Rzucił jej ostre spojrzenie. — Panią interesuje... hm... ten młody człowiek? *Il a sex appeal!*

Roześmiała się na to określenie.

— Nie, ja bym go tak nie opisała. Jest zupełnie zwyczajny, ale bardzo miły.

— A zatem tak by go pani opisała... zupełnie zwyczajny?

— On jest zwyczajny. Myślę, że jest taki naturalny, ponieważ prowadzi prosty, miły, nieświatowy tryb życia.

— To prawda — przyznał Poirot. — Na przykład, nigdy nie miał nic do czynienia z zębami. Nigdy nie rozczarował go widok jakiegoś ogólnie uznanego bohatera, trzęsącego się ze strachu na fotelu dentystycznym.

Jane zaśmiała się.

— Nie sądzę, aby Norman miał wśród pacjentów jakichś ogólnie znanych bohaterów.

— Byłaby to wielka strata, gdyż wybiera się do Kanady.

— Teraz mówi o Nowej Zelandii. Myśli, że wolałabym tamtejszy klimat.

— W każdym razie jest patriotą. Nie zamierza opuszczać brytyjskich dominiów.

— Mam nadzieję — powiedziała Jane — że to nie będzie konieczne.

Rzuciła Poirotowi pytające spojrzenie.

— Mam nadzieję, że ma pani zaufanie do papy Poirota? No dobrze, zrobię co będę mógł, obiecuję to pani. Ale mam nieodparte wrażenie, *mademoiselle*, że gdzieś kryje się postać, która jeszcze nie pojawiła się w światłach rampy, postać, która nie zagrała jeszcze swojej roli...

Potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

— W tej całej sprawie, *mademoiselle*, tkwi jakiś nieznaną czynnik. Wszystko na to wskazuje...

W dwa dni po przyjeździe do Paryża *monsieur* Poirot i jego sekretarka jedli obiad w małej restauracyjce, a obaj panowie Dupontowie, ojciec i syn, byli gośćmi Poirota.

Starszy pan Dupont, jak stwierdziła Jane, był tak samo czarujący jak jego syn, ale nie miała wiele okazji, aby z nim rozmawiać. Od samego początku całkowicie zawładnął nim Poirot. Jane przekonała się, że Jean był teraz równie komunikatywny, jak wtedy w Londynie. Jego mile chłopięce zachowanie sprawiło jej teraz taką samą przyjemność jak i wówczas. Miał prostą, serdeczną naturę.

Niemniej, nawet wtedy gdy śmiała się i rozmawiała z nim, nadstawiała uszu, aby pochwycić fragmenty rozmowy obu starszych panów. Bardzo ją ciekawiło, jakie też informacje chciał zdobyć Poirot. Na tyle. Na ile mogła usłyszeć, rozmowa nigdy nie dotyczyła problemów związanych z morderstwem. Poirot precyzyjnie wyciągał od swego rozmówcy informacje dotyczące jego przeszłości i — jak się zdawało — interesował się szczerze i głęboko poszukiwaniami archeologicznymi w Persji. *Monsieur* Dupont był niezwykle zadowolony z wieczoru. Rzadko zdarzało się mieć tak inteligentnego i sympatycznego słuchacza. Nie było zupełnie pewne, czyj to był pomysł, żeby wysłać dwoje młodych do kina, ale kiedy poszli, Poirot przysunął krzesło bliżej stołu i zdawał się być gotów do okazania jeszcze większego zainteresowania odkryciami archeologicznymi.

— Rozumiem — rzekł. — To oczywiste, że w tych dzisiejszych ciężkich czasach istnieje olbrzymia niepewność finansowa i trudno zdobyć dostateczne fundusze. Pan przyjmuje prywatne dotacje?

*Monsieur* Dupont zaśmiał się.

— Drogi przyjacielu, praktycznie poszukujemy ich na klęczkach! Ale nasze badania są specyficzne i nie przyciągają wielu ludzi. Oni chcą spektakularnych wyników! Przede wszystkim lubią złoto, duże ilości złota! To zdumiewające, jak zwykli ludzie mało interesują się ceramiką. Garncarstwo, ceramika — cała romantyczna natura ludzka może zostać wyrażona w wyrobach garncarskich i ceramicznych. Poprzez wzór... strukturę...

*Monsieur* Dupont zapalił się. Zaklinał Poirota, aby nie sugerował się błędnymi wnioskami zawartymi w publikacji B. ... lub zbrodniczymi datowaniami podanymi przez L. ... i beznadziejnie nienaukowym warstwowaniem G. ... Poirot przyrzekł uroczyście, że nie będzie się sugerował żadną z publikacji tych uczonych autorów. Potem spytał:

— Czy darowizna w wysokości, na przykład, pięciuset funtów...?

*Monsieur* Dupont z podniecenia omal że nie spadł z krzesła.

— Pan... pan chce mi to ofiarować? Mnie? Żeby pomóc w naszych poszukiwaniach? Przecież to wspaniałe, nadzwyczajne! Byłaby to największa prywatna dotacja, jaką otrzymaliśmy.

Poirot chrząknął.

— Jednak muszę się przyznać, że... że chciałbym pana prosić o przysługę...

— Ach tak, *souvenir*, jakiś szczególny okaz ceramiki...

— Nie, nie, pan mnie źle zrozumiał — Poirot rzekł szybko, aby ubiec Duponta. — Moja sekretarka — ta młoda czarująca dziewczyna, którą widział pan dzisiaj wieczorem — czy ona mogłaby wziąć udział w pańskiej ekspedycji?

Przez moment wydawało się, że *monsieur* Dupont jest trochę zaszokowany.

— No — rzekł podkreślając węża — można by to zaaranżować. Muszę naradzić się z synem. Mają z nami jechać mój siostrzeniec i jego żona. Miała to być laka rodzinna wyprawa. Niemniej porozmawiam z Jeanem...

— *Mademoiselle* Gray bardzo interesuje się ceramiką. Odkrywanie przeszłości sprawia jej niezwykle satysfakcję. Przez całe życie śniła o wykopaliskach. A także świetnie ceruje skarpetki i przyszywa guziki.

— Niezwykle pożyteczne uzdolnienia.

— Prawda? A teraz niech mi pan opowie... o ceramice z Suzy...

*Monsieur* Dupont uszczęśliwiony wrócił do monologu na temat swoich teorii dotyczących okresu Suzy I i Suzy II.

Kiedy Poirot dotarł do hotelu, zobaczył w hallu Jane żegnającą się z Jeanem Dupontem.

Wsiadając do windy Poirot rzekł:

— Załatwiłem pani bardzo ciekawą pracę. Na wiosnę pojedzie pani razem z Dupontami do Persji.

Jane spojrzała na niego zdumiona.

— Czy pan zupełnie oszalał?

— Jeżeli otrzyma pani taką ofertę, powinna ją pani przyjąć z zachwytem.

— Z pewnością nie pojedę do Persji. Pozostanę w Muswell Hill albo pojedę do Nowej Zelandii z Normanem.

Poirot nieznacznie do niej mrugnął.

— Moje drogie dziecko — powiedział — do marca jest jeszcze parę miesięcy. Wyrazić zachwyty to nie znaczy jeszcze kupić bilet. Z tą samą myślą mówiłem o mojej dotacji — jednak jeszcze nie podpisałem czeku! A przy okazji, muszę rano kupić książkę o bliskowschodniej prehistorycznej ceramice. Powiedziałem, że pani się tym bardzo interesuje.

Jane westchnęła.

— Być pańską sekretarką to żadna synekura, prawda? Coś jeszcze?

— Tak. Powiedziałem, że pani świetnie ceruje skarpetki i przyszywa guziki.

— Czy może jutro mam też i to zademonstrować?

— Może byłoby lepiej — rzeki Poirot — gdyby uwierzyli mi na słowo!

# Rozdział dwudziesty trzeci

## Anne Morisot

Następnego dnia o wpół do jedenastej przed południem melancholijny *monsieur* Fournier wszedł do pokoju Poirota i serdecznie przywitał się z małym Belgiem.

Jego zachowanie było bardziej ożywione niż zwykle.

— *Monsieur* — rzekł — jest coś, o czym chciałbym panu powiedzieć. Jak sądzę, zrozumiałem znaczenie pańskiej uwagi o znalezieniu dmuchawki.

— Ach! — twarz Poirota rozjaśniła się.

— Tak — mówił dalej *monsieur* Fournier, siadając na krześle. — Intensywnie rozmyślałem nad tym, co pan powiedział. Ciągle sobie powtarzałem: „To niemożliwe, aby zbrodnia została popełniona w sposób, w jaki nam się wydaje.” I w końcu... w końcu dostrzegłem związek między tymi moimi rozważaniami i pańskimi słowami o znalezieniu dmuchawki.

Poirot słuchał uważnie, lecz nic nie powiedział.

— Tamtego dnia w Londynie rzekł pan: „Dlaczego znaleziono tę dmuchawkę, kiedy można ją było tak łatwo wyrzucić przez otwór wentylacyjny?” I teraz myślę, że mam na to odpowiedź. Dmuchawkę znaleźliśmy, ponieważ morderca chciał, żeby ją znaleziono.

— Brawo! — rzekł Poirot.

— To właśnie miał pan na myśli? A więc dobrze pomyślałem i zrobiłem następny krok. Zadałem sobie pytanie: „Dlaczego morderca chciał, żeby znaleziono dmuchawkę?” odpowiedziałem sobie: „Ponieważ dmuchawka nie została użyta!”

— Brawo! Brawo! Dokładnie mój sposób rozumowania.

— Powiedziałem więc sobie tak: zatruta strzałka — tak, dmuchawka — nie. A zatem użyto czegoś innego w celu wysłania w powietrze strzałki — użyto czegoś takiego, co mężczyzna lub kobieta mogli wsadzić do ust bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Przypomniałem sobie jak pan uparcie nalegał, aby sporządzić kompletną listę przedmiotów znalezionych przy pasażerach i w ich bagażach. Dwa przedmioty szczególnie przyciągnęły moją uwagę: lady Horbury miała dwie cygarniczki, a na stoliczku przed Dupontami leżało kilka kurdyjskich fajek.

*Monsieur* Fournier przerwał. Patrzył na Poirota, lecz ten milczał.

— Te przedmioty mogły zostać przyłożone do ust w sposób naturalny, bez zwracania



czyjejkolwiek uwagi... Mam rację, czy nie?

Poirot wahał się, a następnie powiedział:

— Jest pan na właściwym tropie, ale musi pan pójść jeszcze dalej; niech pan nie zapomina o osie.

— O osie? — Fournier wytrzeszczył oczy. — Nic, teraz nie rozumiem pana. Nie mam pojęcia, do czego pasuje ta osa.

— Nie wie pan? Ale jest tak, że ja... Przerwał mu dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę.

— Halo... Ach, dzień dobry. Tak, to ja. Herkules Poirot — i powiedział półgłosem do Poumiera: — To Thibault...

— Tak, tak, rzeczywiście... Bardzo dobrze. A pan? *Monsieur* Fournier? W porządku. Tak, przyszedł. I właśnie jest u mnie.

Zakrywając mikrofon rzekł do Fourniera:

— Próbowałem pana znaleźć w Sûreté. Powiedzieli mi, że poszedł pan do mnie. Lepiej niech pan sam z nim pomówi. Wydaje się podniecony.

Fournier wziął słuchawkę.

— Halo, tak, mówi Fournier... Co?... Co?... Doprawdy, czy to możliwe?... Tak, istotnie... Tak... Tak, jestem pewien, że się zgodzi... Natychmiast przyjdziemy.

Odłożył słuchawkę na widełki i spojrzał na Poirota.

— Jest córka. Córka Madame Giselle.

— Co?

— Tak, przyjechała po spadek.

— Skąd przyjechała?

— Z Ameryki, jak zrozumiałem. Thibault poprosił ją, aby wróciła do niego o wpół do dwunastej. Sugerował, że powinniśmy do niego przyjść.

— To zupełnie oczywiste. Natychmiast idziemy... Zostawię tylko wiadomość dla *mademoiselle* Grey.

I napisał:

„Rozwój wypadków zmusił mnie do wyjścia. Jeżeli zatelefonuje lub przyjdzie Jean Dupont, proszę

być dla niego bardzo miłą. Proszę z nim rozmawiać o guzikach i skarpetkach, ale jeszcze nie o prehistorycznej ceramice. Pani mu się podoba — ale on jest inteligentny!

*Au revoir.*

Herkules Poirot.”

— Teraz już możemy iść, drogi przyjacielu — powiedział wstając. — Właśnie na to czekałem, na wejście na scenę postaci z cienia, postaci, o której istnieniu byłem przez cały czas przekonany. A teraz — już wkrótce — ja powinienem wszystko rozumieć. Mecenas Thibault bardzo serdecznie przyjął Poirota i Fourniera.

Po wymianie komplementów, uprzejmych pytań i odpowiedzi, prawnik zabrał się do omawiania sprawy związanej ze spadkiem Madame Giselle.

— Wczoraj otrzymałem list — rzekł — i dzisiaj rano osobiście odwiedziła mnie ta młoda dama.

— W jakim wieku jest *mademoiselle* Morisot?

— *Mademoiselle* Morisot... lub raczej pani Richards — takie teraz nazwisko nosi po mężu — ma dokładnie dwadzieścia cztery lata.

— Przyniosła ze sobą dokumenty potwierdzające jej tożsamość? — zapytał Fournier.

— Naturalnie. Naturalnie.

Otworzył akta, które leżały przy jego łokciu.

— Tu mamy wszystko.

Była tam kopia świadectwa ślubu zawartego pomiędzy George'em Lemanem, kawalerem, a Marie Morisot — oboje z Quebecu. Dokument pochodził z roku 1910. Było również świadectwo urodzenia Anne Morisot Leman. A poza tym inne różne dokumenty i papiery.

— To rzuca też światło na wcześniejsze życie Madame Giselle — rzekł Fournier.

Thibault skinął głową.

— Na tyle, na ile ja mogę to sobie razem poskładać — powiedział — Marie Morisot, gdy spotkała tego Lemana, była opiekunką w żłobku lub szwaczką.

— O ile mogę się domyślić, ten człowiek nie był nic wart i porzucił ją wkrótce po ślubie, a ona wróciła do panińskiego nazwiska.

— Dziecko oddano do Instytutu Maryjnego w Quebecu i tam się wychowywało. Marie Morisot,

albo Leman, wkrótce potem opuściła Quebec — wydaje mi się, że w towarzystwie jakiegoś mężczyzny — i przyjechała do Francji. Od czasu do czasu posyłała pieniądze, a pewnego razu wysłała dużą sumę w gotówce, którą córka miała otrzymać po ukończeniu dwudziestu jeden lat. W tym czasie Marie Morisot, która bez wątpienia prowadziła bardzo nieuregulowany tryb życia, doszła do wniosku, że najlepiej zerwać wszystkie kontakty osobiste.

— W jaki sposób dziewczyna dowiedziała się, że odziedziczyła fortunę?

— Daliśmy dyskretne ogłoszenia w różnych czasopismach. Wydaje się, że jedno z nich zwróciło uwagę przełożonej Instytutu Maryjnego i ona napisała, czy też zatelegrafowała do pani Richards, która właśnie przebywała w Europie, ale wtedy była już w drodze do Stanów.

— Kim jest Richards?

— Wydaje mi się, że to Amerykanin lub Kanadyjczyk z Detroit. Z zawodu jest producentem instrumentów chirurgicznych.

— Nie towarzyszył żonie?

— Nie, ciągle jest w Ameryce.

— Czy pani Richards rzuciła jakieś światło na możliwe przyczyny śmierci matki?

Prawnik zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie o matce nie wie. Wprawdzie kiedyś słyszała, jak przełożona wspomniała nazwisko panińskie matki, ale nie pamiętała go.

— Wygląda na to — powiedział Fournier — że jej pojawienie się na scenie niewiele nam pomoże w rozwiązaniu problemu morderstwa. Nie, muszę przyznać, że nigdy nie miałem takiej nadziei. Obecnie jestem na innym tropie. Moje dochodzenie zawęziło się do trzech osób.

— Czterech — wtrącił Poirot.

— Dlaczego czterech?

— To nie ja twierdzę, że są to cztery osoby, tylko z pańskiej teorii wynika, że nie można ograniczać się do trzech osób. — Uczynił nagły ruch rękoma. — Dwie cygarniczki, kurdyjskie fajki i flet. Niech pan nie zapomina o flecie, mój przyjacielu.

Fournier wydał okrzyk, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i starszy urzędnik wymamrotał:

— Ta pani wróciła.

— Ach — rzekł Thibault. — Teraz sami zobaczycie dziedziczkę. Proszę wejść, *madame*. Pozwoli pani, że jej przedstawię *monsieur* Fourniera z Sûreté, który zajmuje się w tym kraju śledztwem w sprawie śmierci pani matki, a to *monsieur* Herkules Poirot. Jego nazwisko jest być może pani znane.

Pan Poirot jest tak uprzejmy i pomaga nam. A to *madame* Richards.

Córka Giselle była ciemną, szykowną młodą kobietą. Ubrana była bardzo elegancko, lecz nie przesadnie.

Wyciągała po kolei rękę do każdego z mężczyzn mrucząc słowa powitania.

— Obawiam się, panowie, że w tej sprawie nie okazuję uczuć, jakie przystają córce. Przez całe życie byłam sierotą.

Na pytania Poumiera mówiła chętnie i z wdzięcznością o *Mère* Angelique, przełożonej Instytutu Maryjnego.

— Ona zawsze była dla mnie ucieleśnieniem dobroci.

— Kiedy pani opuściła Instytut, *madame*?

— Kiedy ukończyłam osiemnaście lat, *monsieur*. Zaczęłam zarabiać na życie. Przez pewien czas byłam manikiurzystką. Pracowałam też w zakładzie krawieckim. Mojego męża spotkałam w Nicei, właśnie wracał do Stanów. Potem przyjechał w sprawach urzędowych do Holandii i miesiąc temu wzięliśmy ślub w Rotterdamie. Niestety, musiał wrócić do Kanady. Ja zostałam... ale teraz jestem w drodze do niego.

Anne Richards mówiła biegle po francusku. Wyraźnie bardziej była Francuzką niż Angielką.

— W jaki sposób dowiedziała się pani o tragedii?

— Przeczytałam o tym oczywiście w gazetach, ale nie wiedziałam... To znaczy nie zdawałam sobie sprawy... że ofiarą jest moja matka. Potem otrzymałam w Paryżu telegram od *Mère* Angelique, w którym podała adres mecenasa Thibaulta i przypomniała mi nazwisko panięskie matki.

Fournier skinął głową w zamyśleniu.

Rozmawiali jeszcze na ten temat, ale wydawało się, że pani Richards niewiele im może pomóc w wykryciu mordercy. Nie wiedziała, jakie życie prowadziła jej matka ani czym się zajmowała.

Po otrzymaniu nazwy hotelu, w którym się zatrzymała, Poirot i Fournier pożegnali się z nią.

— Jest pan rozczarowany, *mon vieux* — zauważył Fournier. — Roił pan sobie w głowie jakieś nadzieje związane z tą dziewczyną? Podejrzał pan, że mogła być oszustką? A może, w istocie, nadal jeszcze podejrzewa pan ją o oszustwo?

Poirot potrząsnął głową zniechęcony.

— Nie... Nie podejrzewałem, że jest oszustką. Dowody tożsamości wyglądają na wystarczająco prawdziwe... Chociaż to dziwne, ale wydaje mi się, że już ją kiedyś widziałem, a może kogoś mi przypomina...

— Przypomina panu zmarłą...? — podsunął Fournier z powątpiewaniem. — Chyba nie.

— Nie... To nie to... Chciałbym sobie przypomnieć, co to było. Jestem pewien, że ta twarz kogoś mi przypomina...

Fournier patrzył na niego z zaciekawieniem.

— Myślę, że pana zawsze będzie intrygowała ta zaginiona córka. — Naturalnie — odparł Poirot i uniósł lekko brwi. — Ze wszystkich ludzi, którzy mogli albo nie mogli skorzystać na śmierci Giselle, ta młoda kobieta skorzystała bardzo wyraźnie, i do tego w żywej gotówce.

— To prawda... ale do czego to nas prowadzi?

Poirot milczał przez chwilę. Podążał za tokiem własnych myśli. Wreszcie rzekł:

— Mój przyjacielu... dziewczyna otrzymała bardzo dużą fortunę. Czy zwrócił pan uwagę, że od samego początku rozważałem możliwość, iż ona jest w to wciągnięta? W samolocie były trzy kobiety. Jedna z nich, panna Venetia Kerr, pochodzi z dobrej, znanej rodziny. Ale pozostałe dwie? Od chwili, gdy Elise Grandier podsunęła mi myśl, że ojciec dziecka Madame Giselle był Anglikiem, ciągle myślałem, że nie jest wykluczone, iż jedna z tych dwóch kobiet mogła być jej córką. Obie były w odpowiednim wieku. Lady Horbury była chórzystką, jej rodzina nie była zbyt znana, a ona używała nazwiska scenicznego. Panna Jane Grey, jak mi kiedyś powiedziała, również wychowywała się w sierocińcu.

— Ach! — wykrzyknął Francuz. — Więc to tymi drogami podążał pański umysł? Nasz przyjaciel Japp powiedziałby, że jest pan zbyt pomysłowy, że ma pan zbyt dużą fantazję.

— To prawda, że on zawsze oskarża mnie, iż wszystko umyślnie gmatwam.

— No widzi pan?

— Tak, ale mówiąc szczerze, to nieprawda — zawsze postępuję w najprostszym sposobie, w najprostszym jaki tylko można sobie wyobrazić! Nigdy nie zaprzeczam oczywistym faktom.

— Jednak jest pan rozczarowany? Spodziewał się pan więcej po Anne Morisot?

Właśnie weszli do hotelu Poirota. Leżący na kontuarze recepcjonisty przedmiot przypomniawszy Fournierowi coś, co Poirot powiedział wcześniej tego przedpołudnia.

— Nie podziękowałem panu — rzekł — za to, że zwrócił mi pan uwagę na błąd, jaki popełniłem. Zwróciłem uwagę na dwie cygarniczki lady Horbury i kurdyjskie fajki Dupontów. Ale to nie do wybaczenia, że zapomniałem o flecie doktora Bryanta, chociaż tak naprawdę nie podejrzewam go...

— Nie podejrzewa pan?

— Nie. Nie, on według mnie nie jest człowiekiem...

Przerwał. Mężczyzna, który stał przy recepcji i rozmawiał z urzędnikiem, odwrócił się, jego ręka spoczywała na futerale fletu. Spojrzał na Poirota i po jego twarzy wyraźnie widać było, że go poznaje.

Poirot postąpił do przodu. Fournier dyskretnie się cofnął. Na tyle, żeby Bryant nie mógł go widzieć.

— Doktorze Bryant — rzekł Poirot kłaniając się.

— *Monsieur* Poirot.

Podali sobie ręce. Kobieta, która stała blisko Bryanta, odeszła w kierunku windy. Poirot rzucił za nią krótkie spojrzenie.

— *Monsieur le docteur*, czy pańscy pacjenci dadzą sobie chwilowo radę bez pana?

Doktor Bryant uśmiechnął się melancholijnym, atrakcyjnym uśmiechem, który Poirot tak dobrze pamiętał. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale dziwnie spokojnego.

— Teraz nie mam pacjentów — powiedział.

Następnie podchodząc do małego stoliczka zapytał:

— Szklaneczkę sherry, *monsieur* Poirot, albo może jakiś inny aperitif?

— Dziękuję.

Usiedli i doktor zamówił. Potem powiedział wolno:

— Nie, teraz już nie mam pacjentów. Przeszedłem na emeryturę.

— Nagła decyzja?

— Nie taka bardzo nagła.

Milczeli, kiedy stawiano przed nimi drinki. Gdy kelner odszedł, doktor Bryant podniósł szklanekę i rzekł:

— To była decyzja konieczna. Zrezygnowałem z własnej woli, zanim zdążyli mnie skreślić z listy lekarskiej. — Mówił dalej słabym, jakby zduszonym głosem: — Każdy ma w życiu taki punkt zwrotny, *monsieur* Poirot. Staje się na rozdrożu i trzeba podjąć decyzję. Bardzo lubię swój zawód i to jest naprawdę smutne... bardzo smutne, że muszę się z nim pożegnać. Ale są jeszcze inne wymagania... Jest jeszcze, *monsieur* Poirot, coś takiego jak szczęście ludzkiej istoty.

Poirot milczał. Czekał.

— Jest pewna kobieta — moja pacjentka — którą bardzo kocham. Ma męża, który jest przyczyną

jej nie kończącej się rozpaczy. Narkotyzuje się. Gdyby pan był lekarzem, wiedziałby pan, co to znaczy. Ona nie posiada własnych pieniędzy, a zatem nie może go porzucić... Przez jakiś czas nie mogłem się zdecydować, ale teraz podjąłem już decyzję. Teraz jadę z nią do Kenii rozpocząć nowe życie. Mam nadzieję, że zazna trochę szczęścia. Tak długo cierpiała...

Znowu zamilkł, a potem powiedział wesoło:

— Mówię panu o tym, *monsieur* Poirot, ponieważ wszystko i tak będzie publiczną tajemnicą i im wcześniej pan się dowie, tym lepiej.

— Rozumiem — rzekł Poirot i po chwili dodał: — Jak widzę zabiera pan ze sobą swój flet?

Doktor Bryant uśmiechnął się.

— Mój flet, *monsieur* Poirot, jest moim najstarszym towarzyszem... Kiedy wszystko inne zawodzi, pozostaje muzyka.

Z czułością pogładził futerał, a potem wstał z ukłonem.

Poirot również się podniósł.

— Życzę panu wszystkiego najlepszego, *monsieur le docteur*, panu i tej pańskiej *madame* — rzekł Poirot.

Kiedy Fournier dołączył do przyjaciela, Poirot stał przy biurku zamawiając międzynarodową rozmowę z Quebeciem.

# Rozdział dwudziesty czwarty

## Złamany paznokieć

— I co teraz? — zawołał Fournier. — Ciągłe jeszcze zajmuje się pan tą dziewczyną, która dziedziczy? Zdecydowanie ma pan na tym punkcie jakąś *idée fixe*.

— Wcale nie, wcale nie — obruszył się Poirot. — Ale we wszystkim musi panować porządek i metoda. Trzeba skończyć z jedną rzeczą, zanim przejdzie się do następnej.

Rozejrzał się dookoła.

— O, jest już *mademoiselle* Jane. Przypuszczam, że możecie rozpocząć *déjeuner*\*. Jak tylko będę mógł, zaraz do was dołączę.

Fournier wyraził zgodę i poszedł wraz z Jane do jadalni.

— I co? — spytała z zaciekawioną Jane. — Jaka ona jest?

— Jest więcej niż średniego wzrostu, ciemna, o matowej cerze i wystającej brodzie...

— Mówi pan tak, jakby cytował opis w paszporcie — powiedziała Jane. — Mnie opisano w paszporcie po prostu obraźliwie. Opis został skomponowany z rzeczy normalnych lub średnich. Nos średni; usta normalne (a jak można opisać usta?); czoło normalne; broda normalna.

— Ale oczy niezwykle — rzeki Fournier.

— Nawet one są szare, co nie jest zbyt interesującym kolorem.

— A kto pani powiedział, *mademoiselle*, że nie jest to interesujący kolor? — zapytał Francuz, pochylając się nad stołem.

Jane zaśmiała się.

— Widzę, że pan biegle włada angielskim — powiedziała. — Proszę mi coś więcej powiedzieć o Anne Morisot... jest ładna?

— *Assez bien*\* — odparł ostrożnie Fournier. — Nie nazywa się Morisot. Nazywa się Richards. Jest mężatką.

— Był z nią także mąż?

— Nie.



— Jestem ciekawa, dlaczego go nie było?

— Ponieważ jest w Kanadzie albo w Stanach. Wyjaśnił jej pewne szczegóły z życia Anne. Prawie pod koniec relacji przyłączył się do nich Poirot. Wydawał się być przygnębiony.

— No i co, *mon cher*? — zapytał Fournier.

— Rozmawiałem z przełożoną... z samą *Młre* Angelique. Rozmowy przez Atlantyk są takie romantyczne. Rozmawia się z kimś przez prawie pół globu.

— Równie romantyczne jest przesyłanie fotografii przy pomocy telegrafu. Nauka to największy romans, jaki istnieje. Ale o czym to pan mówił?

— Rozmawiałem z *Młre* Angelique. Dokładnie potwierdziła to, co powiedziała nam pani Richards o okolicznościach, w jakich wychowywała się w Instytucie Maryjnym. Mówiła zupełnie otwarcie o matce, która opuściła Quebec z Francuzem zajmującym się handlem winem. Odczuła wtedy ulgę, że dziecko dłużej nie będzie pod wpływem matki. Według niej Giselle staczała się ku upadkowi. Pieniądze nadchodziły regularnie, ale Giselle nigdy nie sugerowała, że chce się widzieć z córką.

— A zatem wasza rozmowa była powtórzeniem tego, co usłyszeliśmy dziś rano.

— Praktycznie tak... tylko była bardziej szczegółowa. Anne Morisot opuściła Instytut przed sześcioma laty, została manikiurzystką, potem podjęła pracę jako pokojówka, a wreszcie w tej samej roli wyjechała z Quebecu do Europy. Nie pisywała zbyt często, ale *Młre* Angelique miała od niej wiadomość dwa razy do roku. Kiedy przeczytała w gazecie sprawozdanie z rozprawy śledczej, uświadomiła sobie, że Marie Morisot była najprawdopodobniej właśnie tą Marie Morisot, która mieszkała w Quebecu.

— A co mówiła o jej mężu? — zapytał Fournier. — Teraz wiemy na pewno, że Giselle była mężatką i mąż mógł też być zainteresowany jej śmiercią.

— Również o tym pomyślałem. I to była jedna z przyczyn mojego telefonu. George Leman, ten mąż-lajdak, został zabity w pierwszych dniach wojny.

Przerwał i nagle zauważył:

— Co to ja właśnie powiedziałem... nie ta moja ostatnia uwaga, ale coś przedtem? Mam wrażenie, że... nie zdając sobie z tego sprawy... powiedziałem coś ważnego.

Fournier możliwie wiernie odtworzył wypowiedź Poirota, ale mały Belg potrząsnął z niezadowoleniem głową.

— Nic... nic... to nie to. No, nieważne... Zwrócił się do Jane i zaczął z nią rozmawiać.

Pod koniec posiłku zaproponował wypicie kawy w salonie.

Jane zgodziła się i wyciągnęła rękę po torebkę i rękawiczki, które leżały na stole. Podnosząc je skrzywiła się lekko.

— Co się stało, *mademoiselle*?

— Och, nic takiego — zaśmiała się Jane. — Złamałam tylko paznokiec. Muszę go spiłować.

Poirot nagle usiadł.

— *Nom d'un nom d'un nom*\* — powiedział cicho. Spojrzeli na niego zaskoczeni.

— *Monsieur* Poirot? — wykrzyknęła Jane. — Co się stało?

— Przypomniałem sobie — odpowiedział Poirot — dlaczego twarz Anne Morisot wydała mi się znajoma. Widziałem ją już przedtem... w samolocie, w czasie tego lotu, kiedy wydarzyło się morderstwo. Lady Horbury wezwała ją, aby przyniosła pilnik do paznokci. Anne Morisot była pokojówką lady Horbury.

# Rozdział dwudziesty piąty

## „Boję się”

Ta nagła rewelacja wywarła prawie piorunujący efekt na trójce siedzącej przy stoliku. Otwierało to całkowicie nowy aspekt sprawy.

Okazało się, że Anne Morisot, osoba do tej pory nie związana z tą tragedią, była obecna na scenie zbrodni. Minęło parę minut, zanim uporządkowali myśli.

Poirot gwałtownie zamachał rękoma. Jego oczy były zamknięte, twarz wykrzywiona w wyrazie udręki.

— Chwileczkę... chwileczkę — błagał ich. — Muszę pomyśleć, zobaczyć, stwierdzić, jaki to będzie miało wpływ na moje hipotezy w tej sprawie. Muszę wrócić myślami do tej chwili. Muszę przypomnieć sobie... Tysiąckrotnie przeklinam mój żołądek. Przejmowałem się tylko wewnętrznymi sensacjami!

— A zatem ona leciała tym samolotem — rzekł Fournier. — Rozumiem. Zaczynam rozumieć.

— Przypominam sobie — wtrąciła Jane. — Wysoka, ciemna dziewczyna. — Przymknęła oczy, wysilając pamięć. — Lady Horbury nazwała ją Madeleine.

— Tak, właśnie, Madeleine.

— Lady Horbury posłała ją na koniec samolotu, żeby przyniosła tę... szkarłatną kosmetyczkę.

— Myśli pan — powiedział Fournier — że ta dziewczyna przechodziła obok fotela, w którym siedziała jej matka?

— Zgadza się.

— Motyw — rzekł Fournier. Westchnął głęboko.

— I okazja... Tak, wszystko tu mamy.

Następnie, z porywcznością niezwykłą jego melancholijnej naturze, wciągnął rękę i uderzył nią silnie w stół.

— Ale, *parbleu!* — krzyknął. — Dlaczego nikt przedtem o tym nie wspomniał? Dlaczego nie włączono jej w krąg osób podejrzanych?

— Mówiłem już panu, przyjacielu, mówiłem — rzekł Poirot. — Mój nieszczęsny żołądek.

— Tak, tak, to rozumiałe. Ale przecież były tam i inne żołądki... nie dotknięte chorobą... stewardzi, inni pasażerowie.

— Sądzę — powiedziała Jane — że może dlatego, iż miało to miejsce dużo wcześniej. Samolot zaledwie opuścił Le Bourget; Giselle żyła i dobrze się czuła jeszcze godzinę potem. Wydawało się, że zabito ją dużo później.

— To ciekawe — powiedział Fournier w zamyśleniu.

— Czy mogło nastąpić opóźnienie w działaniu tej trucizny? Takie rzeczy zdarzają się...

Poirot jęknął i oparł głowę na rękach.

— Muszę pomyśleć, muszę pomyśleć... Czy to możliwe, że przez cały czas wszystkie moje hipotezy były mylne?

— *Mon vieux* — rzekł Fournier — takie rzeczy się zdarzają. Mnie też się zdarzają. I możliwe, że zdarzają się też i panu. Czasami trzeba schować dumę i zrewidować wnioski.

— To prawda — zgodził się Poirot. — Możliwe, że przez cały czas przywiązywałem zbyt wielkie znaczenie do jednej szczególnej rzeczy. Spodziewałem się odkryć pewien ślad. Znalazłem go i zbudowałem na nim całą moją sprawę. Ale jeżeli myliłem się od samego początku... jeżeli ten szczególny przedmiot znalazł się w tym miejscu przypadkowo, wówczas... tak, przyznam, że się myliłem. — Nie może pan przymknąć oczu na znaczenie tego, co się stało — zauważył Fournier. — Motyw i okazja... Czego pan jeszcze chce więcej?

— Niczego. Musi być tak, jak pan mówi. Opóźniony efekt trucizny... to istotnie nadzwyczajne, praktycznie biorąc niemożliwe. Jeżeli jednak chodzi o trucizny, to zdarzają się rzeczy niemożliwe. Trzeba się liczyć z możliwością idiosynkrazji...

Urwał.

— Musimy ustalić plan działania — powiedział Fournier. — W tym momencie, jak sądzę, byłoby niemądrze rozbudzać podejrzenia Anne Morisot. Na razie nie zdaje sobie sprawy, że została przez pana rozpoznana. Jej zeznania zostały zaakceptowane. Wiemy, w jakim hotelu się zatrzymała, i w każdej chwili możemy się z nią skontaktować za pośrednictwem Thibaulta. Formalności można zawsze na trochę odłożyć. Mamy ustalone dwa punkty: okazję i motyw. Musimy jeszcze dowieść, że Anne Morisot posiadała jad węża. Istnieje również problem tego Amerykanina, który kupił dmuchawkę i przekupił Julesa Perrota. To mógł być jej mąż — Richards. Na to, że jest w Kanadzie, mamy tylko jej słowo.

— Tak jak pan powiedział, mąż... Tak, mąż. Ach, chwileczkę... Chwileczkę!

Poirot przycisnął dłonie do skroni.

— Coś tu się nie zgadza... — mruczał. — nie używam swoich małych szarych komórek w sposób uporządkowany i metodyczny. Nie, za szybko wyciągam wnioski, być może myślę o tym, o czym

morderca chce, abym myślał. Nie, znowu źle. Jeżeli moja pierwotna myśl była dobra, to nie powinienem myśleć...

Znowu przerwał.

— Proszę mi wybaczyć — wtrąciła Jane.

Poirot milczał przez kilka chwil, potem odjął dłonie od skroni, wyprostował się na krześle, ułożył prosto dwa widelce i poprawił solniczkę, których ułożenie obrażało jego zamiłowanie do symetrii.

— Zastanówmy się — powiedział. — Anne Morisot jest albo nie jest winna popełnienia tej zbrodni. Jeżeli jest niewinna, to dlaczego kłamała? Dlaczego ukrywała fakt, że była pokojówką lady Horbury?

— Właśnie, dlaczego? — zapytał Fournier.

— A zatem stwierdzamy, że Anne Morisot jest winna, ponieważ kłamała. Ale poczekajcie. Przypuśćmy, że moje pierwotne przypuszczenia były słuszne. Czy wtedy te przypuszczenia pasują do winy Anne Morisot lub do kłamstwa Anne Morisot? Tak... tak... mogą — pod jednym warunkiem. Jednak w takim wypadku — i jeśli ta przesłanka jest słuszna — wtedy Anne Morisot nie powinna w ogóle znajdować się na pokładzie tego samolotu.

Patrzyli na niego z uprzejmym, a może raczej z powierzchownym zainteresowaniem.

Fournier myślał:

„Teraz widzę, co ten Anglik, Japp, miał na myśli. Staruszek istotnie piętrzy trudności. Próbuje maksymalnie skomplikować tę prostą już teraz sprawę. Nie może zaakceptować prostego wyjaśnienia bez udawania, że to zgadza się z jego z góry przyjętymi założeniami.”

Jane myślała:

„Nic nie rozumiem z tego, co on mówi... Dlaczego ta dziewczyna nie mogła być w samolocie? Przecież musiała jeździć wszędzie tam, gdzie zabierała ją lady Horbury... Myślę, że on naprawdę trochę jest szarlatanem...”

Nagle Poirot gwałtownie odetchnął.

— Oczywiście — rzekł. — To możliwe, i nie powinno być problemów z wyjaśnieniem tego. Wstał.

— I co teraz, przyjacielu? — zapytał Fournier.

— Następny telefon — odparł Poirot.

— Przez Atlantyk do Quebecu?

— Tym razem tylko do Londynu.

— Do Scotland Yardu?

— Nie, do domu lorda Horbury przy Grosvenor Square. Jeśli będę miał szczęście, to zastanę lady Horbury w domu.

— Bądź ostrożny, mój przyjacielu. Jeżeli Anne Morisot zacznie podejrzewać, że o nią wpytujemy, wtedy nie pomoże to naszej sprawie. Przede wszystkim nie możemy jej zaalarmować.

— Nie bój się. Będę dyskretny. Zadam jej tylko jedno małe pytanie. — Uśmiechnął się. — Może pan iść ze mną, jeśli pan chce.

— Nie, nie.

— Ależ tak. Nalegam.

Obaj mężczyźni wstali, pozostawiając Jane samą w salonie.

Upłynęło trochę czasu, zanim uzyskano połączenie, ale Poirot miał szczęście. Lady Horbury jadła właśnie w domu lunch.

— Dobrze. Proszę powiedzieć lady Horbury, że z Paryża dzwoni Herkules Poirot. — Potem nastąpiła przerwa. — To pani, lady Horbury? Nie, nie, wszystko w porządku. Zapewniam panią, wszystko w porządku. Absolutnie nie chodzi o taką sprawę. Chcę, żeby mi pani odpowiedziała na pytanie. Tak... Kiedy pani latała samolotem z Paryża do Anglii, pani służąca zwykle towarzyszyła pani czy też podróżowała pociągiem?... Pociągiem... A wtedy, tego szczególnego dnia... Rozumiem... Jest pani pewna? Ach, ona odeszła ze służby. Rozumiem. Opuściła panią nagle, dając natychmiastowe wymówienie. *Mais oui*, podła niewdzięczność. Tak, to prawda. Ludzie z jej klasy są zawsze niewdzięczni. Tak, tak, zgadza się. Nie, nie, nie potrzebuje się pani martwić. *Au revoir*. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Fourniera, jego zielone oczy błyszczały.

— Posłuchaj, przyjacielu, służąca lady Horbury zwykle podróżowała pociągiem i statkiem. Wtedy, gdy zamordowano Giselle, lady Horbury w ostatniej chwili zdecydowała, że Madeleine poleci z nią samolotem.

Wziął Francuza pod ramię.

— Szybko, przyjacielu — rzekł. — Musimy jechać do hotelu. Jeżeli moja mała hipoteza jest słuszna — a myślę, że jest — to nie mamy chwili do stracenia.

Fournier rzucił mu badawcze spojrzenie. Ale zanim zdążył sformułować pytanie, Poirot odwrócił się i pchnął obrotowe drzwi, wychodząc z hotelu.

Fournier pospieszył za nim.

— Ale ja nie rozumiem. Co to wszystko ma znaczyć?

Szwajcar hotelowy trzymał już otwarte drzwi taksówki. Poirot wskoczył do środka i podał adres hotelu Anne Morisot.

— Proszę jechać szybko, szybko! Fournier wsiadł tuż za nim.

— Co pana ugryzło? Skąd ten nagły pośpiech?

— Ponieważ, jeśli, jak mówiłem, mam rację, to Anne Morisot jest w ogromnym niebezpieczeństwie.

— Tak pan sądzi?

Fournier nie mógł pozbyć się sceptycznego tonu.

— Boję się — rzekł Poirot. — Boję. *Mon Dieu* — jak ta taksówka się wlecze!

W tym momencie taksówka jechała dobrze ponad czterdzieści mil na godzinę i dzięki wyczuciu kierowcy z cudowną zręcznością pokonywała nich uliczny.

— Tak się wlecze, że za chwilę pewnie będziemy mieli wypadek — stwierdził sucho Fournier. — A tam bez słowa wyjaśnienia zostawiliśmy samą *mademoiselle* Grey, która czeka na nasz powrót od telefonu. To nie jest zbyt uprzejmie!

— Uprzejmość czy nieuprzejmość... co to ma za znaczenie wobec sprawy życia lub śmierci?

— Życia lub śmierci? — Fournier wzruszył ramionami.

Pomyślał:

„Wszystko idzie dobrze, a ten uparty szaleniec może popsuć cały interes. Jeżeli teraz ta dziewczyna dowie się, że jesteśmy na jej tropie...”

Powiedział przekonującym tonem:

— Proszę posłuchać, *monsieur* Poirot, niech pan będzie rozsądny. Musimy być ostrożni.

— Pan nie rozumie — rzekł Poirot. — Ja się boję... boję...

Taksówka z szarpnięciem zahamowała przed hotelem, w którym zatrzymała się Anne Morisot.

Poirot wyskoczył i prawie zderzył się z młodym mężczyzną wychodzącym z hotelu.

Poirot zamarł na chwilę patrząc w ślad za nim.

— Następną twarz, którą znam... Ale skąd? Ach, przypominam sobie... to aktor, Raymond Barraclough.

I ruszył do wejścia hotelu. Fournier położył rękę na jego ramieniu.

— *Monsieur* Poirot, mam dla pana respekt, podziwiam pańskie metody... ale jestem głęboko przekonany, że nie można podejmować pochopnych akcji. Tu, we Francji, ja jestem odpowiedzialny za prowadzenie tej sprawy...

Poirot przerwał mu:

— Rozumiem pański niepokój, ale niech się pan nie boi. Nie podejmę żadnej pochopnej akcji. Przeprowadzimy tylko małe śledztwo w recepcji. Jeżeli *madame* Richards jest tutaj i nic się z nią nie dzieje, wtedy będziemy mogli razem przedyskutować dalsze postępowanie. Chyba nic pan nie ma przeciwko temu?

— Nie, nie, oczywiście, że nie.

— Dobrze.

Poirot pchnął obrotowe drzwi i podszedł do biurka recepcjonisty. Fournier pospieszył za nim.

— Jest tu, jak sądzę, zameldowana pani Richards — powiedział.

— Nie, *monsieur*. Była, ale dziś opuściła hotel.

— Opuściła hotel? — zapytał Fournier.

— Tak, *monsieur*.

— Kiedy?

Urządник spojrzął na zegar.

— Trochę więcej niż pół godziny temu.

— Czy opuściła hotel niespodziewanie? Dokąd się udała?

Urządnik słysząc te pytania zeszywniał i miał ochotę odmówić odpowiedzi, ale kiedy Fournier pokazał swoją legitymację służbową, zmienił ton i stał się bardzo chętny do pomocy.

Nie, nie zostawiła adresu. Sądzi, że jej wyjazd był wynikiem nagłej zmiany planów. Z początku powiedziała, że zostanie chyba przez tydzień.

Nastąpiły dalsze pytania. Przywołano portiera, bagażowych i windziarzy.

Według portiera przyszedł odwiedzić ją jakiś dżentelmen. Zjawił się, kiedy była nieobecna, ale czekał na jej powrót i potem razem zjedli lunch. Co to był za dżentelmen? Jakiś Amerykanin... prawdziwy Amerykanin. Wydawała się zaskoczona jego widokiem. Po lunchu ta pani poleciła, aby znieść jej walizki na dół i wsadzić do taksówki.



Dokąd pojechała? Na Gare du Nord — przynajmniej takie polecenie wydała kierowcy taksówki. Czy Amerykanin pojechał z nią? Nie, pojechała sama.

— Gare du Nord — powtórzył Fournier. — To oznacza, że chyba wyjechała do Anglii. Pociąg o drugiej. Ale może to być tylko kamuflaż. Musimy zatelefonować do Boulogne i spróbować odnaleźć te taksówkę.

Wydawało się, że obawy Poirota podzielał już i Fournier.

Szybko i sprawnie wprawił w ruch maszynę sprawiedliwości.

Była piąta po południu, gdy Jane siedząc z książką w salonie hotelowym ujrzała podchodzącego do niej Poirota.

Otworzyła usta w zamiarze uczynienia mu wymówki, lecz nic nie powiedziała. Coś w jego twarzy powstrzymało ją od tego.

— Co to ma znaczyć? — zapytała. — Czy coś się stało?

Poirot ujął ją za obie ręce.

— Życie jest straszne, *mademoiselle* — powiedział.

Coś ją przeraziło w tonie jego głosu.

— Co się stało? — zapytała znowu. Poirot odparł wolno:

— Kiedy pociąg przybył do Boulogne, w przedziale pierwszej klasy znaleziono kobietę... nie żyła.

Krew odpłynęła z twarzy Jane.

— Anne Morisot?

— Anne Morisot. Trzymała w ręce miłą niebieską szklaną buteleczkę po kwasie solnym.

— Och! — wykrzyknęła Jane. — Samobójstwo?

Poirot przez chwilę nie odpowiadał. Następnie rzekł jak człowiek, który bardzo ostrożnie dobiera słowa:

— Tak, policja myśli, że to było samobójstwo.

— A pan?

Poirot wymownym gestem wolno rozłożył ręce.

— A co innego można pomyśleć?

— Zabiła się... Dlaczego? Ponieważ miała wyrzuty sumienia... albo może bała się, że zostanie odkryta jej tajemnica?

Poirot potrząsnął głową.

— Życie może okazać się przerażające — rzekł. — Trzeba mieć dużo odwagi.

— Żeby się zabić? Tak, sądzę, że tak.

— A także żeby żyć — rzekł Poirot — potrzebna jest odwaga.

# Rozdział dwudziesty szósty

## Poobiednie przemówienie

Następnego dnia Poirot opuścił Paryż, zostawiając Jane z listą poleceń do wykonania. Większa część z nich wydawała jej się bez znaczenia, ale wypełniała je, jak umiała najlepiej. Spotkała się z Jeanem Dupontem dwa razy. Wspomnił o ekspedycji, w której miała wziąć udział, i Jane nie miała odwagi wyprowadzić go z błędu bez zezwolenia Poirota, więc jak tylko mogła, unikała rozmowy na ten temat.

Pięć dni później otrzymała telegram wzywający ją do Anglii.

Norman spotkał się z nią na dworcu Victoria i rozmawiali o ostatnich wydarzeniach.

Wokół samobójstwa nie robiono rozgłosu. W gazetach była tylko wzmianka, że pani Richards z Kanady popełniła samobójstwo w ekspresie Paryż–Boulogne, i to wszystko. Nie wspomniano, że miało ono związek z morderstwem w samolocie.

Norman i Jane byli bardzo radośni. Mieli nadzieję, że już skończyły się ich kłopoty. Jednak Norman nie był takim optymistą jak Jane.

— Mogli posądzić ją o to, że zabiła matkę, ale teraz, kiedy nie żyje, prawdopodobnie nie będą ciągnęli tej sprawy. Ale jeśli nie oczyszczą nas publicznie, to nie wiem, co nam biedakom z tego przyjdzie! W opinii publicznej nadal będziemy podejrzani!

To samo powiedział Poirotowi, którego spotkał w kilka dni później na Piccadilly.

Poirot uśmiechnął się.

— Jest pan taki sam jak wszyscy. Pan myśli, że jestem staruszką, który niczego nie może zdziałać! Proszę posłuchać, niech pan przyjdzie jutro do mnie na obiad. Będzie Japp, a także nasz przyjaciel Clancy. Mam coś do powiedzenia i sądzę, że będzie to interesujące.

Obiad minął przyjemnie. Japp zachowywał się po ojcowsku i był w dobrym humorze, Norman zdradzał zaciekawienie, a mały Clancy był prawie tak samo podniecony jak wtedy, gdy rozpoznał ten fatalny kolec. Poirot sprawiał wrażenie, że stara się zaimponować małemu pisarzowi.

Po obiedzie, kiedy wypito kawę, Poirot odchrząknął nieco zakłopotany, ale świadom ważności swojej osoby.

— Przyjaciele — rzekł — obecny tu pan Clancy wyraził zainteresowanie tym, co nazwał „metodami Watsona”. *C'est ça, n'est-ce pas?*\* Proponuję, jeśli to was nie znudzi... — przerwał znacząco, a Norman i Japp odpowiedzieli szybko: „Nie, nie” i „To bardzo interesujące” — dać wam

małe résumé metod, jakimi posługiwałem się w tej sprawie. Przerwał i zajrzał do jakichś notatek. Japp wyszeptał do Normana:

— Ma o sobie wysokie mniemanie, prawda? Zarozumiałstwo — to drugie nazwisko tego małego.

Poirot spojrział na niego z wyrzutem i powiedział: „Ahmm!”

Trzy twarze zwróciły się ku niemu z uprzejmym zainteresowaniem. Rozpoczął:

— Zacznę, moi drodzy, od początku. Wrócę aż do fatalnego lotu samolotem *Prometeusz* z Paryża do Croydon. Podam wam dokładnie moje ówczesne myśli i wrażenia, a potem przejdę do tego, jak potwierdziłem lub zmieniłem moje podejrzenia w świetle przyszłych wydarzeń.

Kiedy tuż przed wylądowaniem w Croydon doktor Bryant został wezwany przez stewarda i poszedł zbadać ciało, udałem się w ślad za nim. Miałem przeczucie, że — kto wie? — może tam być coś dla mnie. Mam, być może, zbyt profesjonalne podejście do każdej śmierci. Tego rodzaju sprawy dzielą się w moim umyśle na dwie kategorie: śmierci, które są moją sprawą i śmierci, które nie są moją sprawą — i chociaż ta druga kategoria jest o wiele liczniejsza, niemniej, kiedy tylko mam kontakt ze śmiercią, czuję się jak pies: podnoszę głowę i węszę trop.

Doktor Bryant potwierdził obawy stewarda, że kobieta nie żyje. Jeżeli chodzi o przyczynę śmierci, to naturalnie nie mógł jej określić bez szczegółowych badań. W tej materii padła sugestia — uczyniona przez *monsieur* Jeana Duponta — że śmierć nastąpiła na skutek szoku wywołanego użądleniem osy. Hipotezą swą przyciągnął naszą uwagę do osy, którą krótko przedtem zabił.

Była to bardzo prawdopodobna teoria — taka, jaką łatwo można było zaakceptować. Na szyi kobiety widniał ślad bardzo przypominający znak po użądleniu, i faktem też było, że w samolocie latała osa.

Jednak w tym momencie na szczęście spojrzałem w dół i zauważyłem to, co na pierwszy rzut oka można było wziąć za inną martwą osę. W rzeczywistości był to kolec z kawałkami postrzępionego żółtego i czarnego jedwabiu.

W tym momencie podszedł pan Clancy i stwierdził, że to jest kolec wystrzelony z dmuchawki, i że w taki sposób posługują się dmuchawką niektóre plemiona. Potem, jak wszyscy wiecie, znaleziono tę dmuchawkę.

Zanim wylądowaliśmy w Croydon, w mojej głowie powstało kilka różnych teorii. A kiedy znalazłem się na twardym gruncie, mój umysł zaczął pracować z normalną jasnością.

— Dalej, Poirot — powiedział z uśmiechem Japp. — Odrzuć fałszywą skromność.

Poirot posłał mu spojrzenie i mówił:

— Jedna myśl narzucała mi się bardzo wyraźnie (jak zresztą i wszystkim innym): że to bezczelność popełnić morderstwo w taki sposób i że — o dziwo — nikt tego nie zauważył!

Zainteresowały mnie też dwa inne problemy. Jednym była łatwość odnalezienia dmuchawki. Potem, po rozprawie śledczej, powiedziałem do mojego przyjaciela, Jappa, że dziwi mnie dlaczego, u licha, morderca nie pozbył się tej dmuchawki wyrzucając ją przez otwór wentylacyjny w oknie. Trudno byłoby ustalić, do kogo należał kolec lub skąd pochodził, ale dmuchawka, na której ciągle jeszcze znajdował się kawałeczek nalepki z ceną, to zupełnie inna sprawa.

Jakie więc było tego wyjaśnienie? Oczywiście — morderca wyraźnie chciał, aby znaleziono tę dmuchawkę.

Ale dlaczego? Tylko jedna odpowiedź wydawała się logiczna. Jeżeli zostaną znalezione strzałka i dmuchawka, to oczywiście wszyscy pomyślą, że morderstwo zostało popełnione strzałką wydmuchniętą z tej właśnie dmuchawki. Zatem w rzeczywistości morderstwo nie zostało popełnione w ten sposób.

Z drugiej strony, jak wykazały badania medyczne, przyczyną śmierci była bez wątpienia zatruta strzałka. Zamknąłem oczy i zadałem sobie pytanie — jakim to najpewniejszym i najwygodniejszym przedmiotem można wbić kolec w tętnicę szyjną? I odpowiedź nadeszła natychmiast — tym przedmiotem jest ręka.

To wyjaśniało, dlaczego znalazła się dmuchawka. Dmuchawka bez wapienia sugerowała dystans. Jeżeli moja teoria była słuszna, to osoba, która zabiła Madame Giselle, podeszła do jej stolika i nachyliła się nad nią.

A była taka osoba? Tak, nawet dwie. Dwóch stewardów. Każdy z nich mógł podejść do Madame Giselle, pochylić się ku niej, i nikt nie widziałby w tym nic niezwykłego.

Był ktoś jeszcze?

Tak, pan Clancy. Był on jedyną osobą w kabinie, która przeszła tuż obok fotela Madame Giselle. Pamiętałem, że to on pierwszy zwrócił uwagę na dmuchawkę i teorię z kolcem.

Pan Clancy zerwał się na równe nogi.

— Protestuję! — wykrzyknął. — Protestuję. To bezczelność.

— Niech pan siada — polecił Poirot. — Jeszcze nie skończyłem. Muszę przedstawić po kolei wszystkie kroki, które doprowadziły mnie do ostatecznego wyniku.

Mamy więc trzy osoby, które można podejrzewać: Mitchell, Davis i pan Clancy. Żaden z nich z początku nie wydawał się mordercą, ale należało jeszcze przeprowadzić długie śledztwo.

Teraz mój umysł zwrócił się w kierunku tego, co sugerowała osa. Po pierwsze, nikt jej nie zauważył do chwili podawania kawy. Było to bardzo zastanawiające. Skonstruowałem więc pewną teorię dokonania zbrodni. Morderca przedstawił światu dwa różne rozwiązania tragedii. Pierwsze było bardzo proste: Madame Giselle została użądlnona przez osę i zmarła na skutek ataku serca. Powodzenie powyższego rozwiązania zależało od tego, czy uda się mordercy odzyskać kolec. Japp i ja zgodziliśmy się, że można to było zrobić dość łatwo — pod warunkiem, że nic nie wzbudzi

podejrzeń. Oryginalne czereśniowoczerwone strzępki jedwabiu zostały zastąpione takimi, które sugerowały barwy osy.

A zatem nasz morderca zbliżył się do stolika ofiary, wbił kolec i wypuścił osę!

Trucizna jest tak silna, że śmierć nastąpiła prawie natychmiast. Gdyby Giselle zdążyła krzyknąć, prawdopodobnie nie usłyszano by jej ze względu na hałas panujący w samolocie. Ale jeśli nawet usłyszano by ją, wtedy bzycząca w powietrzu osa uzasadniałaby ten okrzyk. Biedna kobieta została użądlnona.

A zatem, jak już powiedziałem, był to plan numer jeden. Ale przypuśćmy — co rzeczywiście się wydarzyło — że zatruty kolec zostanie znaleziony, zanim morderca zdąży go zabrać. Oznaczałoby to wsadzenie kija w mrowisko. Nie można przyjąć teorii o śmierci naturalnej. Zamiast więc pozbywać się dmuchawki przez okno, morderca wtyka ją w takie miejsce, gdzie będzie znaleziona w czasie przeszukiwania samolotu i wtedy natychmiast stanie się jasne, że dmuchawka jest narzędziem zbrodni. Stworzono wrażenie, że morderstwo zostało popełnione z większego dystansu, i kiedy zostanie dowiedzione, do kogo należy dmuchawka, wówczas całe podejrzenie zwróci się w uprzednio wybranym kierunku.

Miałem już zatem moją teorię popełnienia zbrodni i miałem trzech podejrzanych, a nawet być może czterech — czwartym był *monsieur* Jean Dupont, który przedstawił hipotezę o śmierci przez użądlenie osy i który siedział po drugiej stronie przejścia, tak blisko Giselle, że nawet bez zwrócenia uwagi mógł się wychylić ze swojego fotela. Jednak, z drugiej strony, nie przypuszczałem, aby był zdolny podjąć takie ryzyko.

Skoncentrowałem się na kwestii osy. Gdyby morderca przyniósł ze sobą osę do samolotu i wypuścił ją w psychologicznym momencie, musiałby mieć przy sobie coś w rodzaju małego pudełeczka, w którym mógłby ją ukryć.

Z tego też powodu tak bardzo interesowałem się zawartością bagaży pasażerów i tym, co mieli przy sobie.

I oto teraz zostałem zaskoczony. Znalazłem mianowicie przedmiot, którego szukałem — ale wydawało mi się, że u zupełnie niewłaściwej osoby. Było to puste małe pudełeczko od zapalek „Bryant & May”, w kieszeni Normana Gale’a. A wszyscy zeznali, że pan Gale nie chodził do tyłu samolotu. Poszedł tylko do toalety i wrócił na swój fotel. Niemniej, chociaż wydawało się to niemożliwe, istniał sposób, w jaki Norman Gale mógł popełnić morderstwo — wykazała to zawartość jego dyplomacji.

— Mojej dyplomacji? — zdziwił się Norman Gale. Patrzył na Poirota rozbawiony i zdumiony. — Przecież ja nawet nie pamiętam, co w niej było.

Poirot uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

— Proszę, chwile zaczekać. Zaraz do tego dojdę. Teraz przede wszystkim podaję wam moje pierwotne teorie.

Miałem teraz cztery osoby podejrzane o popełnienie zbrodni — biorąc pod uwagę możliwości: dwóch stewardów. Clancy i Gale.

Teraz spojrziałem na sprawę pod innym kątem — motywu. Jeżeli motyw będzie się zgadzał z możliwościami — no, to wtedy będę miał już mordercę! Ale, niestety, niczego takiego nie mogłem znaleźć. Mój przyjaciel, Japp, oskarżył mnie, że lubię gmatwać sprawy. Przeciwnie, uważam, że podszedłem do problemu motywu najprościej, jak tylko można. Kto skorzystałby na śmierci Madame Giselle? Wyraźnie skorzystałaby na tym jej nieznana córka, bowiem dziedziczyła fortunę. Były też jeszcze inne osoby, które znajdowały się w mocy Madame Giselle lub mogły być w mocy Madame Giselle. Teraz wszystko polegało na eliminacji. Spośród pasażerów samolotu jedna osoba z pewnością była związana z Giselle. Tą osobą była lady Horbury.

W wypadku lady Horbury motyw rysował się zupełnie wyraźnie.

Poprzedniej nocy odwiedziła Giselle w jej domu w Paryżu. Była zdesperowana, miała przyjaciela, młodego aktora, który łatwo mógł udawać Amerykanina i kupić dmuchawkę — i mógł też przekupić urzędnika Universal Airlines, aby sprzedał Giselle bilet na lot o dwunastej.

Tak więc miałem problem w dwóch częściach. Nie wiedziałem, jak lady Horbury mogła popełnić morderstwo; nie rozumiałem też, jaki mieli motyw stewardzi, pan Clancy, albo Gale. Zawsze brałem pod uwagę nieznaną córkę Giselle i spadek. Gdyby ktoś z tych czterech podejrzanych był żonaty — gdyby tak było, to czy Anne Morisot mogłaby być żoną któregoś z nich? Jeżeli jej ojciec był Anglikiem, dziewczyna mogła wychowywać się w Anglii. Wkrótce wyeliminowałem żonę Mitchella — pochodziła z dobrej starej rodziny z Dorset. Davis zalecał się do dziewczyny, której ojciec i matka jeszcze żyli. Pan Clancy nie był żonaty. Pan Gale był wyraźnie zakochany w Jane Grey.

Gdy dowiedziałem się z rozmowy, że panna Grey wychowała się w sierocińcu pod Dublinem, bardzo szczegółowo prześledziłem jej przodków. Okazało się, że panna Grey nie była córką Madame Giselle.

Sporządziłem sobie tabelę wyników. Stewardzi ani nie zyskiwali, ani nie tracili w wyniku śmierci Giselle, jedynie Mitchell wyraźnie cierpiał na skutek doznanego szoku. Pan Clancy planował napisanie książki na ten temat i w ten sposób miał nadzieję dużo zarobi. Pan Gale w szybkim tempie tracił pacjentów. Niewiele mi to zestawienie pomogło. A jednak, w tym czasie byłem przekonany, że pan Gale jest mordercą — z powodu pustego pudełka od zapalek, które znalazłem w jego dyplomatce. Ale on najwyraźniej stracił, a nie zyskał przez śmierć Giselle. Tylko że tego rodzaju wrażenie mogło być fałszywe...

Zdecydowałem się podtrzymywać z nim znajomość. Z mojego doświadczenia wynika, że niejedni już wsypał się podczas niewinnej rozmowy... Wszyscy ludzie wykazują przemożną potrzebę mówienia o sobie.

Próbowałem zdobyć zaufanie pana Gale'a. Udawałem, że zwierzam mu się, i nawet poprosiłem go o pomoc. Przekonałem go, aby mi pomógł udając szantażystę lady Horbury. I wtedy właśnie popełnił swój pierwszy błąd. Zasugerowałem mu niewielkie przebranie. Jemu zaś przyszło do głowy, aby odegrać swoją rolę w dziwnym i śmiesznym stroju! Cała rzecz była farszą. Nikt, jestem tego pewien,

nie mógłby grać tak źle, jak on to próbował robić. Jaki więc był tego powód? Ponieważ, wiedząc o własnej winie, nie chciał ukazywać siebie jako dobrego aktora. Jednak kiedy poprawiłem ten jego błazeński makijaż, wtedy wyszły na jaw jego zdolności aktorskie. Zagrał swoją rolę wspaniale i lady Horbury nie rozpoznała go. Byłem przekonany, że mógł się przebrać w Paryżu za Amerykanina i zagrać niezbędną rolę na *Prometeuszu*. Od tej pory zacząłem naprawdę martwić się o *mademoiselle* Jane. Albo tkwiła w tym razem z Gale'em, albo była zupełnie niewinna. A jeśli była niewinna, to mogła stać się jego ofiarą. Mogła pewnego dnia odkryć, że została żoną mordercy.

Aby zapobiec temu pospiesznemu małżeństwu, zabrałem *mademoiselle* w roli mojej sekretarki do Paryża.

I wtedy, gdy tam byliśmy, pojawiła się zaginiona dziedziczka, aby odebrać spadek. Prześladowało mnie jej podobieństwo do kogoś, ale nie mogłem przypomnieć sobie do kogo. A gdy wreszcie przypomniałam sobie — było już za późno...

Z początku odkrycie faktu, że Anne Morisot była w samolocie i nie przyznała się do tego, zdawał się obalać wszystkie moje teorie. Teraz ona wydawała się winna.

Lecz jeśli była winna, musiała mieć współnika — człowieka, który kupił dmuchawkę i przekupił Julesa Perrota. Kto był tym człowiekiem? Może przypadkiem jej mąż?

I wtedy nagle dostrzegłem właściwe rozwiązanie. Prawdziwe — gdyby tylko udało się zweryfikować jeden punkt.

Jeżeli moje rozwiązanie było słuszne, wówczas Anne Morisot nie powinna była znajdować się na pokładzie tego samolotu.

Zatelefonowałem do lady Horbury i otrzymałem odpowiedź. Służąca podróżowała samolotem, ponieważ tak w ostatniej chwili zarządziła jej pani.

Przerwał.

Pan Clancy powiedział:

— Hm... ale... obawiam się, że niezupełnie rozumiem.

— Kiedy pan przestał uważać mnie za mordercę? — zapytał Norman.

Poirot odwrócił się ku niemu.

— Nigdy nie przestałem. Pan jest mordercą... Chwileczkę... wszystko wyjaśnię. Przez ostatni tydzień Japp i ja byliśmy bardzo zajęci. To prawda, że został pan dentystą, aby sprawić przyjemność wujowi — Johnowi Gale'owi. Przyjął pan jego nazwisko wtedy, gdy stał się pan jego współnikiem. Ale pan jest synem siostry Johna Gale'a, a nie brata. Pańskie prawdziwe nazwisko brzmi Richards. I właśnie jako Richards spotkał pan ubiegłej zimy w Nicei, kiedy była tam ze swoją panią, dziewczynę nazywającą się Anne Morisot. Historia, jaką nam opowiedziała, była prawdziwa, jeśli chodzi o fakty z jej dzieciństwa. Ale dalsza część została starannie spreparowana przez pana. Ona знаła nazwisko



panieńskie matki. Gdy Anne była w Monte Carlo, pokazano jej matkę i wspomniano nazwisko. Wówczas zdał pan sobie sprawę, że dzięki temu można zdobyć fortunę. Odpowiadało to pańskiej naturze hazardzisty. I właśnie od Anne Morisot dowiedział się pan o powiązaniach lady Horbury z Giselle. W pańskiej głowie powstał plan popełnienia morderstwa. Giselle miała zostać tak zamordowana, aby podejrzenie padło na lady Horbury. Pańskie plany dojrzały i ostatecznie zaowocowały. Przekupił pan urzędnika z Universal Airlines, aby Giselle poleciała tym samym lotem co lady Horbury. Anne Morisot powiedziała panu, że pojedzie do Anglii pociągiem — nigdy nie spodziewał się pan, że będzie w tym samolocie, co zresztą w wielkim stopniu wystawiało na niebezpieczeństwo realizację pańskich planów. Gdyby się kiedyś dowiedziano, że dziedziczka, córka Giselle, znajdowała się w samolocie, podejrzenie naturalnie natychmiast padłoby na nią. Zgodnie z pańskim planem, w czasie popełnienia zbrodni Anne miała podróżować pociągiem lub statkiem. Następnie zamierzał pan się z nią ożenić.

Dziewczyna była wtedy w panu zakochana. Ale pan chciał pieniędzy, a nie dziewczyny.

Potem nastąpiły inne wydarzenia komplikujące pańskie plany. W Le Pinet spotkał pan *mademoiselle* Jane Grey i zakochał się w niej do szaleństwa.

To uczucie sprowokowało pana do rozegrania jeszcze bardziej niebezpiecznej *gry*. Postanowił pan zdobyć dwie rzeczy, pieniądze i dziewczynę, którą pan kochał.

Popełnił pan morderstwo dla pieniędzy i nie zamierzał zrezygnować z owoców zbrodni. Przestraszył pan Anne Morisot, że jeśli pospieszy się z wyjawieniem swej tożsamości, wówczas z pewnością zostanie podejrzana o popełnienie morderstwa. Zamiast tego namówił ją pan, aby poprosiła o kilka dni urlopu i pojechaliście razem do Rotterdamu, gdzie wzięliście ślub.

W odpowiedniej chwili pouczył ją pan, w jaki sposób ma zgłosić pretensje do pieniędzy. Miała nie wspominać, że była zatrudniona jako pokojówka. Wprost przeciwnie, kazał jej pan twierdzić, że w chwili popełnienia morderstwa była wraz z mężem za granicą.

Niestety, data planowanego przez Anne Morisot przyjazdu do Paryża i upomnienia się o spadek zbiegła się z moim przyjazdem do Paryża razem z panną Grey. To całkowicie nie pasowało do pańskich planów. Ponieważ albo *mademoiselle* Jane, albo ja mogliśmy rozpoznać w Anne Morisot Madeleine, która była pokojówką lady Horbury.

Próbował pan w tym czasie porozumieć się z nią, ale nie udało się panu. Wobec tego przyjechał pan osobiście do Paryża i stwierdził, że poszła już do adwokata. Po powrocie powiedziała panu, że spotkała się tam ze mną. Sytuacja stawała się niebezpieczna i postanowił pan szybko działać.

Pan nie chciał, aby pańska żona cieszyła się zbyt długo nowo zdobytym majątkiem. Natychmiast po ceremonii ślubnej sporządziliście testamenty, w których każde z was zapisało wszystko drugiemu! Bardzo wzruszające.

Wydaje mi się, że pragnął pan prowadzić łatwe życie. Wyjechałby pan do Kanady pozornie dlatego, że pańska praktyka splajtowała. Tam rozpocząłby pan życie od nowa, jako Richards, a potem żona dołączyłaby do pana. Niemniej sędzę, że pańska żona zmarłaby, pozostawiając fortunę

swojemu wyraźnie niepokieszonemu owdowiałemu mężowi. Potem wróciłby pan do Anglii jako Norman Gale, z fortuną, którą pan zbił w Kanadzie na jakichś spekulacjach! Teraz jednak zdecydował pan, że nie wolno tracić czasu.

Poirot przerwał i Norman Gale śmiejąc się odrzucił w tył głowę.

— Pan z wielką bystrością przewiduje cudze zamiary! Powinien pan zająć się tym, co robi pan Clancy! — Jego głos zniżył się i przybrał gniewny ton. — Nigdy nie słyszałem takiego steku nonsensów. To, co pan sobie wyobraża, *monsieur* Poirot, jest trudno udowodnić.

Poirot nie wydawał się tym zmieszany.

— Może nie — powiedział. — Ponieważ mimo wszystko posiadam pewne dowody.

— Naprawdę? — spytał ironicznie Norman. — Może ma pan dowody, w jaki sposób zabiłem starą Giselle, kiedy wszyscy w samolocie dobrze wiedzą, że nigdy się do niej nie zbliżyłem?

— Mogę panu opisać bardzo dokładnie, w jaki sposób popełnił pan tę zbrodnię — odparł Poirot. — A co z zawartością pańskiej dyplomatki? Był pan na urlopie. Dlaczego więc zabrał pan ze sobą kitel dentystyczny...? Takie właśnie zadałem sobie pytanie. A odpowiedź brzmi następująco: ponieważ bardzo przypomina kitel, jaki noszą stewardzi...

A zrobił pan to w następujący sposób. Kiedy podano kawę i stewardzi przeszli do innej części samolotu, pan poszedł do toalety, włożył swój kitel, wypchał policzki rolkami ligniny, wyszedł, chwycił po drodze łyżeczkę do kawy z pojemnika w kuchence, krokiem typowym dla stewardów przeszedł szybko między fotelami i z łyżeczką w ręce podszedł do stolika Giselle. Wbił pan kolec w jej szyję, otworzył pudełko od zapalek wypuszczając osę, szybko wrócił do toalety, zdjął kitel i spokojnie wrócił na swoje miejsce. Wszystko to zabrało panu tylko kilka minut.

Nikt specjalnie nie zwraca uwagi na stewarda. Jediną osobą, która mogła pana rozpoznać, była *mademoiselle* Jane. Ale pan zna kobiety! Kiedy tylko kobieta zostanie sama (a szczególnie wtedy, gdy podróżuje razem z młodym atrakcyjnym mężczyzną!) chwyta okazję, żeby zerknąć w lusterko, przypudrować nos i poprawić makijaż.

— Doprawdy — zaśmiał się kpiąco Gale. — Bardzo interesująca teoria; ale tak się nie stało. Czy coś jeszcze?

— Bardzo dużo — rzekł Poirot. — Jak już wspomniałem, w czasie rozmowy ludzie lubią mówić o sobie... Niezbyt roztropnie wspomniał pan, że przez pewien czas przebywał na farmie w Południowej Afryce. Tylko nie powiedział pan o tym, co ja później odkryłem, że była to farma, na której hodowano węże...

Po raz pierwszy Norman Gale okazał strach. Próbował coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Poirot kontynuował:

— Przebywał pan tam pod swoim prawdziwym nazwiskiem: Richards; rozpoznano pana na fotografii przesłanej telegraficznie. Tę samą fotografię zidentyfikowano w Rotterdamie jako zdjęcie

człowieka o nazwisku Richards, który poślubił Anne Morisot.

Norman Gale znowu próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Jego cała osobowość wydawała się zmieniać. Ten przystojny, młody, pełen życia mężczyzna zmieniał się w jakąś szczurzą kreaturę z rozbieganymi oczkami, jakby na próżno szukał drogi ucieczki...

— Pańskie plany zrujnował pośpiech — rzekł Poirot. — Przełożona Instytutu Maryjnego depeszując do Anne Morisot przyspieszyła tok wypadków. Zignorowanie tej depeszy mogło wyglądać podejrzanie. Powiedział pan swojej żonie, że jeśli nie ukryje pewnych faktów, wtedy ona albo pan możecie zostać podejrzani o popełnienie morderstwa, ponieważ oboje znajdowaliście się na pokładzie samolotu w czasie tego nieszczęsnego lotu, gdy zabito Giselle. Kiedy potem spotkał się pan z nią i dowiedział, że i ja również byłem obecny podczas tej rozmowy, przestraszył się pan, że mogę wyciągnąć prawdę z Anne — a być może, że i ona sama zaczynała już pana podejrzewać. Szybko wysłał ją pan z hotelu na pociąg do Boulogne. Zmusił ją pan siłą do wypicia kwasu solnego i pozostawił pustą buteleczkę w jej ręku.

— To są wszystko kłamstwa...

— O, nie. Pozostawił pan ślad na jej szyi.

— Mówię panu, że to kłamstwa.

— Nawet pozostawił pan odciski palców na buteleczce.

— Pan kłamie. Ja założyłem...

— Ach tak, założył pan rękawiczki?... Myślę, *monsieur*, że to małe przyznanie się załatwiło pana.

— Ty cholerny wścibiśki mały szarlatanie! — Siny z wściekłości, z twarzą wykrzywioną nie do poznania. Gale rzucił się w kierunku Poirota. Jednak Japp był od niego szybszy. Trzymając go w uścisku, Japp powiedział:

— Jamesie Richardsie, alias Normanie Gale, aresztuję pana pod zarzutem popełnienia zbrodni z premedytacją. Muszę pana ostrzec, że wszystko, co pan powie, może być użyte jako dowód przeciwko panu.

Straszliwy dreszcz wstrząsnął mężczyzną. Wydawało się, że zaraz upadnie.

Dwóch detektywów w cywilu czekało na zewnątrz. Norman Gale został wyprowadzony.

Pozostawszy sam na sam z Poirotem, mały Clancy z zachwytem głęboko wciągnął powietrze.

— *Monsieur Poirot* — powiedział — to było absolutnie najbardziej wstrząsające doświadczenie w moim życiu. Był pan wspaniały!

Poirot uśmiechnął się skromnie.

— Nie, nie. Japp zasługuje na tyle samo uznania. Zdziałał cuda, aby zidentyfikować Richardsa jako Gale'a. Kanadyjska policja również chciała dostać Richardsa. Dziewczyna, z którą był tam związany, podobno popełniła samobójstwo, ale fakty, które wyszły na światło dzienne, zdają się wskazywać na morderstwo.

— Straszne — zaczął pan Clancy.

— Zabójca — rzekł Poirot. — I jak wielu zabójców, zawsze przyciągał kobiety.

Clancy zakaszłał.

— Biedna dziewczyna, biedna Jane Grey. Poirot potrząsnął głową ze smutkiem.

— Tak, powiedziałem jej, że życie może być przerażające. Ale ona jest dzielna. Da sobie radę.

Odruchowo uporządkował zdjęcia Normana Gale'a, które zostały rozrzucone, gdy ten skoczył na Poirota.

Coś zwróciło jego uwagę — migawkowe zdjęcie Venetii Kerr na wyścigach konnych, „rozmawiającej z lordem Horbury i z przyjacielem”.

Podał je Clancy'emu.

— Widział to pan? W ciągu roku zapewne przeczytamy anons: „Małżeństwo zostało już uzgodnione i wkrótce odbędzie się ślub lorda Horbury z panną Venetią Kerr”. A wie pan, kto skojarzył to małżeństwo? Herkules Poirot! Jest jeszcze inne małżeństwo, które również zaaranżowałem.

— Lady Horbury i pan Barraclough?

— Ach nie. w tej sprawie nie jestem zainteresowany. — Pochylił się ku rozmówcy. — Mam na myśli małżeństwo *monsieur* Jeana Duponta z Jane Grey. Zobacz pan.

W miesiąc później Jane przysłała do Poirota.

— Powinnam pana nienawidzić, *monsieur* Poirot.

Była blada i miała sińce pod oczami. Poirot powiedział łagodnie:

— Jeśli pani chce, to może mnie pani trochę nienawidzić. Ale sądzę, że raczej należy pani do ludzi, którzy wolą spojrzeć prawdzie w oczy, niż żyć w raju głupców; a może nawet nie żyłaby pani w nim zbyt długo. Pozbywanie się kobiet to nawyk, który się potęguje.

— On był taki przystojny — powiedziała Jane i dodała: — Nigdy w życiu więcej się nie zakocham.

— Naturalnie — zgodził się Poirot. — Ta strona życia jest już dla pani zamknięta.

Jane skinęła głową.

— Jednak muszę mieć jakąś pracę, coś interesującego, coś co pozwoliłoby mi zapomnieć.

Poirot odchylił krzesło i spojrzał w sufit.

— Radziłbym pani pojechać z Dupontami do Persji. To bardzo interesująca praca, jeśli pani to lubi.

— Ale... ale... ja myślałam, że to był tylko z pańskiej strony kamuflaż.

Poirot potrząsnął głową.

— Ależ przeciwnie... Tak mnie zainteresowała archeologia i prehistoryczna ceramika, że — tak jak obiecałem — posłałem czek z dotacją. Dziś rano dowiedziałem się, że spodziewają się, iż przyłączy się pani do ich wyprawy. Potrafi pani rysować?

— Tak, w szkole byłam dosyć dobra z rysunków.

— Wspaniale. Myślę, że miło pani spędzi czas.

— Oni naprawdę chcą, żebym z nimi pojechała?

— Liczą na to.

— To może być cudowne — zapaliła się Jane — oderwać się od tego wszystkiego...

Zaczerwieniła się lekko.

— *Monsieur* Poirot — spojrzała na niego podejrzliwie. — Czy pan... Czy pan przypadkiem... nie chce okazać mi dobrego serca?

— Dobre serce? — zapytał Poirot prawdziwie przerażony tą myślą. — Mogę panią zapewnić, *mademoiselle*, że jeśli chodzi o pieniądze, to nie kieruję się emocjami... Jego oburzenie wydawało się tak szczere, że Jane szybko poprosiła o wybaczenie.

— Myślę — powiedziała — że lepiej będzie, jeśli pójdę odwiedzić jakieś muzea i pooglądam sobie trochę prehistorycznej ceramiki.

— Bardzo dobry pomysł.

Jane zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła się.

— Może nie ma pan zwyczaju okazywać dobrego serca, ale w każdym razie mnie pan je okazał.

Pocałowała go w czubek głowy i wyszła.

— *Ça, c'est très gentil!*\* — powiedział Herkules Poirot.

---

\* *fr.* Komunikat krupiera oznaczający koniec obstawiania.

\* *fr.* Numer pięć, czerwone, nieparzyste, przegrana.

\* *fr.* Mój żołądek.

\* *fr.* Ależ naturalnie.

\* *fr.* Ale czy to możliwe?

\* *fr.* Le pin — sosna.

\* *ang.* Master of Foxhounds — łowczy. W tym wypadku: szpicel.

\* Ulica w Londynie, przy której prowadzą praktykę najbardziej cenieni lekarze.

\* *fr.* Wspaniale!

\* *fr.* Naturalnie.

\* *fr.* Co za pomysł!

\* *fr.* Jakie to niemiłe określenie!

\* *fr.* Do jutra.

\* *fr.* Omlet z pieczarkami i solą po normandzku.

\* *fr.* Dozorca.

\* *fr.* Choroba morska.

\* *fr.* W głębi.

\* *fr.* Niech żyją szczury.

\* *fr.* Zachwycające.

\* *fr.* Mój Boże!

\* *fr.* Bulion i pieczony kurczak podawany na zimno.

\* *fr.* Ma sex appeal?

\* *fr.* Zawód.

\* *fr.* Bardzo dobrze.

\* *fr.* Naprzód.

\* *fr.* Proszę słuchać.

\* *fr.* Kobiety.

\* *lac.* Requiescat in pace — Niech spoczywa w pokoju.

\* *fr.* Obiad.

\* *fr.* Dość ładna.

\* *fr.* Do kroćset.

\* *fr.* Tak było, prawda?

\* *fr.* To było bardzo miłe!